M.B. dla L.W.

Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 3 (1660) ROK XXXIII 21 STYCZNIA 1990 ROKU CENA 500 ZŁ

◆ Wybory przewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" — str. 6

◆ Kim była tajemnicza kobieta w Kozielsku? — str. 2

◆ Niespokojna jesień 1989r. — str. 7

◆ Jakie będziemy płacić podatki? — str. 11

◆ Jedność potrzebna lewicy i prawicy — str. 3

Tajemnice życiorysu Bolesława Bieruta (1)

Dlaczego Józef Stalin skłamał?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1.

W październiku 1944 roku delegacja PKWN z Bolesławem Bierutem na czele bawiła w Moskwie. W tym czasie przebywała też w Moskwie delegacja rządu w Londynie ze Stanisławem Mikołajczykiem. Anglicy i Rosjanie próbowali pogodzić obie strony: Londyn z Lublinem. Podczas rozmowy delegacji PKWN z Józefem Stalinem na Kremlu rozważano kwestię obsadzenia prezydenckiego fotela. Kandydatem do tego był Bolesław Bierut. Józef Stalin zaproponował, aby Bierut stał się... bezpartyjnym. Na próby protestu oświadczył:

— *Jest to konieczne dla narodu i musi się to zrobić.*

Taką decyzję Józef Stalin motywował następująco: Winston Churchill zgłosił zastrzeżenia pod adresem Bolesława Bieruta, który był więźniem politycznym w przedwojennej Polsce „*i jako taki był wymieniony do Związku Sowieckiego*". Dlatego nie może być prezydentem, „*gdyż nie daje gwarancji obiektywności, będąc zobowiązanym wobec Związku Radzieckiego*".

Stalin nie zaprzeczył temu, powiedział tylko, że Bolesław Bierut w 1939 roku opuścił szeregi partii komunistycznej, która „*mu ideologicznie nie odpowiadała*" i jest bezpartyjny. Skłamał zatem dwukrotnie:

— pierwszy raz — mówiąc, że Bolesław Bierut opuścił partię komunistyczną w 1939 roku, a przecież KPP została rozwiązana w 1938 roku, o czym Józef Stalin wiedział najlepiej;

— drugi raz — kiedy powiedział, że Bolesław Bierut jest bezpartyjny, a przecież był on członkiem PPR.

2.

Niedawno tygodnik „Ogoniok" opublikował wspomnienia byłego oficera NKWD, który przed laty zbiegł na Zachód, a który wspomina, że przez pewien okres Bolesław Bierut jako Rutkowski był oficerem NKWD. Informację tę przekazały telewizyjne „Wiadomości", a dziennikarze „Expressu Wieczornego" i „Sztandaru Młodych" rozpoczęli poszukiwania „*tajnego archiwum*" Bolesława Bieruta, spodziewając się znaleźć tam wyjaśnienie zagadki. Myślę, że trop jest fałszywy. Jeśli akta dotyczące przynależności Bolesława Bieruta do NKWD w ogóle istnieją, to znajdują się one w radzieckich archiwach, a te — jak wiadomo — udostępniane są niechętnie i raczej rzadko. W moim przekonaniu wyjaśnienia zagadki należy szukać w tajemniczych momentach z życiorysu B. Bieruta. Takich momentów jest wiele, ale dwa z nich mają znaczenie kluczowe.

Pierwszy — to wyjaśnienie, kiedy Bolesław Bierut mógł być wymieniony jako więzień polityczny do ZSRR?

Drugi — to skąd podczas wojny niemiecko-radzieckiej wziął się w Mińsku na Białorusi, gdzie jako... Białorusin pracował w niemieckim urzędzie miejskim?

4

Rys. Dariusz Romanowicz

Rolnicy żądają wyższych cen za swoje produkty. Przemysł spożywczy także chce zarobić. A konsument klnie i płaci.

Błędne koło cenowe

EUGENIUSZ IWANICKI

Polska gospodarka przypomina chorego w stanie agonalnym: jeszcze oddycha, jeszcze pojawiają się drgawki i konwulsje, ale nikt nie jest w stanie przepowiedzieć, czy pacjentka doczeka słonecznego poranka. Konsylium lekarskie stojące obok łoża ma tysiące pomysłów na uratowanie życia umierającej, lecz nie dysponuje żadnym cudownym eliksirem. Pozostają jedynie modły, które mają sprawić cud. Lecz na tej ziemi, w zbawcze ich działanie wierzy coraz mniejsze grono.

Obywatel Rzeczypospolitej stracił grunt pod nogami: budząc się rano, nie jest pewny czy za wczorajszy pieniądz uda mu się kupić dzisiejszy produkt. Wczoraj płacił za chleb 2.700 zł., dziś ten sam bochenek kosztuje już 3.700. A wędliny? Wędlin nie ma wcale. Więc może wystarczy na kostkę masła, którego ponoć są pełne magazyny? Okazuje się, że i masła zabrakło (tak było 5 i 6 stycznia 1990 r.), a kiedy pojawiło się w poniedziałek (8 stycznia) już było droższe. A przecież to dopiero początek, spirala cenowa dopiero się rozkręca.

Obejrzawszy w telewizji puste haki w sklepach mięsnych, zamknięte na głucho punkty skupu trzody chlewnej i żywca, nieczynne masarnie, pojechałem w tak zwany teren, by na miejscu przekonać się, jak to właściwie jest z tą żywnością.

Dalików w województwie sieradzkim. Przed punktem skupu Gminnej Spółdzielni stoi parę furmanek i dwa ciągniki. Grupka rolników ze znudzeniem pali papierosy. Porykują krowy, kwiczą świnie wpędzane na wagę, popiskują zawiasy metalowego ogrodzenia.

Zanim zdążyłem dotrzeć do drzwi baraku, zatrzymała mnie kobiecina omotana chustami i popychająca męski rower.

— Chce pan coś kupić?

— Może — mówię.

— Kup pan ode mnie.

— Co konkretnie?

— Wieprzki.

— A czemu nie sprzeda ich pani tu, w tym punkcie skupu?

— Za te grosze? — zaczyna się śmiać. — Jak ktoś głupi, to niech sprzedaje.

— Ile płacą? — pytam (a tu już otaczają nas chłopi, już przysłuchują się, już padają różne uwagi).

— Za kilo żywca 5.500 złotych, a za wołowinę 2.700.

— A gdybym chciał kupić od pani, to za ile?

— Dogadamy się.

— Chcę wiedzieć, bo może znajdzie się ktoś, kto będzie chciał taniej.

— Myślę, że zejdziemy się w okolicy 10 tysięcy.

Dalsza gra nie ma sensu i mówię kim jestem i po co przyjechałem. Kobieta natychmiast traci zainteresowanie moją osobą i odchodzi wlokąc za sobą rower.

— Słyszeliście panowie naszą rozmowę — mówię. — Co wy na to? Lepiej sprzedawać w geesowskim punkcie skupu czy też prywatnemu nabywcy?

Mirosław Bilski ze wsi **Dąbrówka Woźnicka** w zasadzie zgadza się z tym, co mówiła kobieta: opłaca się sprzedać prywatnemu nabywcy, bo płaci więcej. Na dziś jednak jest jak jest, więc przywiózł tu swoje świnki i opasa.

— Niech no pan patrzy — mówi — jaka jest rozbieżność w cenie. Przecież to absurd! Cena wieprzowiny winna być zbliżona do wołowiny, a tu co? 2.800 różnicy!

— Dlaczego powinna być zbliżona? — nie rozumiem. — Zawsze wieso wołowe miało inną cenę niż świńskie.

Mirosław Bilski zaczyna tłumaczyć. — Teraz — mówi — kiedy tak gwałtownie zdrożały pasze (a końca cenom nie widać), chłopi masowo pozbywają się krów, cieląt i macior. Teraz hodowla się nie opłaca. Właściwie nic się nie opłaca. Robić tyle, aby starczyło dla siebie. Za cielaka Gminna Spółdzielnia płaci 1.600 zł za kilogram, więc co to za interes, by cielaka odstawiać na punkt skupu. Ze strony GS jest to perfidna zagrywka, bo w ten sposób zmusza się rolnika by tegoż cielaka zaczął hodować. Ale hodowla także się nie opłaca, bo zanim taki cielak urośnie, to zeżre za dużo więcej, niż te 2.700 zł., które rolnik dostanie za niego w punkcie skupu.

— Przeliczmy to — mówi któryś z rolników — wtedy będzie panu lepiej zrozumieć.

— Przeliczmy — zgadza się inny i rozczapierzywszy palce zaczyna liczyć. — Opas o wadze 400 kilogramów dziennie musi dostać 6 kg paszy (zboża lub paszy B) po 40.000 zł za 1 kwintal, 10 kg ziemniaków (20 tys. za 1 kwintal), oraz 10 kg

11

LWÓW: Błękitno-żółty sztandar — to błękit nieba nad ukraińską pszenicą.

Niespokojna jesień 1989 r.

MONIKA MATUSZAK

I.

Pośrodku lwowskiego prospektu Włodzimierza Lenina, niedaleko opery i pomnika przywódcy rewolucji 1917 r. powiewa na wietrze narodowa flaga Ukrainy. Błękitno-żółty kolor ma symbolizować niebo nad łanem zboża. Wokół masztu kwiaty i portret młodego Tarasa Szewczenki. W polskiej szkole uczono mnie, że był on autorem dumek i bajek dla dzieci, więc nie bardzo mogę zrozumieć, dlaczego awansował do rangi patrona narodu. Obok, na drewnianych tablicach wycinki z prasy, wiersze, satyryczne rysunki, zdjęcia z manifestacji, propozycje nowego hymnu Ukrainy. Od czasu do czasu wywieszane są flagi republik bałtyckich, Ormian, a nawet pojawiają się barwy polskie i Rosji carskiej.

Na ławkach niezwykle przejęte babcie sprzedają po rublu zdjęcia z wieców, fotografie świętych obrazów, kościelnych kalendarzy, podziemne gazetki i znaczki z tryzubem (w zależności od fasonu — po 3 lub 4 ruble za sztukę). Tym herbem księcia Halickiego, tak źle kojarzącym się Polakom z ukraińskiego pogranicza, ozdobione są nawet nalepki z okazji 1000-lecia chrztu Ukrainy.

Kiedy odszedł Władmir Szczerbicki, ostatni z konserwatywnych sekretarzy republikańskich, rządzący Ukrainą od końca lat pięćdziesiątych, w lwowskim Hyde Parku wywieszono jego żałobnie przyozdobiony portret.

W poprzednich miesiącach milicja podobno wielokrotnie likwidowała „klub polityczny" na wolnym powietrzu, ale w końcu dała za wygraną. Ludzie przez cały dzień zbierają się przy sztandarze, czytają, głośno dyskutują, słuchają przygodnych oratorów. Zdarzają się prowokatorzy. Wystarczy, że ktoś posunie się za daleko, a wyna-

7

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70; 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Eugeniusz Iwanicki, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5 tel 32-59-11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora: odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne Należność za przyjęta prenumeratę pocztowa obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa: w przypadku zlecenia dostawy drogą lotnicza — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

B-10

Przegląd prasy

W grobach katyńskich rozkopanych zimą 1943 roku największe zdumienie budziły zwłoki kobiety. Później ustalono, że wśród około 45000 oficerów polskich więzionych w Kozielsku faktycznie znajdowała się jedna kobieta. Miała stopień podporucznika lotnictwa. Nazywała się Janina Lewandowska. Ale chodziły pogłoski, że naprawdę nazywa się inaczej, że jest córką wybitnego generała, którego bolszewicy szczególnie nienawidzą.

Na liście ofiar wydobytych z masowych grobów w Katyniu nie ma jednak żadnej kobiety. Są tam jedynie trzej mężczyźni o tym nazwisku: Aleksander Henryk Lewandowski (kapitan), Henryk Lewandowski (podporucznik, student medycyny) i Stanisław Lewandowski (podporucznik). Janina Lewandowska figuruje natomiast na liście zaginionych jeńców obozu w Kozielsku.

Kim więc była tajemnicza kobieta posługująca się nazwiskiem Lewandowska? W jaki sposób trafiła do Kozielska z tysiącami mężczyzn mających stopnie oficerskie? Zagadkę wyjaśnia Piotr Bauer w miesięczniku społeczno-kulturalnym „NURT" (nr 12). Na reprodukowanych trzech zdjęciach widzimy ładną szczupłą dziewczynę.

Janina Lewandowska z domu Dowbór-Muśnicka urodziła się 22 kwietnia 1908 roku w Charkowie. Została rozstrzelana w wieku 32 lat. Była córką generała Józefa Dowbór-Muśnickiego (1867—1937), przeciwnika politycznego Józefa Piłsudskiego, w latach 1917—1918 organizatora i dowódcy I Korpusu Polskiego na Białorusi (tzw. dowborczyków), podczas powstania wielkopolskiego (1918—1919) współorganizatora i naczelnego dowódcy Armii Wielkopolskiej w Poznańskiem.

W okresie białoruskim rodzina generała mieszkała początkowo w Mińsku, a potem w Bobrujsku. Następnie przez krótki czas przebywała w Sandomierzu i później gościnnie w pałacyku myśliwskim księcia Michała Radziwiłła koło Staszowa. W styczniu 1919 r. generał zakupił poniemiecką resztówkę w Lusowie (Batorowie) pod Poznaniem. Tam zamieszkała jego żona Agnieszka z Korsońskich oraz teściowa Emma Korsońska z Mullerów i czworo dzieci: Gedymin, Olgierd, Janina i Agnieszka (urodzona we wrześnu 1919 roku). W sierpniu 1920 roku — mając zaledwie 39 lat — generałowa zmarła na chorobę płuc.

Janina Dowbór-Muśnicka była wysportowaną i samodzielną dziewczyną. Szkołę podstawową i gimnazjum ukończyła w Poznaniu, gdzie mieszkała na stancji. Później uczyła się gry na fortepianie i śpiewu w Konserwatorium Muzycznym. W tym czasie razem z bratem Olgierdem wynajmowała mieszkanie przy ulicy Romana Szymańskiego. Pasjonowała się również sportem lotniczym. W poznańskim Aeroklubie zdobyła uprawnienia pilota szybowcowego i skoczka spadochronowego. A później ukończyła kurs pilota motorowego w Wyższej Szkole Pilotażu na Ławicy. Pracowała wówczas na Poczcie Głównej w Poznaniu.

Około 1937 roku Janina Dowbór-Muśnicka skierowana została na kurs radiotelegraficzny we Lwowie. Tam nauczyła się obsługiwać aparaty Hugheza i prawdopodobnie uzyskała stopień podporucznika rezerwy. Po śmierci ojca zamieszkała razem z babką Emmą. Wynajmowały mieszkanie przy ulicy Niecałej w Poznaniu. Majątek nad pięknym jeziorem w Lusowie (Batorowie) już wcześniej generał oddał w dzierżawę.

Na jednym z reprodukowanych zdjęć uśmiechnięta Janina występuje w roli panny młodej. Wyszła za Mieczysława Lewandowskiego, który był inspektorem pilotażu w Tęgoborzu w Nowosądeckiem. Ślub cywilny odbył się 10 czerwca 1939 roku w Poznaniu, a kościelny miesiąc później w Tęgoborzu. Po tej uroczystości Janina wróciła do Poznania, żeby zlikwidować swoje sprawy, ale nigdy nie spotkała już swego męża. W sierpniu bowiem została zmobilizowana do 3 pułku na Ławicy pod Poznaniem. W nocy z 1 na 2 września załadowano cały oddział (z wyposażeniem) do pociągu na stacji w Swarzędzu i odprawiono na wschód.

Pociąg ewakuacyjny dotarł 8 września do Lublina. Stamtąd jedna kompania, w której była Janina Lewandowska, udała się pieszo do stacji Trawniki i wyruszyła dalej pociągiem do Buczacza w województwie tarnopolskim. Ale już na stacji w Kopczyńcach 17 września otrzymali rozkaz opuszczenia wagonów i maszerowania na południe. Pięć dni później w rejone Husiatynia oddział otoczyły radzieckie czołgi. Jego dowódca kapitan Józef Sidor i podporucznik Janina Lewandowska zostali wywiezieni w nieznanym kierunku. Dziś wiemy, że trafili do obozu oficerów polskich w Kozielsku, a potem na miejsce kaźni do lasu katyńskiego.

Po zakończeniu działań wojennych Mieczysław Lewandowski zgłosił się do rodziny Haszkiewiczów w Poznaniu, u której niegdyś mieszkała Janina. Jej los był jednak wówczas nie znany. W poszukiwaniu żony przedostał się na Zachód, zamieszkał w Anglii i tam zmarł.

JEDYNA KOBIETA W KOZIELSKU

W kozielskim obozie Janina Lewandowska nosiła męski mundur lotniczy. Kapitan lekarz medycyny Wacław Mucho miał wrażenie, że mundur był wypożyczony, ponieważ nie pasował do figury właścicielki. W swoich wspomnieniach pisze o niej:

„W Kozielsku zetknąłem się z panią Lewandowską. Tak się złożyło, że przychodziła dość często do domu nr 27, gdzie i ja kwaterowałem na pryczy pierwszego piętra, by widzieć się z dwoma swymi znajomymi, między innymi podporucznikiem lekarzem doktorem Kulikowskim Michałem, lekarzem pułku lotniczego z Wileńskiego, młodym człowiekiem około 28—29. Przychodziła do naszego bloku, gdyż po pierwsze znała powyższych dwu ludzi, a z drugiej strony czuła się tutaj bezpieczna, gdyż mieszkańcy stanowili swoją wiarę".

O tym, że Janina Lewandowska przebywa w Kozielsku, poinformował bratanicę generała, Aleksandrę Zofię Ostromęcką, były wojewoda poznański Rafał Adolf Bniński, który należał do bliskich przyjaciół rodziny Dowbór-Muśnickich. W lipcu 1941 roku aresztowano go, osadzono w Forcie VII w Poznaniu, a następnie wywieziono w głąb Rzeszy i skazano na śmierć. Zdążył jednak przekazać ważne informacje. Bratanica generała Józefa Dowbór-Muśnickiego zeznała potem, co następuje:

„W styczniu 1941 r. pan Rafał Bniński z miejscowości Samostrzele w Wielkopolsce, który wydostał się był z niewoli sowieckiej na terenie ziem przyłączonych do Reichu i następnie przekradł się do Warszawy, dobry znajomy rodziny Dowbór-Muśnickich doniósł mi w Warszawie, że pani Janina z Dowbór-Muśnickich znajduje się w niewoli sowieckiej w Kozielsku. Dostała się tam ona, gdyż po wybuchu wojny 1 września 1939 roku, brała w niej czynny udział i pełniąc służbę, w czasie lotu nad wschodnimi ziemiami, została zestrzelona przez czerwoną armię, po czym dostała się do sowieckiej niewoli i jako porucznik lotnictwa Wojska Polskiego została wywieziona na wschód. Odnośnie do warunków i trybu jej życia w obozie kozielskim, pan Bniński powiadomił mnie, że posiadała ona osobne pomieszczenie oraz że brała czynny udział w konspiracyjnym życiu religijnym obozu, uczestnicząc w tajnych nabożeństwach i wypiekając opłatki Hostii Świętej, z powodu czego miała ze strony władz obozowych przykrości, ulegając kilkakrotnym rewizjom".

Kolejne transporty jeńców z Kozielska do lasu katyńskiego odchodziły od 3 kwietnia do 12 maja 1940 roku. Janina Lewandowska bezskutecznie starała się zabrać razem ze swymi przyjaciółmi. Wyjechała jednak kilka dni później.

W tym samym roku 21 czerwca została również rozstrzelana młodsza córka generała Dowbór-Muśnickiego, Agnieszka. Miała niespełna 21 lat. Aresztowali ją Niemcy za udział w konspiracyjnej grupie niepodległościowej, do której należał m. in. Janusz Kusociński. Wyrok wykonano w Palmirach. Obie siostry spoczywają więc w zbiorowych mogiłach leśnych oddalonych od siebie o setki kilometrów.

Z PERSPEKTYWY NOSTALGII

Janina Lewandowska musiała być bardzo odważną kobietą. Przed wojną piloci częściej ginęli niż obecnie. Stanisław Frenkiel wspomina w magazynie kulturalnym „KRAKÓW" (nr 4), że samoloty wytwórni Plage i Laszkiewicz nazywano latającymi trumnami. W swej młodości autor (urodzony w 1918 roku) nieraz obserwował pogrzeby lotników, których trumny umieszczano na kadłubach samolotów. Śmierć kojarzyła mu się z lotniskiem również dlatego, że znajdowało się na drodze do Rakowic.

Stanisław Frenkiel przypomina, że po odzyskaniu niepodległości Kraków stał się prowincjonalnym miastem. Był tłumiony i wyśmiewany przez Warszawę jako siedziba wsteczników i konserwy. Opowiadano dykteryjki o galicyjskich centusiach. Oskarżano mieszkańców Krakowa o lojalność wobec Austriaków. W tamtych latach — jak zapamiętał artysta — miasto było biedne i ciągle ktoś w nim umierał. Kare konie ciągnęły karawany na cmentarz Rakowicki.

„Karawany były ozdobne w insygnia i symbole, pióropusze, korony, krzyże, hełmy z opuszczonymi przyłbicami i sztandary. Za karawanem szli ludzie, wystrojeni w parádne mundury, ordery, togi, birety, rogatywki i atłasowe delie. Katolickie pogrzeby szły przez ulicę Dunajewskiego i Basztową na Rakowice, żydowskie natomiast szły ulicą Starowiślną (dziś Bohaterów Stalingradu). Były one milczące i smutne, bez ozdób i śpiewu. Mężczyźni szli w cylindrach, a kobiety okryte były czarnymi welonami. Umierało sporo wielkich i sławnych ludzi. Pamiętam przewiezienie zwłok Sienkiewicza przez dworzec krakowski, kiedy wszystkie lokomotywy żałośnie płakały. Sprowadzono prochy Słowackiego. Później umarł Jacek Malczewski, a jeszcze później sam Piłsudski, którego śmierć nas przeraziła, bośmy wyrośli w przekonaniu, że będzie zawsze Polską rządził. Wkrótce po nim umarł Ignacy Daszyński, wielki trybun socjalistyczny, który jeszcze groził magnatom, że wybrukuje ich czaszkami ulice Wiednia".

Pierwszym doświadczeniem niestałości porządku społecznego w Polsce były dla autora zajścia listopadowe 1923 roku. Wyglądało to na kontynuację przedstawień w Teatrze Słowackiego, lecz krew na ulicach była prawdziwa. Strajk kolejarzy przerodził się w generalny. Z powodu bezradności policji, wysłano oddziały wojskowe, aby poskromiły strajkujących robotników. Część żołnierzy rozbrojono. Niektórymi ulicami władały patrole robotnicze. Zabito kilku policjantów. W domach zakazano palenia świateł. W mieszkaniu autora zestrzelono kryształowy żyrandol, ponieważ babcia zlekceważyła rozkaz.

„Prócz policjantów zabito również kilku robotników. Przez lata toczył się później proces uczestników tych zajść, ale dzień 6 listopada był obchodzony w Krakowie uroczystym wiecem nad grobami zabitych robotników".

Od siebie dodam tu, że podczas tzw. powstania krakowskiego zginęły 32 osoby: 15 robotników, 2 studentów i 1 urzędnik oraz 3 oficerów i 11 żołnierzy. Rany odniosło 101 żołnierzy i oficerów oraz 38 policjantów. Poza tym zastrzelono i raniono 83 konie.

„Nie skończyło się na tym, niedługo później mówiono o wybuchu wojny domowej w Warszawie. Prezydent Wojciechowski i premier Witos uciekli samolotem do Poznania, a w Krakowie wszyscy cieszyli się, że Piłsudski objął rządy. W szkole starano się usprawiedliwić zamach majowy koniecznością dziejową, ale dla wielu dorastających dzieciaków było jasnym, że parlamentaryzm polski poniósł cios nie do powetowania".

W ciągu trzydniowych walk bratobójczych w stolicy zginęło wówczas 379 osób, a rannych zostało około 920 osób. Taki był bilans zamachu majowego 1926 roku.

OBRAZKI Z ŻYCIA INTYMNEGO

Stanisław Frenkiel wspomina dalej, że Kraków od niepamiętnych czasów miał ustaloną tradycję prostytucji. Kobiety różnego wieku i pochodzenia spacerowały wieczorami po Plantach w rejonie ulic Straszewskiego i św. Gertrudy (dziś Waryńskiego). W mieście były dwa miejsca o sprośnych nazwach.

„Okolice pomnika Jadwigi i Jagiełły, blisko wylotu ulicy Długiej, nosiły nazwę „Chujowej Górki", w pobliżu znajdowało się wgłębienie zwane „Kurwim Dołkiem". Po tych rejonach spacerowały prostytutki w butach na wysokich obcasach, z rzemieniem powyżej kostki. Trzymały w ręku torebkę i paliły papierosy. Podchodziły do mężczyzn prosząc o ogień i zwracały się do nich per „ty". Czasem policja robiła obławy i zaganiała schwytane ofiary do przychodni wenerycznej przy ul. Kanonicznej. W wypadku wykrycia infekcji przesyłano prostytutki do szpitala św. Łazarza na oddział V. „Pójść do Łazarza na piątkę" było przenośnią oznaczającą koniec kariery.

W okresie międzywojennym domy publiczne były zakazane, niemniej jednak było ich kilka: jeden przy ulicy Pawiej koło dworca, a drugi przy ulicy Berka Joselewicza na Kazimierzu. W latach trzydziestych funkcjonował dom publiczny przy ulicy Jagiellońskiej, prowadzony przez damę o nazwisku kojarzonym ze znaną wytwórnią wody sodowej i mówiono o tym lokalu, że szło się tam na wodę sodową. Uczęszczali tam także uczniowie gimnazjum. Dostać się nie było łatwo, należało mieć osobę wprowadzającą, kogoś ze stałych bywalców. W lokalu obowiązywały nienaganne maniery, a pani „kierowniczka" mówiła: „Jak się kawaler nie uspokoi, to zawołam pana Wąsa". Był to dozorca domu, który awanturników wyrzucał „na zbity łeb". Kiedy policja nakryła tę instytucję, okazało się, że wśród klienteli byli synowie wysokich urzędników, sędziów, profesorów, zamożnych przemysłowców".

Zakochane pary chodziły całować się do kina. Niektóre posuwały się nawet dalej. Pewnego razu w loży uprawiała miłość młoda ekspedientka ze swym narzeczonym. Nagle film się zerwał i zapalono światło, a przestraszona dziewczyna uległa skurczowi mięśni. Zwartych ze sobą pechowców zawinięto w koce i odwieziono karetką pogotowia do szpitala. Skompromitowana panna musiała wyjechać z Krakowa.

Autor tych wspomnień studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. W roku 1938 przebywał w Paryżu. Przed wybuchem wojny wrócił do Polski. Następnie losy rzuciły go na wschód, gdzie w 1942 roku wstąpił do wojska polskiego. Przeszedł z nim od Morza Kaspijskiego, przez Iran, Syrię i Palestynę do Egiptu. Potem studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Bejrucie. W roku 1947 osiedlił się w Londynie i kontynuował studia artystyczne w John Cass College i Courtauld Institute. Od 1968 roku jest profesorem na Uniwersytecie Londyńskim.

Płótna i rysunki Stanisława Frenkla znajdują się w wielu muzeach świata i kolekcjach prywatnych na obu półkulach. Swoje prace wystawiał również w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu i Łodzi. Jednym z ulubionych tematów jego malarstwa jest rodzinny Kraków. Tam bowiem spędził dzieciństwo i młodość oraz ukształtował osobowość artystyczną.

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Pociąg z Irkucka do Ułan Bator przejeżdża obok Bajkału, najgłębszego jeziora świata i największego na świecie zbiornika słodkiej wody. Dopóki tylko możemy, przyglądamy się jego wysokim, skalistym, pokrytym tajgą brzegom. Z czasem staje się to coraz trudniejsze, gdyż za oknem zapada już mroźna, syberyjska noc. Wychodzimy na korytarz. Okazuje się, że nasz wagon jest całkowicie zapełniony. Jadą w nim sami Mongołowie i tylko my, czwórka białych — korespondencja MARZENY MRÓZ.

— Jestem człowiekiem ciężkiej, pełnej wyrzeczeń pracy, która wymaga ogromnej kondycji psychicznej i fizycznej. Wątpliwości mnie nie opuszczają. Należę do ludzi, u których pamięć sukcesu nie trwa długo, a porażki nosi się latami. Po dwudziestu paru latach „owocnej kariery" mam w dalszym ciągu kłopoty z realizacją podstawowych problemów życiowych natury materialnej — mówi popularny aktor PIOTR FRONCZEWSKI.

— Na naszych oczach kształtuje się nie tylko nowy rodzaj gospodarki, ale i człowieka. Ten nowy osobnik we wszystkich swoich przedsięwzięciach kieruje się wyłącznie zasadą opłacalności: opłaca się — robię, nie opłaca się — nie robię. Kultura natomiast często się nie opłaca — pisze RYSZARD NAKONIECZNY.

— Obawiam się, że już niedługo, gdy zaczniemy w ośrodkach przyjmować chorych na AIDS, nikt nie będzie chciał z nami współpracować. Przykładem jest ośrodek w Zbicku, w którym przebywa 14 nosicieli wirusa HIV — tam nawet ekipy remontowe nie chcą wkraczać, ponieważ się boją — mówi MAREK KOTAŃSKI.

— Janusz Gajos potraktował tę rolę jako zadanie aktorskie bardzo trudne, a przez to pociągające. Natomiast Agnieszka Holland nie jest aktorką i zrobiła to na zasadzie amatorskiej. Miała rodziców komunistów, pamiętała piosenki z dzieciństwa, znała literaturę i dzięki temu wniosła wiele pomysłów do opowiadanej fabuły, tworząc tym samym nieco nostalgiczny obraz takiej osoby — o realizacji filmu „Przesłuchanie" mówią: ryżeser RYSZARD BUGAJSKI, kierownik produkcji TADEUSZ DREWNO i scenograf JANUSZ SOSNOWSKI.

— Kiedy wdepnąłem w to zielone bagno, zaczęły trapić mnie wątpliwości. Czy Polska Partia Zielonych umarła zanim się narodziła? Czy rozłamy dosięgną także Łodzi? Czy gra toczy się o czyste środowisko, czy o władzę i pieniądze? Jeżeli o środowisko, to chyba stawka jest wyższa niż robienie szumu wokół drobnych spraw. I chociaż to smutne, toż to Polska właśnie — reportaż MARKA JUSKIEWICZA.

— Młode dziewczyny często mimo woli prowokują seksualnie mężczyzn. Bez ukrytego zamiaru siadają w taki sposób, że odsłaniają daleko uda; nieraz pokazują nawet majtki. A potem zdziwione łowią pożądliwe spojrzenia. Zarówno młodzi chłopcy jak i starsi panowie nie mogą oderwać wzroku. Bezwiednie ukazana intymność urzeka i podnieca. Przy czym najbardziej zniewalająco działa podobno seks pięknych i skromnych dziewcząt, które kuszą zupełnie nieświadomie — pisze MIROSŁAWA SARBIŃSKA.

— O ocenę Dzierżyńskiego toczyć się będą jeszcze długo spory. Będzie miał namiętnych oskarżycieli i apologetów. Poszerzać się jednak będzie liczba badaczy, którzy zapragną ocenić bezstronnie jego postać — artykuł RYSZARDA BADOWSKIEGO pt. „Prawda i legenda o Feliksie Dzierżyńskim".

Transformacja czy odnowienie partii?

Jedność potrzebna lewicy i prawicy

Rozmowa z KAROLEM JÓZEFEM STRYJSKIM — pisarzem, politologiem, sekretarzem KŁ PZPR.

Za kilka dni XI Zjazd PZPR, jakie jest stanowisko lub stanowiska delegatów z Łodzi w sprawie zakończenia działalności PZPR i powołania nowej partii?

— Dominuje pogląd o transformacji partii. Na XI Zjeździe PZPR partia ta zakończyłaby swoją działalność i zjazd przekształciłby się w kongres nowej partii.

— Nie rozwiązano by zatem PZPR?

— Na zjeździe mogą zapaść inne decyzje. Wśród delegatów z Łodzi dominuje jednak pogląd o zakończeniu działalności, a nie rozwiązaniu PZPR i stworzeniu nowej partii. Jedynie przedstawiciel socjaldemokratów — Marek Belka — wypowiada się za rozwiązaniem PZPR.

— Czy transformacja nie niesie ze sobą pewnych niebezpieczeństw?

— Widzę w tym poważne niebezpieczeństwo. Polega ono na tym, że stworzymy na zjeździe jak gdyby plakat dla widowiska politycznego pod tytułem: „Nowa partia lewicy", w którym to widowisku pod szyldem nowej partii niektórzy zechcą swoją rolę odegrać po staremu. Może to drobny przykład, ale jeden z sekretarzy komitetu miejskiego powiedział mi, że on i jego aktyw może stworzyć każdą partię.

— Tylko po co?

— Powody są różne. Jeden — to chęć bycia w grupie ludzi, którzy mają na coś wpływ. Drugi — to pielęgnowanie przeświadczenia, że zmiany, jakie u nas w Polsce zaszły, są tymczasowe, że wszystko wróci do dawnego. Są to niebezpieczeństwa, które określają cenę, jaką może przyjść nam zapłacić na transformację.

— Czy postulat transformacji oznacza, że wszyscy członkowie PZPR stają się automatycznie członkami nowej partii?

— Był taki pomysł. Jest to sprawa dyskutowana. Na pewno przynależność do nowej partii będzie wymagała podpisania deklaracji, podjęcia przemyślanej, indywidualnej decyzji.

— Jak zatem będzie się tworzyć nowa partia?

— Kongres założycielski nowej partii powoła pełnomocników do jej tworzenia w całym kraju. Tylko że to okazało się znów nie takie proste. Powstał projekt, aby kongres powołał władze centralne, a one wyznaczyły pełnomocników. Łódzcy delegaci zaproponowali, aby pełnomocnicy wywodzili się ze składu delegatów i — co jest bardzo ważne — byli przez delegatów wybrani.

— Dlaczego to jest takie ważne?

— Mianowani przez władze centralne muszą się im podporządkowywać i być im posłuszni, nie muszą się liczyć z terenowymi uwarunkowaniami. Wybrani przez delegatów są przed nimi odpowiedzialni i muszą zabiegać o poparcie członków. To bardzo istotna różnica.

— Chodzi zatem o zachowanie demokracji.

— Nie tylko. Mam doświadczenia z okresu IX Zjazdu PZPR. Wszystko było demokratycznie, ale mimo to nie ustrzeżono się przed manipulacją i reżyserowaniem. Mając te doświadczenia na względzie zaproponowaliśmy jako Wojewódzki Zespół Delegatów, aby z każdego takiego zespołu wyłonić 10 procent delegatów, którzy utworzyliby centralny zespół delegatów. Teleks z taką propozycją wysłaliśmy do KC PZPR z prośbą, aby rozesłano go po kraju. Nasza inicjatywa została zablokowana.

— Kto to zrobił i dlaczego?

— Sądzę, że centralny aparat i sekretarze wojewódzcy, którzy nie są delegatami. A argument był taki, że byłaby to zbyt kosztowna impreza.

— Czy to wszystko nie wlecze się zbyt długo i nie rodzi podejrzeń, że się celowo rozmywa przygotowania do zjazdu? Na przykład wybory w partii. Inne niż zwykle. Było dużo czasu na ich przygotowanie, a w konsekwencji wybierało się ludzi, których mało albo w ogóle się nie znało.

— Był to eksperyment nie do końca udany. Było rzeczywiście mało czasu na prezentację kandydatów. Być może zakładano, że będzie nikłe zainteresowanie wyborami. Kandydaci spotkali się w miastach i dzielnicach, nie starczyło już czasu, aby mogli przedstawić się w dużych zakładach pracy, w środowiskach. A zainteresowanie wyborami w partii było większe niż się tego spodziewano.

— Do jakich tradycji PZPR nowa partia zechce nawiązać?

— Mam nadzieję, że nic z tych tradycji nie ostanie się. I nie dlatego, że rzeczywiście wszystko, co robiła PZPR było złe, ale dlatego, aby złe doświadczenia i błędy PZPR nie kładły się cieniem na nowej partii. Przecież będą ją tworzyli ludzie, którzy wywodzą się z PZPR, przyjdą do nowej partii ze starymi nawykami, naleciałościami z przeszłości. To będzie nawet podświadomie wywierało wpływ na nową partię. Tak będzie do czasu, gdy nie dojdzie do głosu grupa nowych ludzi już bez tych obciążeń. Właśnie dlatego uważam, że należy świadomie odciąć się od tradycji PZPR.

— Czy to jest jedyny powód?

— Nie. Podczas wszelkich rozważań o nowej partii i o transformacji PZPR w nową partię za dużo mówi się o PZPR, za mało o nowej partii. Ratując twarze, ratując życiorysy, nie uratujemy polskiej lewicy. Gdyby PZPR, jako siła polityczna, była sprawna, dostatecznie pragmatyczna, to nie ponieślibyśmy takiej klęski jak to miało miejsce. Niektórzy wprawdzie mówią, że to był spisek, zdrada słowem: celowe działania. Gdyby założyć, że wydarzenia te miały swoich reżyserów, których wzięto po to, aby PZPR wyrzucono ze sceny politycznej, to byłaby to skrajna głupota. Jeżeli zaś tak nie było — to była nieudolność. I wszystko wskazuje, że taka była prawda. Niestety!

— A co z leninizmem? PZPR była partią typu leninowskiego.

— Rozprawę ze stalinizmem mamy już za sobą. Ale ta rozprawa nie jest pełna bez rozprawy z leninizmem. Trzeba więc odrzucić leninizm i to zdecydowanie i do końca, gdyż korzenie stalinizmu tkwią w leninizmie i komunizmie wojennym, którego twórcą był nikt inny jak tylko Włodzimierz Lenin. Trzeba też dziś inaczej spojrzeć na hasło rewolucji proletariackiej.

— Leninizm wyrasta z marksizmu. Co zatem z marksizmem?

— Marksizm należy traktować jako metodę badawczą, a nie jako zbiór dogmatów.

Czeka nas w ogóle — i nie tylko w partii — przewartościowanie wielu ocen i opinii, wielu różnych poglądów. Na przykład jedna grupa zagadnień — to „realny socjalizm", „rewolucja ludowo-demokratyczna", „komunizm" wymyślony przez Włodzimierza Lenina i wiele innych. Ale to jedna grupa zagadnień. Druga to fakt, że pod koniec wojny w Europie Środkowej powstały takie warunki, które sprzyjały dokonywaniu się procesów nazywanych rewolucją ludowo-demokratyczną. Rezultaty takich rewolucji w Europie Środkowej nie musiały rozwijać się w takim kierunku, który wymusił narzucony stalinizm. Powojenna Polska nie musiałaby koniecznie być sanacyjna, mogła na przykład przybrać taki kształt socjalizmu, który byłby akceptowany przez społeczeństwo. Wszakże warunki polityczne sprawiły, że ZSRR mógł narzucić w Europie Wschodniej swój model ustrojowy.

— Stało się jednak tak, jak się stało i dziś Europa Środkowa przeżywa krach „socjalizmu realnego". Czy to należy rozumieć jako pożegnanie się z socjalizmem na zawsze?

— Socjalizm to idea, którą chciałoby się zrealizować, ale nigdzie jej nie zrealizowano. Jeżeli założyć, że teoria formacji społeczno-ekonomicznych nie jest fałszywa, to kapitalizm nie musi być ostatnią taką formacją. Powinien on przeobrazić się w inną formację, którą dziś trudno byłoby nazwać.

— Czy ta teoria rzeczywiście jest prawdziwa?

— Nie negowałbym jej. Zmiany w Polsce po wojnie musiały nastąpić. Kapitalizm dzisiejszy w niczym nie przypomina kapitalizmu sprzed 200 lat. W 1947 roku Polacy byli entuzjastycznie nastawieni do dokonujących się zmian. Chciano nowej Polski. Sytuację tę wykorzystali manipulanci polityczni, którzy przybyli do Polski z ZSRR, jak choćby Bolesław Bierut i jemu podobni, którzy podszywając się pod działaczy komunistycznych, stworzyli po prostu satelitarną republikę radziecką z wszystkimi tego konsekwencjami.

— Skutek tego jest taki, że dziś w tej części świata ludzie dostają uczulenia na dźwięk słowa: „socjalizm", a w innych wcale tak nie jest. Socjaliści wygrywają wybory, zbierają punkty. Na przykład w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

— Socjalizm według koncepcji Karola Marksa był ruchem zmierzającym do utworzenia społeczeństwa socjalnego, czyli opiekuńczego. Idea państwa opiekuńczego legła u podstaw ruchu socjaldemokratycznego, który odciął się od leninizmu. Istnieje zatem potrzeba rozumienia państwa jako wspólnego domu, a nie tylko jako romantycznie pojmowanej ojczyzny. To ma być dom, w którym jest miejsce dla każdego. Natomiast propozycje, jakie padają z kręgu Janusza Korwina-Mikke przypominają propozycje poprzednich ekip. Państwo nie bierze żadnych zobowiązań, wszyscy zobowiązują się wobec państwa. Państwo jest ponadnarodowe, a naród może coś dostać z łaski, albo nie. I dlatego ludzie nie utożsamiali się z państwem, bo było ono represyjne i zajmowało się rozdzielnictwem.

— Czyli państwo nie może wyrzec się funkcji opiekuńczych?

— Nie. Bo takie państwo nie jest społeczeństwu potrzebne. Jeśli ludzie nie wiedzą, że jest tam dla nich miejsce, że ktoś stwarza im warunki dla rozwijania ich działalności, to uciekają z takiego domu. Na przykład młodzi. Oni widzą dla siebie miejsce nie w domu polskim, a europejskim.

— Jakie zatem stanowisko wobec państwa powinna zająć polska lewica?

— Lewica nie może lansować teorii państwa jako wszechwładnego monopolu, ani tym bardziej państwa pozbawionego funkcji opiekuńczych, bo ani jedno, ani drugie nie są potrzebne narodowi. A państwo bez narodu to po prostu absurd.

— Już z tego widać jak wielkiego będzie potrzeba wysiłku, aby dokonać niezbędnych przewartościowań i odrzucić wszystko, co zbędne, fałszywe, obce.

— Tak, ale tego nie można zrobić gwałtownie. Trzeba to robić ewolucyjnie. Musimy najpierw sformułować pytania: co to było, co nazywamy „realnym socjalizmem", dlaczego, z czego wynikało? Jaką rolę odegrały partie: PPS, PPR, PZPR? Trzeba też określić, kto i za co odpowiada? Co zostało nam narzucone, a co wynikało z natury ludzi rządzących? Trzeba rozliczyć się z balastem przeszłości, spojrzeć na tę przeszłość krytycznie, ale odrzucić jej całkowicie nie można, bo nic nie bierze się z niczego.

— Jakie w tym procesie jest miejsce dla lewicy? Co powinna zrobić, aby liczyć się w społeczeństwie?

— Lewica musi określić swój stosunek do państwa socjalnego, do państwa równości i sprawiedliwości społecznej, do państwa, które zmierza do zaspokajania wszelkich aspiracji społecznych, a nie tylko podstawowych potrzeb. Musi określić co z tych idei trzeba odrzucić, a co wziąć do programu i musi określić, jak ten program zamierza realizować.

Sądzę, że Lech Wałęsa powiedział Mieczysławowi Rakowskiemu o tym, że potrzebna nam jest w Polsce tak lewica, jak i prawica z rzeczywistej potrzeby istnienia takich sił, a nie z grzeczności. W Polsce istnieje autentyczna potrzeba kształtowania się ruchów politycznych prawicowych i lewicowych, narodowych, chrześcijańsko-demokratycznych, jak i socjalistycznych. Siły te muszą bowiem w naturalny sposób reagować na wszelkie poczynania na arenie politycznej.

Zadzwoniła do mnie pewna pani, z pytaniem, jak partia, która chce być partią lewicy, reaguje na program Leszka Balcerowicza? Dlaczego posłowie PZPR głosowali za tym programem? Dlaczego PZPR nie protestuje przeciw temu programowi? Jeśli nie była to próba wysondowania mojej opinii, ale odruch naturalny, to pokazuje on, gdzie ludzie będą szukali ratunku przed powstającymi zagrożeniami. Myślę, że właśnie w tych kręgach społeczeństwa nowa partia poszukiwać będzie swoich członków lub sympatyków.

— Z samej negacji nie można jednak budować programu.

— Oczywiście. Jeśli mamy jakieś zastrzeżenia, to nie tylko mówimy: nie! — ale proponujemy inne rozwiązanie. Jest to rozwiązanie alternatywne w imieniu ludzi, którzy utożsamiają się z lewicą lub jej sprzyjają.

— Czy jest wielu zwolenników takich poglądów?

— Powiedziałbym, że takie poglądy są tolerowane.

— Jak to rozumieć?

— Część ludzi w partii podziela takie poglądy, a idzie niekiedy nawet dalej w swoim radykalizmie. Inni myślą podobnie, choć może są bardziej ostrożni w formułowaniu myśli i wniosków. Ale są i tacy, którzy tolerują takie poglądy, nawet je popierają, bo one jakby odpowiadają — w ich mniemaniu — na społeczne zapotrzebowanie, wyrabiają dobrą opinię partii. Ale w głębi duszy starają się pilnować sytuacji w taki sposób, aby takie poglądy zbytnio się nie rozpowszechniły, aby ich zwolennicy nie zaszli zbyt daleko, aby przemiany były nie tak gruntowne, bo to może zagrozić ich interesom.

— Czyje są to interesy?

— Myślę, że jakiejś części aparatu partyjnego, wielu dyrektorów, którzy nie potrafią odnaleźć się w nowych warunkach, kierowników, prezesów, w ogóle ludzi, którzy tkwią nadal w starych układach i boją się, aby te układy nie upadły. I biorą na przeczekanie.

— XI Zjazd PZPR i I Kongres nowej partii automatycznie sytuacji tej nie zmienią.

— Kto na coś takiego liczy, jest w błędzie. To musi być proces, który musi potrwać 2—3 lata.

— Czy to nie zagraża jedności bloku lewicy?

— Taka jedność jest potrzebna i lewicy i prawicy. Rozdrobnienie jest dlatego niebezpieczne, że skrajny populizm mógłby narzucić rozwiązania gwałtowne i niedemokratyczne. Natomiast silna lewica i silna prawica...

— ...czy jak to określił Lech Wałęsa: centrolewica i centroprawica...

— ...mogą być silną zaporą przeciw takim dążeniom.

— Cena za taką jedność może być duża.

— Myślę, że jesienią 1990 roku odbędzie się II Kongres nowej partii i tam już na problem jedności można będzie popatrzeć inaczej. Wtedy może okazać się, że utrzymywanie jedności na siłę jest już zbędne. Spodziewam się, że ten Kongres będzie musiał dokonać silnych cięć kadrowych, dokona nowelizacji programu, być może statutu. Ale dopiero III Kongres nowej partii dokona zmian już na czas dłuższy. Wszystkie te kongresy powinny mieć jak najbardziej roboczy charakter.

— Skąd taki właśnie scenariusz wydarzeń?

— Z realnej oceny sytuacji. Dziś ani lewica, ani prawica nie mają wizji przyszłości. Wiemy jedno. Zamknęła się pewna epoka. Nie ma już Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, jest Rzeczpospolita Polska, jest republika parlamentarna, nie ma realnego socjalizmu nie ma w ogóle socjalizmu, nie ma kapitalizmu, wszystko może się jeszcze wydarzyć, żaden proces społeczny ani polityczny nie jest zakończony. Wszystko trzeba weryfikować, zmieniać, ustalać, dopasowywać do zmieniającej się rzeczywistości.

— I to ma potrwać 2—3 lata?

— Może 3—4 lata. Chodzi nie o to, w jakim to się dokona czasie, ale chodzi o to, że to się musi dokonywać nieustannie. Nie można niczego odkładać na potem.

— Lewica to nie tylko PZPR. Są jeszcze inne partie: PPS, PPS RD, jest socjaldemokracja. Jaki jest wasz stosunek do tych partii?

— Teraz te grupy partyjne patrzą na to, co stanie się z PZPR. Albo zaakceptują nową partię, albo nie. Ale nowa partia będzie musiała szukać sojuszników. Problem współpracy stanie się chyba nieuchronny.

— Niektórzy wspominają także o możliwości sojuszu z lewicą „Solidarności".

— To będzie zależało od tego, czy lewica „Solidarności" ukształtuje się w partię polityczną, która przeciągnie niezadowolonych po transformacji PZPR w nową partię. Odwrotny proces, polegający na przyciągnięciu niezadowolonych z lewego skrzydła „Solidarności" jest raczej wątpliwy.

— A co z młodymi, bez których każdej sile politycznej grozi naturalny uwiąd?

— To będzie zależało od dwu czynników. Pierwszy — to program nowej partii, czy stanie się on również atrakcyjny dla młodych. Drugi — czy powstaną w kraju takie warunki, aby młodzi realizację swoich życiowych celów wiązali z lewicą. Tak się dzieje w normalnych krajach, gdzie część młodego pokolenia robotników i postępowej inteligencji idzie w kierunku lewicy. Może i u nas tak będzie, ale na to trzeba czasu.

— Czy nowa partia będzie już na tyle okrzepła, aby stanąć do wyborów samorządów terytorialnych?

— Patrząc na ten problem w skali Łodzi na pierwszym miejscu postawiłbym strukturę władzy terenowej. Czy będzie to normalne województwo z wojewodą i prezydentem miasta? Czy wojewoda będzie wybierany czy mianowany? Na przykład wojewoda może być mianowany a prezydent wybierany.

— Dlaczego ten problem jest taki ważny?

— Bo ustawia skalę programu i rozmieszczenie sił. W Łodzi — na dobrą sprawę — nie ma żadnej koalicji. Każdy działa w pojedynkę. Łódź jest miastem biednym, pełnym społecznego niepokoju, ale też i ciągle wyczekującym. Tu nie wybuchają tak łatwo bunty. Teraz wszyscy czekają na działanie mechanizmów ekonomicznych, które zostały uruchomione. Jakie będą tego skutki — to też będzie ważne. To uwarunkuje przecież programy wyborcze. Mam nadzieję, że rozwój sytuacji w mieście będzie sprzyjał formowaniu programu lewicy. Będzie to czas nie wielkiej polityki, a konkretnych programów dotyczących rozwiązania danego problemu. Stwarza to szansę dla kandydatów lewicy. Jeśli potrafią przedstawić takie programy, które znajdą poparcie wyborców, mogą wejść w skład rady. Spodziewam się coraz silniejszego nacisku na lokalne programy dotyczące rozwiązywania konkretnych problemów.

— Jaką linię w przededniu XI Zjazdu reprezentuje PZPR w Łodzi?

— Jeśli zmierzyć to frekwencją w partyjnych wyborach — to jeszcze sporą. Ale niektórzy wzięli udział w wyborach traktują to jako ostatni akt obecności w PZPR. Sytuacja materialna partii nie jest najlepsza. Rozpoczęliśmy działalność gospodarczą i będziemy ją rozwijali. Tak postępuje wiele partii na Zachodzie.

— Instancje partyjne w Łodzi dysponują kilkoma budynkami. W innych miastach podjęto już decyzje o przekazaniu ich na cele społeczne. Dlaczego w Łodzi zwleka się z tym?

— Mam w tej sprawie pogląd, ale nie jest to pogląd kierownictwa łódzkiej instancji partyjnej. Uważam, że na potrzeby nowej partii wystarczyłby budynek przy ulicy Piotrkowskiej, w którym mieściła się szkoła partyjna i ośrodek kształcenia.

— Można by zatem oddać budynek przy al. Kościuszki, budynki komitetów na Bałutach i Widzewie.

— Jest już wniosek o to, aby oddać je na potrzeby społeczeństwa i miasta. Przychylam się do tego wniosku.

— Jaka będzie struktura nowej partii?

— Przewiduje się powołanie Zarządu Krajowego i Rady Krajowej. Będą też Rady Wojewódzkie, jako ciała społeczne i Komitety z sekretarzem i grupą zawodowego aktywu. Decyzje zapadną dopiero po kongresie.

— Czy są przesłanki, które wskazywałyby, że nowa partia naprawdę będzie nowa?

— Jestem umiarkowanym optymistycznym realistą. A to znaczy, że przemiany w partii wiążą się ze zmieniającą się rzeczywistością. Jeśli partia będzie czuła na te procesy, to musi się rzeczywiście zmienić. Nie ma innej drogi!

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Komu nagrodę „Odgłosów"?

KRYSTYNA BOBROWSKA: — Wspierać tych, którzy potrafią pokonywać trudności.

Niepokojąco często pojawia się ten problem. Pamiętam w latach siedemdziesiątych szeroką dyskusję na łamach bodaj całej łódzkiej prasy — „Teatr jaki mógłby być". Potem „Czy Łódź jest miastem dobrym dla kultury" (Głos Robotniczy) i wiele artykułów poruszających ten temat m.in. również przez „Odgłosy".

O pustyni kulturalnej nie mówimy, raczej o „tundrze". Wystarczy przecież wziąć do ręki codzienną prasę czy „Kalejdoskop", żeby przekonać się, ile propozycji czeka na spragnionego kontaktu z kulturą mieszkańca miasta. Ale ile tu przeciętności, a ile wydarzeń. Rzadko można obejrzeć świetne przedstawienie teatralne, aktora X, którego koniecznie trzeba zobaczyć w roli Y-ka, wysłuchać koncertu wybitnego muzyka. Udane występy gościnne tylko na krótko ożywiają łódzkie środowiska kulturalne. Chlubne wyjątki to muzea, gdzie prawie zawsze dzieje się coś ciekawego; plastycy, fotograficy, ruchliwy Teatr Wielki... Co zrobić, aby te wszystkie ciekawe wydarzenia nie były wyjątkami, a regułą?

Trudne pytanie... Zdaję sobie sprawę, że znajdujemy się w bardzo trudnym okresie nie tylko dla kultury. Ale nie powinno się ustawać w dążeniu do stworzenia „łódzkiego lobby". Aby się tak stało muszą być spełnione określone warunki. Przede wszystkim więcej poczucia własnej godności i wartości miejsca, w którym przyszło nam żyć i pracować. Więcej wzajemności, życzliwości i zainteresowania. Odwagi w promowaniu widocznych, wręcz eksplodujących talentów i zjawisk artystycznych. Iluż wspaniałych ludzi znanych jest ze swoich działań bardziej poza Łodzią, poza Polską niż we własnym mieście? Zresztą bardzo często zaczynamy ich doceniać dopiero wtedy, gdy opuszczą Łódź. (.)

A czy główną przyczyną ogarniającej nas przeciętności nie jest przede wszystkim brak indywidualności? Tak, bardzo potrzeba nam indywidualności, która potrafiłaby skupić wokół siebie utalentowanych ludzi, a „promieniowanie" tej grupy natychmiast podniosłoby temperaturę odbioru sztuki i przyciągnęło innych. Ale potrzeba nam także piękna, którego w tym mieście — niestety — nie uświadczysz. Już nie mówię o dzielnicy, ulicy czy parku, ale brak nam choćby estetycznych, sympatycznych kawiarni, eleganckich klubów. Nie mówiąc już o bezpowrotnie zaprzepaszczonych lokalach typu „Esplanada", „Ziemiańska" czy Klub Pickwicka. I wielu, wielu innych rzeczy...

W pierwszych latach po wojnie właśnie Łódź była centrum kulturalnym. Tutaj znalazło schronienie wiele znakomitych teatrów i wybitnych artystów. Jak się później okazało był to tylko „przystanek" w drodze do Warszawy. Nie wykorzystano szansy, by chociaż kilku z nich tu zatrzymać. Władzom na tym nie zależało. Słyszałam, iż pewien znany kompozytor chciał na stałe osiedlić się w Łodzi. Powstał problem mieszkania. Kiedy zwrócił się z tą sprawą do urzędnika wysokiego szczebla usłyszał: — Mój szwagier też nie ma mieszkania — może porozmawiamy teraz o czymś przyjemniejszym.

Redakcja „Odgłosów" od wielu lat przyznaje nagrody w dziedzinie upowszechniania kultury. Komu ja przyzna w tym roku? Moi kandydaci? Jestem usatysfakcjonowana, ponieważ moi kandydaci już te nagrodę dostali. Przed wielu laty wskazywałam z imienia i nazwiska: Ryszarda Stanisławskiego, Antoniego Szramę, Sławomira Pietrasa; również inż. Lenzerdorfera z ogromnym zaangażowaniem próbującego wówczas budować nowy gmach filharmonii.

A w tym roku? Od lat z satysfakcją obserwuję spokojną, ale sympatyczną i efektowną pracę mgr Bernarda Keplera i kierowanego przez niego Biura Wystaw Artystycznych oraz Krystyny Weintritt — szefowej Klubu Nauczyciela. Tam nie widać kryzysu. Jak ona to robi?

Zanotowała:
ANNA GRONCZEWSKA

Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy" za rozwijanie kultury w roku 1989.

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy" za rozwijanie kultury w 1989 roku w wysokości 100 tysięcy złotych przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów" oraz stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.
2. Kandydatami do nagrody mogą być ludzie lub zespoły ludzi, którzy w 1989 roku wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, eksperymentami, poszukiwaniem nowych form, poczynaniami organizacyjnymi oraz wybitną aktywnością w rozwijaniu kultury, co znalazło potwierdzenie w praktyce.
3. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana jednej osobie lub zespołowi.
4. Do nagrody tygodnika „Odgłosy" można kandydować wiele razy, jeśli osiągnięcia w rozwijaniu kultury w minionym roku upoważniają do złożenia właściwego wniosku.
5. Laureaci nagrody tygodnika „Odgłosy" za rozwijanie kultury mogą kandydować ponownie dopiero po upływie 5 lat od roku otrzymania nagrody.
6. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie, dokładnie udokumentowany działalnością obejmującą rok 1989 i zgłoszony w redakcji tygodnika „Odgłosy" do 31 stycznia 1990 roku
7. Jury może odstąpić od przyznania nagrody, jeżeli liczba kandydatów będzie mniejsza niż trzy albo jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom regulaminu.
8. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy" jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa Książka-Ruch".
9. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy" na wniosek redaktora naczelnego „Odgłosów" powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.
10. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy" wchodzą:
— przedstawiciele Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,
— dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy",
— przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi
— przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, regionalnych, zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy i innych.
Skład jury nie może przekraczać 11 osób.
11. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja 1990 roku.

ze str. 1

3.

Wbrew wszelkim próbom hagiograficznym Bolesław Bierut nie wyssał socjalizmu wraz z mlekiem matki, nie nauczył się go od ojca rewolucjonisty, ani od braci, do partii — PPS — wstąpił mając 20 lat. Był samoukiem. Zajmował się murarką, uczęszczał na kursy samokształceniowe, nauczył się zecerki. Zaczął pracować w spółdzielczości. Socjalizmu nauczył go Jan Hempel, który w 1936 roku został rozstrzelany w ZSRR jako... polski agent Stanisław Szwalbe, który pracował z nim w spółdzielczości i któremu Bolesław Bierut wiele zawdzięcza, tak go scharakteryzował:

„Bierut, gdy go poznałem w 1917 roku, był młodym człowiekiem, idealistycznie nastawionym do świata. Przewodniczył kołu młodzieży abstynenckiej, na porankach niedzielnych w Lublinie zajmował się odczytami o klasycznej literaturze polskiej, recytował utwory Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Potem przeszedł metamorfozę, odszedł od spółdzielczości, od PPS-Lewicy — został komunistą, w końcu kominternowcem i zagorzałym stalinowcem"

Od 1 sierpnia 1923 roku pracował w Zagłębiu Dąbrowskim w tamtejszej Robotniczej Spółdzielni Spożywców był członkiem tamtejszych władz KPRP Nosił wtedy pseudonim Tomasz Biały. Aresztowano go 14 października 1923 roku zwolniono po 10 dniach oddano pod nadzór policji. Następnie ponownie aresztowano 15 września 1939 roku przebywał w więzieniach w Sosnowcu, Będzinie, Poznaniu, Łodzi i Częstochowie i 14 grudnia zwolniony z braku dokumentów Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok spędził na wolności i już 9 stycznia 1924 roku znalazł się w więzieniu mokotowskim. Toczyło się przeciw niemu śledztwo za nielegalną i wywrotową działalność w Warszawie w 1922 roku. Zwolniono go za kaucją 13 stycznia 1924 roku, w maju tegoż roku odbył się proces przed sądem okręgowym i Sąd Apelacyjny go uniewinnił.

Do tej pory wszystko jest proste i nic nie wskazuje, aby działaczem spółdzielczym i funkcjonariuszem partyjnym średniego szczebla miano interesować się w Moskwie. Bolesław Bierut wraca więc do Zagłębia Dąbrowskiego, gdzie przebywa do października 1924 roku. Następnie wraca do Warszawy i po roku pobytu w stolicy Polski wyjeżdża — nielegalnie oczywiście jako Iwaniuk — do ZSRR. Dokładnie w październiku 1925 roku. Przez 9 miesięcy studiuje w szkole partyjnej KPP pod Moskwą. Na przełomie listopada i grudnia 1925 roku jako „Mietek" jest gościem IV Konferencji KPP. Tam widać zainteresowano się bliżej młodym polskim komunistą, gdyż wraca do Polski w 1926 roku już jako szef Centralnej Techniki KPP, a pod tą nazwą rozumiano nielegalną działalność wydawniczą i propagandową KPP.

„Słownik Biograficzny Działaczy Polskiego Ruchu Robotniczego" w tomie I tak zamyka ten okres:

„Od 15.I.1927 więziony był w Warszawie na Mokotowie; zwolniony 30.IV. tr. Podczas IV Zjazdu KPP (22.V. — 9.VIII.1927 p. Moskwą) wchodził do Tymczasowego Sekretariatu KC KPP. W 1928—1930 przebywał jako Wagner w ZSRR, gdzie był słuchaczem Międzynarodowej Szkoły Leninowskiej".

Wtedy właśnie został funkcyjnym działaczem Kominternu (Komunistycznej Międzynarodówki) i jako jej działacz przebywał w Austrii, Bułgarii i Czechosłowacji. Z Bułgarii uciekł przed policją niemal w ostatniej chwili przed aresztowaniem. W końcu 1932 roku powrócił do Polski i pracował jako sekretarz Komitetu Okręgowego KPP w Łodzi.

Dlaczego Józef Stalin skłamał?

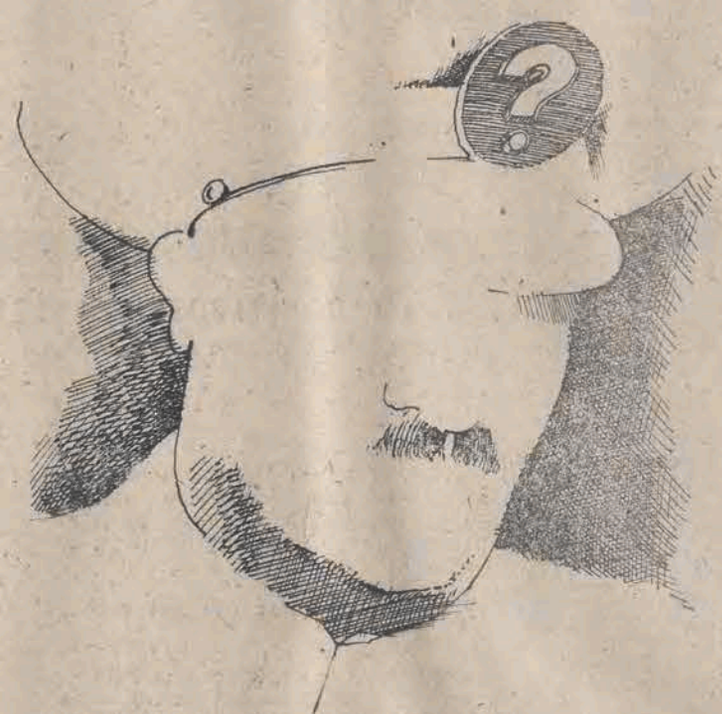

Rys. Dariusz Romanowicz

4.

Wszystko wskazuje, że wymiana miała miejsce w kwietniu 1927 roku. Ale to nie jest do końca takie pewne, gdyż — po pierwsze — brakuje dokumentów, które by ten fakt potwierdziły, a po drugie — osoby znające Bolesława Bieruta z tamtego czasu faktu tego nie potwierdzają. Wydawana przez Oficynę Literatów „Rój" seria „Białe Plamy" przyniosła rozmowy ze Stanisławem Szwalbe i Edwardem Osóbką-Morawskim. Oto, co na ten temat powiedział Stanisław Szwalbe:

— „Bierut już w 1922 roku był zdecydowanym komunistą. Pojechał do Związku Radzieckiego. Mniej więcej w 1926 roku, nielegalnie.

— Edward Osóbka-Morawski twierdzi, że Bierut znalazł się w ZSRR na zasadzie wymiany więźniów politycznych między Rzeczpospolitą Polską a Związkiem Radzieckim — pyta rozmówczyni Stanisława Szwalbe, Elżbieta Łapińska.

— Pierwszy raz o tym słyszę, że on skorzystał z wymiany. Nigdy mi o tym nie mówił, nigdy się z taką wersją nie zetknąłem".

A Bolesław Bierut miał ogromne zaufanie do Stanisława Szwalbe, bo gdy w 1943 roku wrócił nielegalnie do Warszawy, to zgłosił się do niego z prośbą o przechowanie.

Edward Osóbka-Morawski poznał Bolesława Bieruta znacznie później. Skąd zatem wie o wymianie?

Z Edwardem Osóbką-Morawskim rozmawiała też Elżbieta Łapińska.

— „Proszę pani, on wyjechał do ZSRR pierwszy raz w 1927 roku. Został wykupiony, wypuszczony z więzienia w zamian za innego więźnia, którego Stalin oddał naszym władzom. W Moskwie Bierut zaczął pracować w Kominternie, był jego funkcjonariuszem. Z ramienia Kominternu wyjeżdża do Bułgarii i innych państw. No a potem, jak zobaczył co się dzieje, jak tam giną komuniści i wodzowie rewolucji, to się zapewne przestraszył i w Polsce oddał się z powrotem w ręce wymiaru sprawiedliwości.

— Skąd pan o tym wie? Bierut panu o tym mówił? Oficjalni biografowie Bieruta milczą na ten temat...

— Kiedy Jerzy Kornacki i Helena Boguszewska pisali przed referendum nasze życiorysy, w tym życiorys Bieruta, żyła jeszcze Marcjanna Fornalska, jego teściowa, która przed wojną mieszkała w Mińsku Litewskim i ona Kornackiemu o tym opowiedziała a Kornacki powtórzył mnie. Wiem, że Bierut nie był zadowolony, iż takie tajemnice ona ujawniła".

5.

W 1933 roku Bolesław Bierut jako „Wacek" został sekretarzem KC Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom w Polsce i współredaktorem „Więźnia politycznego". Aresztowano go w Warszawie 18 grudnia 1933 roku i 19 lutego 1935 roku skazano na 7 lat więzienia. Wypuszczony został przed terminem 11 grudnia 1938 roku. Są liczne dowody na to, że od początku września 1939 roku przebywał w Warszawie i pracował w spółdzielczości. Edward Osóbka-Morawski tak to określa: *„oddał mi pieczątkę, kasę i poszedł na wschód. Poszedł tam, skąd nielegalnie wrócił".* A zatem w 1938 roku nie mógł być wymieniony. Pozostaje tylko i wyłącznie rok 1927.

6.

Obowiązkiem badacza przeszłości jest krytyczna ocena przekazów, którymi się posługuje, ich konfrontacja z innymi dokumentami. Nie jest to łatwe zadanie, gdyż możliwość takiej konfrontacji jest ograniczona. Nie wszystkie sejfy z dokumentami zostały otworzone. Spróbujmy zatem zastanowić się nad tym, czym dysponujemy.

1. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Winston Churchill, zgłaszając zastrzeżenia co do osoby Bolesława Bieruta jako kandydata do urzędu prezydenckiego, dysponował materiałami wywiadu brytyjskiego, z których wynikało, że Bolesław Bierut był wymieniony jako więzień polityczny. Dlaczego zatem Winston Churchill nie zdemaskował kłamstwa Józefa Stalina? Po pierwsze dlatego, że Stalin faktu wymiany nie zdementował, po drugie dlatego, że Polska została oddana pod wpływy ZSRR i Winstona Churchilla zadowoliło drobne kłamstwo Stalina. Inaczej sobie tego nie umiem wytłumaczyć.

2. Bolesław Bierut nie musiał z wszystkiego zwierzać się Stanisławowi Szwalbe. Jeśli został wymieniony w 1927 roku — a wszystko wskazuje, że tak, — to też wówczas został pracownikiem NKWD. Przyjeżdżając do Polski, aby w 1943 roku budować front ludowy, nie było powodu, aby tym się chwalić. Stwierdzenie, że *„nigdy mi o tym nie mówił"* nie może być żadnym argumentem.

3. Relacja Edwarda Osóbki-Morawskiego jest słabym argumentem, gdyż — po pierwsze — Bolesława Bieruta poznał dość późno, po drugie, — jest to relacja zasłyszana, a więc już z drugiej ręki, niczym nie udokumentowana, po trzecie, — Edward Osóbka-Morawski myli się stwierdzając, że B. Bierut *„po raz pierwszy"* wyjechał do ZSRR w 1927 roku. Był już tam w 1925 roku.

7.

Jeśli więc gdziekolwiek należałoby szukać śladów przynależności Bolesława Bieruta do NKWD, to przede wszystkim i jedynie w latach 1927—1930, kiedy był on słuchaczem międzynarodowej szkoły Kominternu i funkcyjnym pracownikiem tegoż.

Ale wśród wielu zagadek z życia Bolesława Bieruta jest jeszcze druga, która też ma chyba związek z NKWD i pracą jego w Kominternie. To wyjaśnienie, skąd wziął się w 1942 roku w Mińsku na Białorusi. Ale to osobna historia.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Lista represjonowanych w stanie wojennym

Kontynuujemy dziś druk listy osób internowanych w okresie stanu wojennego. Rozszerzenie rejestru o nowe nazwiska zawdzięczamy panu Bronisławowi Paluszyńskiemu, który potajemnie przemycił za mury więzienia łowickiego spis osób represjonowanych, wykorzystując egzemplarz Nowego Testamentu, na wyklejkach którego znalazła się właśnie spisana maczkiem lista.

W bieżącym odcinku przekazujemy także pierwsze sprostowania i uzupełnienia. Dziękujemy za nie naszym Czytelnikom i prosimy ich w dalszym ciągu o pomoc w sporządzaniu tej listy.

K. F.

INTERNOWANI

1. Marek Badaj
2. Wojciech Barszczewski
3. Longin Chlebowski
4. Andrzej Chybiński
5. Wojciech Dyniak
6. Józef Fornalczyk
7. Jerzy Gajdziński
8. Andrzej Gałka
9. Stefan Ignaczak
10. Roman Jagodziński
11. Stanisław Knas
12. Januariusz Kowalewicz
13. Marek Łęcki
14. Stanisław Macherowski
15. Grzegorz Maliszewski
16. Józef Milecki
17. Grzegorz Mniszewski
18. Tomasz Mysłek
19. Stanisław Nowacki
20. Bronisław Paluszyński
21. Marian Papis
22. Stefan Rudzki
23. Krystyna Skolecka-Kona
24. Cezary Staroń
25. Wojciech Szczeciński
26. Roman Walas
27. Janusz Waśniewski
28. Andrzej Wójcik
29. Bogdan Zakrzewski
30. Mieczysław Zaręba.

SKAZANI ZA DZIAŁALNOŚĆ ZWIĄZKOWĄ

1. Anna Fajkowska (1 rok 4 miesiące)
2. Jerzy Sztybel (2 lata)
3. Zbigniew Trusiński (2 lata)

SPROSTOWANIA

Wydrukowano mylnie:
1. Janina Jaraszewska
2. Jadwiga Mękarska
3. Bolesław Wrzesiński
4. Henryk Michaluk

Powinno być:
1. Janina Juraszewska
2. Jadwiga Menkarska
3. Ignacy Wrzesiński
4. Janusz Michaluk

C.D.N.

Każdy jest pasażerem.

Co jeszcze można zrobić, aby MPK było sprawniejsze?

Rozmowa z CZESŁAWEM RYDECKIM — dyrektorem Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Łodzi.

3892-A

Czy zechciałby pan ocenić łódzką komunikację?

— Oceniam, że komunikacja w Łodzi nie jest może najlepsza w Polsce, ale utrzymuje się w górnej strefie dobrego poziomu. Natomiast z liczb wynika, że jest bardzo dobra — mamy największe wskaźniki wykorzystania posiadanego taboru. Liczba godzin przepracowanych przez naszych pracowników jest maksymalnie duża. Większość pracowników pracuje po 14 miesięcy w roku, jest to nieprawidłowe, ale wymuszone życiem. Przecież tramwaje spinane są po trzy nie dlatego, że to był mój pomysł, ale dlatego, że nie ma motorniczych. Zdaję sobie w pełni sprawę, że komunikacja nie pokrywa stale rosnących potrzeb mieszkańców aglomeracji, lecz w tej chwili wybieramy „mniejsze „zło"", aby po trochu zaspokoić wszystkich.

— Dyrektorem MPK jest pan już lat kilka, bo od 1986. Co było złe w przedsiębiorstwie i co się panu od tamtej pory udało zmienić?

— Co złego? Jeżeli było zło, to powinienem mu przeciwdziałać, bo pracuję w MPK 17 lat. Przez kilka lat byłem zastępcą dyrektora. Na pewno, i to uważam za swój sukces, dobrze jest zgrany kolektyw — mam na myśli wszystkie organizacje działające w przedsiębiorstwie. Ci wszyscy ludzie chcą dla przedsiębiorstwa coś zrobić i idą ku jednemu celowi, i choć życie idzie swoją ścieżką, to my staramy się tylko na niej nie potrącać. Udało mi się także, ale z trudem — bo najtrudniej zmienić mentalność — wprowadzić elementy oszczędnościowe.

Pasażerowie skarżą się na zimne tramwaje i autobusy, ale ponieważ koszty ogrzewania są ogromne, muszę wybrać mniejsze zło — albo pieniądze na utrzymanie komunikacji albo na ogrzewanie. W starych tramwajach są grzejniki na prąd hamowania i one funkcjonują niemal za darmo, ale w nowych typach używamy prądu z sieci. Pozostaje mi tylko przeprosić pasażerów, że są narażeni na takie niedogodności, ale jeżeli nastaną silne mrozy, to będziemy ogrzewać pojazdy.

— Co podczas pełnienia funkcji dyrektora MPK zrobił pan dla swoich ludzi?

— Nie bardzo lubię się chwalić, bo to taka wyliczanka, ale chcę poruszyć jedną sprawę. Uważam, że w przedsiębiorstwach usługowych, a MPK jest właśnie takim, trzeba szczególny nacisk położyć na wynagrodzenie, jakie otrzymują ludzie za wysiłek włożony w pracę. W zakładach przemysłowych prostą siłę roboczą można wyeliminować za pomocą automatyzacji, w przypadku usług transportu jest to niemożliwe, bo nie wstawię do tramwaju czy autobusu robota. U ludzi pracujących w MPK następuje zachwianie naturalnego rytmu biologicznego — w dzień śpi, w nocy pracuje, ponieważ są różne godziny rozpoczynania i kończenia pracy. Obserwowałem jak wygląda system płac w innych przedsiębiorstwach komunikacyjnych na świecie i tam udział płac w kosztach ogólnych jest znacznie wyższy niż w przemyśle. W MPK osiągnęliśmy przyzwoity udział płac w kosztach i to też uważam za — mniej swój, a bardziej całego kolektywu — sukces. Ja zastałem ten udział na poziomie 27 procent, teraz jest — 34. Duży nacisk kładę na sprawy socjalne, na sprawy wypoczynku, bo moi ludzie rzeczywiście ciężko pracują. Jak ktoś zobaczy kanał od środka; z tramwaju albo autobusu kapie na głowę; jak jest mróz, klucz przymarza do ręki, to nie chciałby tu pracować.

— Porozmawiajmy trochę o pieniądzach. O ile moje wiadomości są dobre, to nie ma na świecie komunikacji miejskiej nie dotowanej. Jakie systemy dopłat do miejskich komunikacji funkcjonują na świecie?

— Też nie znam takiej komunikacji miejskiej. Trzeba jednak wziąć pod uwagę jeden, dość szczególny element i podzielić komunikację na taką, gdzie jest ona podstawowym środkiem transportu i na taką, gdzie została wprowadzona dla rozładowania korków ulicznych, jak ma to miejsce w wielu miastach zachodnioeuropejskich. Tam komunikacja nie jest przeciążona, autobusy, tramwaje, trolejbusy jeżdżą prawie puste, zaś firmy zachęcają, żeby podróżować ich środkami. W niektórych są takie luksusy jak toalety, telewizory, nagłośnienie czy prasa. W naszych warunkach komunikacja jest podstawowym środkiem transportu. Wracając do spraw finansowych trzeba powiedzieć, że komunikacja miejska jest dotowana w zależności od polityki, jaką prowadzą władze miejskie. Dopłaty wahają się od 14 do 95 procent. Można przyjąć, że średnio 40 procent to wpływy ze sprzedaży biletów, a reszta to dopłaty z budżetu miasta. Są na świecie rozwiązania, gdzie rady miejskie finansują tylko przedsięwzięcia związane z komunikacją w mieście np. remonty, rozbudowa torów; remonty i zakup nowego taboru, natomiast koszty eksploatacji pokrywane są ze sprzedaży biletów. Są i takie rozwiązania, gdzie rady miejskie dopłacają do kwoty uzyskanej ze sprzedaży biletów.

— A jaki powinien być w Łodzi system dotowania przedsiębiorstwa?

— O! — to jest trudna sprawa i wiele osób „zjadło zęby" na szukaniu sposobu. Mamy w MPK przegląd form dotowania komunikacji miejskiej w miastach Europy, lecz nie ma wśród nich uniwersalnego. Szukamy rozwiązania które dałoby gwarancję, że jeżeli przedsiębiorstwo wykona zamówioną przez urząd miejski ilość usług, to na tę ilość otrzyma pokrycie finansowe. O sposobach, w jakich te pieniądze mogą być rozliczone, już mówiłem. U nas na przykład jest przyjęta zasada dopłaty do tzw. wozokilometra, czyli ile jeden wóz przejedzie w ciągu roku, to tyle pieniędzy otrzyma przedsiębiorstwo. W tej chwili szukamy nie tylko w Łodzi, ale w całej Polsce — sposobu dopłat do komunikacji i dlatego dyrektorzy przedsiębiorstw takich jak MPK spotykają się i dyskutują nad pewnymi formami dopłat. Przez ostatnie dwa, trzy lata rozważaliśmy różnego rodzaju wersje i opracowania, które były spójne z systemami finansowymi, jakie wtedy funkcjonowały, ale żadna z nich nie znalazła uznania władz i zostały odłożone na półkę. W tej chwili zmienił się cały system i trzeba od nowa przyporządkowywać mu nasze spojrzenie na sprawy. Jedno jest pewne — komunikacja powinna być dobra, lecz wszyscy powinni sobie uświadomić, że dobra komunikacja kosztuje. Do tej pory wszystkie potrzeby ludności były traktowane — przepraszam za brzydkie słowo — jako chciejstwo. Nikt natomiast nie mówił, ile kosztuje komunikacja. W tej chwili mam przygotowane pisma do naczelników ościennych gmin i miast, żeby tamtejsze rady zrozumiały, że komunikacja kosztuje, że MPK nie jeździ dlatego, że musi. Dążę do sytuacji, aby wszyscy użytkownicy partycypowali w utrzymaniu komunikacji miejskiej. W niektórych państwach Europy fabryki leżące w paśmie 300 metrów od szlaku komunikacyjnego są opodatkowane na rzecz komunikacji, bo bez niej przestałyby istnieć. Łódzkim przykładem jest choćby „Feniks" leżący na obrzeżach miasta. Takie opodatkowanie jest również źródłem dopłacania i w tym kierunku też chcemy iść. Są już symptomy nowego myślenia i na przykład Pabianice w dużym stopniu przyczyniają się do modernizacji komunikacji. Także finansowanie budowy wiat przez dzielnicowe rady narodowe jest znakiem nowego.

— Jedną z form dotowania były dopłaty z budżetu centralnego.

— Tak, do czerwca 1989 roku autobusy i tramwaje były kupowane przez Ministerstwo Transportu, które płaciło 70 procent wartości, resztę płaciło przedsiębiorstwo. Uchwała Rady Ministrów najpierw takie możliwości przekreśliła, aby później przywrócić. Jest w tym wszystkim tylko pewien drobiazg — ministerstwo nie ma pieniędzy. Pozostało mu około ośmiu miliardów złotych, które zostaną podzielone między wszystkie przedsiębiorstwa komunikacji miejskiej. Podejrzewam, że w 1990 będzie już pełne samofinansowanie przy zakupie taboru, które wiąże się z ogromną uciążliwością i dla ilustracji, jak dużą, podam, że na początku roku 1989 tramwaj kosztował 20 milionów, na koniec roku cena wynosiła 115 milionów.

— Skoro w 1990 za każdy tramwaj będzie musiało płacić przedsiębiorstwo, to czy będzie mógł pan zamówić jakiś model specjalny?

— Jedyny polski producent — „Konstal" z Chorzowa robi je dobrze, ale nie jest to standard światowy. Prowadziłem już rozmowy z zarządem tej fabryki, że w sytuacji kiedy skrupulatniej zaczynamy liczyć pieniądze, należałoby wymagać od tramwaju, aby był po prostu trwalszy i „Konstal" podejmuje już pewne działania w tym kierunku. Zaproponowałem także, o ile możliwości techniczne producenta pozwolą, aby przedstawiał nam różne wersje tramwaju np. w wersji standard i w wersji z lakierem wysokiej klasy, trwalym i mniej brudzącym się.

— Słyszałem o tramwajach dla Łodzi z jakiegoś niemieckiego miasta.

— Dostaliśmy ofertę przekazania nam dziewięciu tramwajów. Z informacji wynika, że nadają się do łódzkich warunków — takie samo napięcie, rozstaw kół... Wkrótce pojedziemy do RFN, aby na miejscu wszystko zobaczyć, ustalić i jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, to zaczniemy je sprowadzać do Łodzi.

— A co z autobusami. Wiem o umowie z Węgrami — za wyroby przemysłu lekkiego mamy dostać autobusy.

— Otrzymałem zgodę od prezydenta na podjęcie rozmów z „Textilimpexem", który podejmie się zrealizowania całego kontraktu. Bardzo ważna, wręcz podstawowa jest decyzja władz miasta, że będą pieniądze na zakup rubli koniecznych do przeprowadzenia transakcji.

Foto: Grzegorz Gałasiński

— Ile pan się spodziewa uzyskać Ikarusów?

— Umowę przygotowujemy na 40 autobusów. Nie ma technicznych możliwości, aby przedsiębiorstwo przyjęło w ciągu roku więcej niż 100 autobusów, a wynika to stąd, że później one jednocześnie wchodzą w okres remontów, a wyremontować w ciągu roku setkę autobusów jest bardzo trudno. Dlatego też staramy się, aby dostawy były mniejsze, ale za to regularne i na jednakowym poziomie — 70 — 80 wozów.

— W raporcie o MPK jest napisane, że w 1988 roku przewieźliście 843 miliony pasażerów. Ilu wśród nich było przeklinających pańską firmę?

— Zacznę w ten sposób. Perełką w morzu skarg i pretensji jest telefon dziękujący, że kierowca zaczekał, że motorniczy pomógł wsiąść staruszce. Takie listy i telefony są rzadkością, bo ludzie najczęściej tego nie widzą, a nawet jak widzą, to nie kwapią się do pochwał. Natomiast mnóstwo jest skarg, na które staramy się odpowiadać. Czasami są to skargi niesłuszne, no bo trudno, żeby pasażer stojący w jakimś miejscu w centrum wiedział, że gdzieś jest awaria i dlatego autobus nie przyjeżdża. Czasami przychodzą ludzie i mówią, że spóźnili się do pracy, bo nie mieli czym dojechać i chcą uzyskać zaświadczenie, aby nie potrącano im premii. Analizujemy takie sprawy i najczęściej dochodzimy do wniosku, że gdyby ten ktoś wyszedł trochę wcześniej z domu, to zdążyłby na czas, bo w danym dniu i o danej godzinie nie było nigdzie awarii. Z całą konsekwencją walczymy z nieprawidłowościami, np. jazda parami, która często jest spowodowana małą elastycznością rozkładu jazdy. Robimy w tej chwili pewną przymiarkę do zmodyfikowania rozkładów jazdy w ten sposób, aby dać większą swobodę i możliwości operatywnego działania dyspozytorom krańcówkowym, tak aby mogli decydować o wcześniejszym odjeździe autobusu. Jest w przedsiębiorstwie system mandatowy za przewinienia w ruchu np. za jazdę „stadami", za rozmówcę w kabinie, za niestosowne zachowania naszych pracowników.

— Mówił pan na początku rozmowy o tym, co robi pan dla pracowników MPK. A co dla pasażerów?

— Potrzeby pasażerów są bardzo zróżnicowane. Zilustruję to przykładem linii pośpiesznych, które teraz są bardzo krytykowane. Kiedy je tworzyliśmy, naszym celem było stworzenie linii szybkich, łączących skrajne części miasta, osiedla, dworce. Staraliśmy się je tak prowadzić, aby nie biegły wspólnymi trasami z tramwajami i miała to być komunikacja wyższego standardu za wyższą cenę. I co się z nimi stało? To co miało być szybkie, wygodne i w miarę drogie, w wyniku postulatów stało się wolne. Gdyby teraz podjąć decyzję o przemianowaniu tych linii na „czarne" ich atrakcyjność, ze względu na trasy, spowodowałaby ich załamanie. Można przyjąć inny wariant — zlikwidować autobusy pośpieszne i tym taborem zasilić linie zwykłe. Można zmodyfikować cały układ komunikacyjny w ten sposób, że autobusy zbierają ludzi i dowożą do punktu, gdzie następuje przesiadka do tramwaju, który jest pojazdem pojemniejszym. I takie rozwiązania są w niektórych miastach stosowane. Mamy opracowany i przygotowany do uruchomienia projekt linii ekspresowych, które będą oparte o istniejące w Łodzi „szybkie" trasy — al. Włókniarzy, Mickiewicza, Promińskiego... i które powinny zapewnić bardzo szybkie przemieszczenie w ważne punkty miasta. Przy czym jest tu jeden warunek — jeżeli nie mogę gwarantować ludziom przyzwoitej komunikacji normalnej, to nie mogę — byłoby to nieuczciwe — za dużą cenę proponować luksusu. I dopóki nie wypracuję lepszych warunków komunikacji podstawowej, to nie podejmę decyzji o uruchomieniu tych linii.

— Ale jakieś nowe linie to pan uruchamia?

— Tak, bo nadal są postulaty o wydłużenie linii, lecz zdaję sobie sprawę, że przy stałej ilości pojazdów każda moja decyzja o wydłużeniu jest podcięciem gałęzi, na której siedzimy. Każda taka decyzja to także więcej telefonów o awaryjności układu — nie dodając pojazdów nie podnoszę, a obniżam standard komunikacji. Jest postulat, aby wydłużyć jedną z linii do Strykowa, lecz będzie to kosztem linii jeżdżącej do Skotnik, bo autobus jeździł do tej pory co 40 minut, teraz będzie jeździł co dwie godziny. Ale jeżeli jeden autobus się zepsuje, to oczekiwanie wydłuży się do czterech godzin i będzie dużo czasu, żeby zadzwonić i powiedzieć, że komunikacja źle funkcjonuje. Obawiam się, że w tej chwili naprężamy ten układ do granic wytrzymałości grożących pęknięciem. Dla pasażera to tylko jeden kilometr, tylko że w tym kilometrze jest ileśset ludzi, którzy dociążą moje pojazdy. Ja muszę tam dołożyć 1 — 2 autobusy miejskie, bo jak nie, to się linia załamie. Jest pojęcie optymalnej ilości autobusów na linii, poniżej której zejść nie można, bo ona przestanie funkcjonować. Jeżeli założymy, że na linii powinno być 10 pojazdów, a będzie tylko 6, to linia nie będzie „jeździła" i praktycznie przestanie funkcjonować, bo autobus nie będzie mógł ruszyć z przystanku, a jeżeli ruszy to będzie tak przeciążony, że zaraz się zepsuje. Stąd też nie przez nasz upór, ale z braku możliwości technicznych nie możemy spełnić pewnych postulatów.

— A jakieś nowe technologie?

— Nowe technologie są nie tylko dla MPK, są przede wszystkim dla ludzi, dla których komunikacja miejska jest uciążliwą koniecznością. Jednym z jej uciążliwych skutków jest hałas pochodzący od pojazdów. I mimo, że nowy model tramwaju jest znacznie cichszy od swoich poprzedników, to jednak i tak znacznie hałasuje. Każda zabudowa, każda budowla drogowa — most, kanał pod ulicą, powoduje inny rozkład hałasu. Mieliśmy wielki problem w okolicy Piotrkowskiej 270. Pod jezdnią przechodzą wielkie kolektory i tramwaje jeździły na nich jak na pudłach rezonansowych i hałas roznosił się na okoliczne domy. Zastosowaliśmy na torowisku technologię wielkiej płyty z wykorzystaniem elementów tłumiących, hałas został zmniejszony. Taki odcinek torów jest między innymi na ulicy Narutowicza. Nie wiemy jak się zachowa ten tor po nastu latach, jedno jest pewne — w przyszłości remont będzie o wiele tańszy i szybszy. Zużytą szynę będzie można wyjąć, włożyć nową i przykręcić. W Łodzi próbujemy rozwiązania austriackie, w Krakowie są robione próby z technologią węgierską — zupełnie inny tor, inna szyna. Dlatego tak dużo eksperymentujemy, bo nie ma rozwiązania wzorcowego, które pasowałoby do każdych warunków.

— Niewątpliwy związek z technologią miał proces o wymianę pomp wtryskowych.

— Pierwsi w Polsce podjęliśmy działania, aby autobusy nie dymiły. Poprzez producenta autobusów zmusiliśmy producenta pomp wtryskowych — mieleckie WSK, aby pompa była inna. W MPK modernizujemy wozy, lecz nie da się osiągnąć dobrego efektu, jeżeli są eksploatowane wozy dziesięcioletnie, na granicy śmierci technicznej. Starszy człowiek dyszy po szybkim marszu, tak samo autobus musi zadymić, jeżeli wejdzie w niego półtora raza więcej ludzi niż przewiduje norma. Sąd nie ma moralnego prawa, aby wymóc na mnie wydatkowanie społecznych pieniędzy w ineffektywny sposób, tym bardziej, że zrobiłem wszystko, co było w naszej mocy. Obecnie należy precyzyjnie ustawiać aparaturę wtryskową i to robimy, dodajemy też preparat do oleju napędowego ograniczający dymienie.

— Wiem również, że złożył pan apelację od wyroku?

— Tak, zgadza się. Wniosłem rewizję, ponieważ sąd swoim wyrokiem zaproponował mi zainstalowanie w starych autobusach nowej pompy za trzysta sześć tysięcy. Natomiast mając dwa elementy do istniejącej pompy wtryskowej mogłem ją zmodernizować za trzydzieści tysięcy złotych. Sąd swoim wyrokiem nie może mnie zmusić do niegospodarności, i kiedy pytał dostawców pomp trafił na moment, gdy dla producenta zamknął się pewien rynek i został z nie sprzedanym towarem w każdej chwili oferowanym do sprzedaży. Uczyniłem wszystko, aby kupić dwa wspomniane elementy i w tej chwili wszystkie autobusy mają już zmodernizowane pompy wtryskowe.

— Proszę pana, nie mówiliśmy jeszcze o organizacji ruchu w mieście.

— Ciasna zabudowa, zmiany układu komunikacyjnego w śródmieściu, zmiany ulic na jednokierunkowe to wszystko jest robione wbrew zasadom komunikacji zbiorowej. Jedna kolizja na Kilińskiego wyłączy z ruchu cały układ komunikacji na tej ulicy. Uważam, że nie można prowadzić polityki ułożenia komunikacji w mieście bez zwrócenia uwagi na komunikację zbiorową. Zapytałem na sesji Rady Narodowej Śródmieścia przedstawiciela wydziału komunikacji, czy te zmiany, które są dokonywane w centrum miasta są z preferencjami dla komunikacji miejskiej. Odpowiedź była jednoznaczna — nie! Niewiele lepiej niż w centrum miasta jest na nowych osiedlach, gdzie zamiast dróg buduje się raczej ścieżki, a krańcówki są w końcu lokalizowane na parkingach. Także wprowadzenie zmian w przepisach ruchu drogowego ma wpływ na gorsze funkcjonowanie komunikacji. Zmiana mówiąca, że tramwaj skręcający musi przepuścić wszystkich jadących na wprost stwarza bardzo kolizyjne sytuacje — na skrzyżowaniu ulic Kopcińskiego i Narutowicza, jeśli tramwaj nie wymusi pierwszeństwa, to nie skręci. Cykle świetlne są na dużych skrzyżowaniach za krótkie i motorniczy, który respektuje wewnętrzny przepis — przez zwrotnice i krzyżaki przejeżdżają z prędkością 5 km/h, nie zdąży w ciągu jednej zmiany świateł przejechać. Z powodu zbyt krótkich faz świetlnych dochodzi do wykolejeń tramwajów, bo motorniczy chcąc wyprowadzić z zakrętu trzeci wagon i jeszcze zmieścić się w swojej fazie musi przyśpieszyć i wtedy ostatni wagon może wyskoczyć z szyn.

W tym roku podjąłem decyzję i proszę poinformować opinię publiczną, że jeśli w tym roku będą na jezdniach takie muldy jak w zime „stulecia", to żeby ratować komunikację na wiosnę wstrzymam ją zimą, bo nie chcę wytracić połowy taboru autobusowego, a to przy starych wozach jest możliwe.

Rozmawiał:
BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

P.S. Sprostowanie.

W „Ogłosach" nr 50 z 10 grudnia 1989 roku ukazał się mój reportaż pt. „Układ konieczny do funkcjonowania miasta", do którego wkradł się błąd. Pan Andrzej Piekarski jest członkiem Związku Zawodowego Pracowników MPK w Łodzi a nie KM „Solidarność" MPK. Za błąd wszystkich zainteresowanych bardzo przepraszam, zaś pana Piekarskiego najbardziej.

B.A. MAKOWSKI

ŁPO: konie, monopole i inni.

Nie zabijać tej miłości...

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Według kalendarza chińskiego rok 1990 jest rokiem konia. Także 8 stycznia 1990 — pierwsze tegoroczne zebranie **Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego** zaczęło się od spraw końskich. ŁPO wystosowało do prezydenta miasta **Łodzi, Waldemara Bohdanowicza** następujące pismo:

„Łódzkiemu Porozumieniu Obywatelskiemu przedstawiono obszerne sprawozdanie opracowane przez grupę usiłującą zainicjować reformy w Łódzkim Klubie Jeździeckim. Referowali Janusz Ziemko i Stefan Türschmid. Wynika z tego sprawozdania, że Zarząd klubu nie dba o powierzony mu majątek i prowadzi marnotrawną gospodarkę. W zmienionej sytuacji gospodarczej dotąd nie wypracował przekonywającego programu finansowania klubu, na skutek czego chyli się on ku upadkowi. Zarząd nie dba także o sprawy popularyzacji jeździectwa przez co narusza postanowienia statutu. Z ubolewaniem stwierdzamy, że prace Zarządu zdominowane zostały przez interesy zwartej grupy osób, na skutek czego nie realizuje się celów statutowych. W związku z tym, że jeździectwo stanowi niezaprzeczalny element polskiej tradycji narodowej czujemy się upoważnieni do zwrócenia się do Pana Prezydenta Miasta Łodzi w tej sprawie. Prosimy, aby Pan wykorzystał przysługujące mu, na podstawie „Prawa o stowarzyszeniach" uprawnienia nadzorcze względem Łódzkiego Klubu Jeździeckiego".

Uprawnienia, o których mowa powyżej, to w największym uproszczeniu spowodowanie, aby prominenckie zarządzanie klubem zostało przejęte przez zarząd komisaryczny.

„W końskiej sprawie" mówiono także o niepotrzebnych etatach, padniętych i okaleczonych koniach i alkoholowych libacjach urządzanych na terenie klubu. Panowie Türschmid i Ziemko przedstawili także zarysy programu sanacyjnego.

Kiedy „Odgłosy" z niniejszą relacją ukażą się w kioskach, pikieta **Konfederacji Polski Niepodległej** będzie należała już do przeszłości. O pikietowaniu informował **Andrzej Terlecki** i namawiał do udziału po to, aby zamanifestować konieczność rozbicia prasowego monopolisty — Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" i w ten sposób przyspieszyć stworzenie warunków do uspołecznienia łódzkiej prasy. Krótko skomentuję pomysł KPN-u, lecz wcale nie dlatego, że „RSW" daje mi „kąsek lada jaki".

Kilka niechlubnych lat temu byliśmy świadkami równie niechlubnego i brutalnego wkroczenia kontrolerów wszystkiego w różne dziedziny sztuki. Negatywne skutki są tego do dziś. Dziennikarstwo tak ściśle związane z pisarstwem jest nie tylko służbą społeczną, jest także w pewien sposób sztuką. To środowisko, w które wtedy brutalnie wkroczono jest cały czas podzielone i doprawdy, nie znam nikogo, po żadnej stronie barykady, kto mówi, że przyniosło to więcej pożytku niż szkody. Należy baczyć, aby w usilnym dążeniu do uspołecznienia prasy nie wylać dziecka z kąpielą i nie zawieść rodzącego się zaufania do społecznych akcji.

Poza tym, w dzisiejszej gospodarczej sytuacji Polski z monopolami może być jak z miłościami — jeśli słabe, same zginą. Zresztą co to za monopolista, który w 1988 roku wydawał zaledwie 8,9 procent ogółu gazet i czasopism w Polsce. W latach 1980—88 „monopolista" zwiększył liczbę tytułów o 10, inni wydawcy — w sumie o 540. Również wzrost jednorazowych nakładów innych wydawców jest kilkakrotnie większy niż wzrost nakładów prasy RSW. W roku 1989 ta statystyka była dla „koncernu" jeszcze gorsza.

Dzisiaj można wydawać w Polsce prasę tak, jak w świecie, do którego chcemy gospodarczo doszlusować — wystarczy tylko mieć pieniądze. Tak więc panie Andrzeju — „nie zabijaj tej miłości...". Oczywiście, nie neguję konieczności powstania pism, których dysponentem będzie społeczeństwo.

Piotr Kochanowski z „Solidarności" Rolników Indywidualnych przedstawił możliwości utworzenia spółki, która zajęłaby się organizowaniem małych masarni i przetwórni mleka, czego efektem mogłoby być złamanie dotychczasowych monopoli i pozbawienie pośredników często bezpodstawnych zarobków. Szczerze życzę jak najszybciej powodzenia.

Zanim napiszę o nowych organizacjach, które dołączyły do Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego mały wspomnieniowy remanent. Pisałem, że chęć współpracy z ŁPO wyrażały: Komitet Łódzki PZPR i Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Ani jedna, ani druga organizacja nie dopełniły wymogu pisemnego zgłoszenia akcesu do brania udziału w pracach ŁPO i nie wiadomo, czy już im przeszły zapędy reformatorskiego działania na rzecz miasta i społeczeństwa, czy może do reformatorskiego współdziałania i zmian tak im pilno, jak w latach ubiegłych.

Od 8 stycznia 1990 w pracach ŁPO biorą udział kolejne organizacje: Stronnictwo Narodowe, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe i Polskie Porozumienie Obywatelskie.

I coś w tym musi być, że do ŁPO zgłasza się więcej organizacji i instytucji niż do Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego.

Andrzej Słowik na czele łódzkiej „Solidarności".

Potrzebny jest silny związek zawodowy

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

W sobotę 18 stycznia 1990 r. rozpoczął się trzeci (i ostatni) etap maratonu, jakim okazało się Walne Zebranie Delegatów NSZZ „Solidarność" Regionu Łódzkiego. Obrady — co stało się już tradycją — przeciągnęły się do niedzieli. Rankiem, po wielogodzinnych głosowaniach, wybrano przewodniczącego nowego Zarządu Regionu. Został nim Andrzej Słowik.

Zanim doszło do tego wyboru, należało się wpierw rozliczyć z przeszłości. Władze zwaśnionych struktur: Regionalnej Komisji Organizacyjnej i Zarządu Regionu zdawały więc sprawozdania z dotychczasowej działalności, zaś komisje rewizyjne przedstawiły stan finansów. Nie było to zwykłą formalnością: o ile informacje ze strony ZR przyjęto właściwie bez zastrzeżeń, o tyle informacje ze strony RKO zbulwersowały wielu delegatów, wzbudzając burzliwą dyskusję.

Po pierwsze — zastrzeżenie wzbudziło krótkie i dość zdawkowe sprawozdanie przewodniczącego RKO, Wiesława Juszczaka, obejmujące jedynie 5-miesięczny okres jego „rządów", pomijające natomiast milczeniem okres, gdy na czele prezydium RKO stał Ryszard Kostrzewa. Po drugie — z protokołów komisji rewizyjnej dowiedziano się o licznych nieprawidłowościach w finansach, prowadzonych przez prezydium RKO. Co prawda, większość z nich ostatnio (po interwencjach komisji) usunięto, pozostała jednak niewyjaśniona sprawa długu Piotra Matera, byłego działacza RKO, odpowiedzialnego wówczas za kwestie finansowe. Sprowokowany do obrony Piotr Mater, delegat z „Foniki", przedstawił własną wersję wydarzeń, winą za nieporządki obciążając byłego przewodniczącego RKO Ryszarda Kostrzewę. Ten z kolei nie mógł się bronić, bo nie było go na sali.

W ten oto sposób delegaci zorientowali się, że ich składkowe pieniądze wykorzystywane były niekiedy w sposób dość daleki od gospodarności. Niespodziewanie uspokoił wzburzone nastroje Jerzy Kropiwnicki, działacz konkurencyjnego odłamu „Solidarności". Zwrócił uwagę na warunki, w jakich prowadzono gospodarkę finansową. Trudno oczekiwać — powiedział — żeby konspiracja szła w parze z dokładną księgowością. Zaproponował, aby delegaci udzielili łącznego absolutorium obu stronom konfliktu. Wniosek przyjęto; w dalszej części obrad absolutorium zostało udzielone.

Następnie rozpoczęły się przesłuchania kandydatów na przewodniczącego. Na pytania delegatów odpowiadali po kolei: Aleksander Aniołczyk, Andrzej Słowik i Janusz Tomaszewski. Nie oszczędzano ich: każdego wypytywano przez (średnio) półtorej godziny. Delegaci interesowali się szczególnie postępowaniem przyszłych władz związku w obliczu kolejnych podwyżek i zagrażającego bezrobocia. Ciekawiło ich, czy kandydaci będą zdolni zapewnić jedność związku. Wiele pytań dotyczyło biografii; dociekano na przykład, czy któryś z kandydatów należał do partii, w jakim okresie, z jakiego powodu itp. Najbardziej szczegółowo „rozpracowywano" Andrzeja Słowika. Spora grupa osób nie mogła mu darować uczestnictwa w pracach Grupy Roboczej, którą określano jako wybitnie antywałęsowską. Wzajemne stosunki Andrzeja Słowika i Lecha Wałęsy zdominowały przez pewien czas obrady.

Z powodu późniejszego wyboru delegatów, warto poświęcić tej sprawie więcej uwagi. Kandydat zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek podważał autorytet L. Wałęsy. Poinformował zebranych o swej niedawnej wizycie w Gdańsku. Odbył ją, ponieważ chciał się upewnić, czy jego opinię, że w sprawach związkowych będą się zawsze mogli dogadać, podziela również przewodniczący związku. Uzyskał — jak zapewnił — odpowiedź twierdzącą. Tej wersji zaprzeczył wszakże przedstawiciel KKW, Stanisław Wędlorz, zarzucając A. Słowikowi brak szczerości. Według niego, L. Wałęsa „widzi duże trudności w dalszej współpracy, ze względu na ostre różnice w poglądach".

A. Słowik odrzucił zarzut o nieprawdziwym przedstawieniu wizyty w Gdańsku, replikując:

— Problem w tym, że zawsze znajdzie się ktoś taki, kto wypowiada się potem w imieniu Lecha, wiedząc lepiej, niż on sam, co powiedział lub zrobił przewodniczący... Zaś o tym, jaki był rzeczywisty przebieg naszej rozmowy, będzie się można dowiedzieć od niego samego, gdyż — jak mi powiedział — wkrótce po wyborach przybędzie do Łodzi.

Wybory rozpoczęły się przed północą. O wpół do pierwszej były pierwsze wyniki. Aby zdobyć kwalifikowaną większość, jeden z kandydatów powinien zebrać co najmniej 219 głosów. A. Aniołczyk zebrał ich 31, A. Słowik — 198, J. Tomaszewski — 205. Nikt zatem nie uzyskał większości; przystąpiono więc do drugiej tury. Zgodnie z ordynacją, już bez A. Aniołczyka, który zauważył w przerwie, że skoro zostali tylko dwaj kandydaci, sala musi się opowiedzieć za jedną ze stron konfliktu.

— Nie ma teraz dobrego rozwiązania — przestrzegł delegatów.

O wpół do trzeciej nad ranem zaczęła się druga tura. Tym razem, aby wygrać, potrzeba było 215 głosów. A. Słowik dostaje ich 212, J. Tomaszewski — 210. Na czoło wychodzi więc A. Słowik, ale brakuje mu jeszcze trzy głosy.

Dochodzi do trzeciego głosowania. I tym razem nie jest ono rozstrzygające. Komisja wyborcza nie ogłasza wyników, bo w urnie jest o jeden głos więcej niż wydano kart do głosowania. To ewidentne oszustwo, ale na śledztwo nie ma już czasu. Trzeba głosować po raz czwarty, chociaż niektórzy proponują przerwanie obrad, ze względu na zmęczenie delegatów. Większość jest za kontynuacją.

Kilka minut przed dziesiątą następuje ogłoszenie wyników, wreszcie ostatecznych. J. Tomaszewski ma za sobą 210 głosów, zaś A. Słowik — 215, o jeden zaledwie głos więcej od wymaganego minimum.

Sala urządza nowemu przewodniczącemu owację. Wkrótce potem przystępuje — po 24 godzinach obrad! — do wyboru składu prezydium. Odtąd nie będzie już RKO ani ZR — jest nowy Zarząd Regionu, wspólny dla wszystkich członków „Solidarności" Ziemi Łódzkiej.

W czasie krótkiej, tygodniowej kampanii wyborczej, kandydaci na przewodniczącego regionu odwiedzili kilka zakładów pracy. Na pierwszym ze spotkań, w łódzkiej „Lenorze", Andrzej Słowik prezentując swój program powiedział m.in.:

— Za podstawę przyszłego rozwoju „Solidarności" uważam wewnątrzwiązkową demokrację. Naczelnym zadaniem jest obrona interesów pracowniczych, zagrożonych w okresie reform. Popieram rząd Mazowieckiego, ale i rząd, i — przede wszystkim — związkowcy, muszą znać granicę wytrzymałości społecznej. Jeśli granica ta zostanie przekroczona, związek powinien zmienić swój stosunek do rządu. Należy budować własne, niezależne od administracji instytucje związkowe: zakład ubezpieczeń, biuro wypoczynku i związkowe biuro pośrednictwa pracy. Będą one częścią systemu przeciwdziałającego najbardziej drastycznym skutkom reform, głównie zaś bezrobociu. Uważam, iż bezrobocie nie może być częścią polityki społecznej, mającej na celu wzrost wydajności pracy. Godzę się jedynie, iż jest ono nieuniknione w okresie przejściowym, w czasie wprowadzania reform. Będę kładł nacisk na utworzenie profesjonalnych zespołów doradczo-eksperckich, pracujących wyłącznie na potrzeby związku. Chcę doprowadzić do tego, aby „Solidarność" była samodzielna finansowo, ale bez przesady — nie możemy zostać pracodawcami. Potrzebny nam jest silny związek zawodowy. Związek — powtarzam — a nie ruch społeczny. Pozwólmy rozwinąć się partiom politycznym!

RUMUNIA rodzi się na nowo.

Było tam piekło

„Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
Przeze mnie droga w wiekuiste męki,
Przeze mnie droga w naród zatracenia.
Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki.
Wzniosła mię z gruntu Potęga wszechwładna
Mądrość najwyższa, Miłość pierworodna;
Starsze ode mnie twory nie istnieją,
Chyba wieczyste — a jam niespożyta!
Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją..."
Na odrzwiach bramy ten się napis czyta,
O treści memu duchowi kryjomej.
„Mistrzu — szepnąłem — z tych słów groza świta!"

DANTE ALIGHIERI, „Boska Komedia"

Rumunia była dla nas zawsze krajem egzotycznym. Przed wojną mieliśmy z nią wspólną granicę i dość dobre kontakty polityczne, po wojnie zaś od pewnego czasu związani byliśmy głównie, że tak powiem, naszym prywatnym handlem zagranicznym. Tysiące Polaków rokrocznie jechało do tego kraju lub przejeżdżało jadąc do Bułgarii, Grecji czy Turcji. Rumuni jednak byli dla nas zawsze czymś bardzo odległym. Traktowaliśmy ich chyba najbardziej z góry wśród narodów Europy Wschodniej. To zresztą jedna z polskich wad, stawianie siebie ponad innymi narodami tej części Europy, która stanowiła zawsze znakomitą pożywkę dla naszych kompleksów wobec Zachodu. I nagle po tym, co ostatnio się wydarzyło, Rumunia stała się nam bardzo bliska. Informacje dochodzące stamtąd wyzwalały w nas uczucie bezsilności, złości i współczucia pomieszane i zespojone ze sobą jakby w jedno, a później powodowały, że walczący tam naród przestawał być czymś dalekim i egzotycznym. Co prawda, słyszałem jeszcze w autobusie kogoś, kto nagle wyrwał się i powiedział:

— No, to Cyganie też się zbuntowali.

Został jednak zmrożony spojrzeniami innych ludzi, więc zamilkł natychmiast i widać było, że zrobiło mu się trochę głupio. Bo przecież tam jeszcze ciągle ginęły kobiety i dzieci.

Ale Rumunia to jednak zagadka. Zagadka, która rozwiązuje się i stwarza zarazem na naszych oczach; rozwiązuje, bo przecież wiele się już wyjaśnia, stwarza, bo niewiadomych też bardzo dużo. Niemniej, mam nadzieję, że Rumuni potrafią sobie z wszystkim poradzić. I wierzę, że dopiero teraz o tym kraju dowiemy się czegoś więcej, o jego historii i o ludziach tam żyjących. Boć przecież o wielu rzeczach które działy się w dalszej i bliższej przeszłości będzie można spokojnie mówić dopiero obecnie. I tam bowiem nastąpi, jak to się u nas przyjęło mówić, odkrywanie białych plam. A jest ich po latach rządów komunistycznych na pewno dużo. Tym bardziej, że tak naprawdę o historii tego państwa, szczególnie tej najnowszej, wiemy niewiele.

Oto na przykład leży przede mną dość obszerny artykuł napisany przez Virgila Ierunce pt. „Piteszti". Tekst ten z pewnymi skrótami został przetłumaczony i przedrukowany za wydawnictwem francuskim w drugoobiegowym piśmie „Karta" w numerze 3 z roku 1985. Czego ów artykuł dotyczył? Otóż pewnego eksperymentu, który został wprowadzony w więzieniu w Piteszti w latach 1949—1952. Autorami tego niezwykłego pomysłu byli najwyżsi oficerowie służby bezpieczeństwa. I trzeba tutaj powiedzieć, że to, co udało im się wymyślić, przekracza wszystko, co człowiek do tej pory czytał o obozach, łagrach i więzieniach w systemach totalitarnych. Ba! Najbardziej fantastyczne i niesamowite wizje literackie Orwella Zamiatina czy Huxleya także nie są w stanie dorównać temu, co zrodziło się w głowach funkcjonariuszy specjalnych służb w Rumunii. Absurdalność i niesamowitość tego, co tam wymyślono dałoby się może jedynie porównać z krótkim opowiadaniem Franza Kafki pt. „Kolonia Karna".

Na czym więc polegał ten pomysł, w czym tkwiła jego okrutna siła? Przede wszystkim chodziło tu o całkowite złamanie psychiczne więźniów. Droga, która miała wieść do tego celu była wbrew pozorom niezwykle prosta. Trzeba było wprowadzić w więzieniu taki system, by więźniowie byli dla siebie nawzajem katami. Innymi słowy, by każdy stawał się po jakimś czasie oprawcą dla kolejnej grupy więźniów. Tak więc, jak pisze Virgil Ierunca:

„Z okresu „eksperymentu Piteszti" nie ma więźnia (pominąwszy tych, którzy zmarli wskutek tortur), który by nie spełnił tego, czego odeń żądano — inaczej nie ocaliłby życia. W ostatniej fazie reedukacji więźnia zmuszano do torturowania swego najlepszego przyjaciela, którego przedtem sam wydał pod wpływem tortur".

Koło więc jakby zamykało się i każdy, kto trafiał do więzienia w Piteszti był poddawany ciągłej, nieustającej torturze, dopóki inni więźniowie nie uznali, że przekroczył pewien etap, to znaczy na skutek tortur oskarżył już wszystkich, kogo tylko mógł, wyrzekł się własnej rodziny i własnych ideałów i wtedy dopiero mógł przejść do kasty oprawców. Ale to również nie oznaczało, że oprawcą będzie przez cały czas. Jeśli bowiem dostrzeżono, że był zbyt mało okrutny wobec następnych, jego „edukacja" zwykle zaczynała się od początku. Ludzie niszczeni w ten sposób stawali się zupełnie kimś innym, wyciągano z nich wszystkie najgorsze cechy tkwiące w człowieku; **„...pewien student (...) — znakomity skrzypek, subtelny literat, natura wrażliwa, prawie kobieca, o niezwykłej czystości ducha, po reedukacji w Piteszti stał się jednym z najbardziej zawziętych oprawców".**

Oczywiście na początku trzeba było znaleźć odpowiednią grupę więźniów mającą rozpocząć cały ten przedziwny eksperyment. Nie było to trudne, szybko odkryto człowieka, który, jak się później okazało, do funkcji oprawcy nadawał się znakomicie. Był nim Eugen Turcanu. Na początku studiów należał do organizacji „Na śmierć i życie", ale szybko odciął się od niej zdecydowanie i wstąpił do partii. Wkrótce stał się aktywnym działaczem partyjnym. Jednakże, po aresztowaniu członków bractwa „Na śmierć i życie" jeden z nich pod wpływem tortur wymienił nazwisko byłego współtowarzysza i to, rzecz jasna, wystarczyło, by Turcanu znalazł się w więzieniu. Tak więc, ten ponoć bardzo inteligentny człowiek stanął na czele grupy więźniów przeznaczonej do spełnienia roli katów.

Pierwszym zadaniem kilkunastu wybranych więźniów z Turcanu na czele było po przybyciu do Pitesztі zdobycie zaufania pozostałych więźniów. Później jednak, w momentach najbardziej zaskakujących, okazywało się, że nowo przybyli koledzy zaczynali występować przeciwko swym towarzyszom. Potem rozpoczęła się permanentna tortura trwająca przez cały czas, bez chwili wytchnienia. Tak pisze o tym Virgil Ierunca:

„Rzecz jasna, tortury nie polegały jedynie na biciu. W bezpiece bito zawsze i nie tylko bito. Ludzi umieszczano w wirówkach, wykręcano im ręce, chłostano po piętach, tak, że nie mogli postawić stopy na ziemi; jednak wszyscy ci, którzy przeszli przez te męczarnie, twierdzą, że były one niewinnymi igraszkami w porównaniu z tym, co wymyślał Turcanu. Przede wszystkim — podczas reedukacji mieszkało się w jednej celi z przesłuchującym, który nie dawał chwili wytchnienia. Wprawdzie nocą można było spać, ale tylko na plecach, zupełnie nago, z rękami wyciągniętymi obok ciała. Jeżeli podczas snu człowiek poruszył się lub próbował obrócić na drugi bok, reedukator pełniący obowiązki dyżurnego uderzał go pałką w głowę".

Oczywiście ilość wymyślanych przez grupę oprawców tortur była znacznie większa. Kiedy się czyta o wszystkich tych upiornych pomysłach, człowiek przeciera oczy ze zdumienia i zastanawia się, czy to rzeczywiście było możliwe. Czy było możliwe, żeby ludzie byli zdolni do zadawania tak wyrafinowanych cierpień swoim przecież towarzyszom niedoli.

W więzieniu w Piteszti podobno tylko jednej osobie udało się popełnić samobójstwo. Inni, prędzej czy później, musieli stać się katami. Nikt z tego miejsca nie wyszedł czysty. To rzecz zdumiewająca która nie udała się chyba nigdzie na świecie. Nigdzie bowiem nie udało się z taką precyzją przerobić ofiary w katów.

Próbowano potem wdrożyć ów eksperyment w innych więzieniach w kraju. Na szczęście nie udało się. Kiedy wiadomości o Piteszti zaczęły się rozchodzić poza mury więzienia, sprawa stała się dość głośna. Został przeprowadzony proces, w którym główni winowajcy, czyli szefowie władz bezpieczeństwa i partii zrzucili wszystko na grupę Turcanu, a więc tych, którzy rozpoczęli cały eksperyment. Proces odbył się w tajemnicy. **„Trybunał wojskowy w procesie Piteszti zebrał się po to, aby skazać ludzi wyznaczonych przez partię. I skazał ich. Na śmierć".**

Czy jednak możemy mieć absolutną pewność, że gdzieś na obszarze Rumunii pod rządami Ceausescu ten zbrodniczy eksperyment nie został powtórzony? Podejrzewa się przecież, że Turcanu zapisywał wszystkie swoje spostrzeżenia i uwagi dotyczące wytrzymałości ludzi. Miejmy nadzieję, że nie wpadły one w ręce jakiegoś nowego szefa bezpieczeństwa i nie zapłodniły go do kontynuowania tego koszmarnego pomysłu. Gdyby jednak teraz odnaleziono zapiski Turcanu, to okazałyby się one chyba najbardziej odrażającym dziełem, jakie kiedykolwiek wyszło spod pióra człowieka.

Teraz jeden z ostatnich bastionów starego systemu (w Europie została jeszcze Albania) upadł. Rumunia rodzi się na nowo. I cieszę się, że i tam wszelkiego typu eksperymenty przeprowadzane na ludziach odchodzą w nieodwracalną przeszłość.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Wybory

ze str. 1

jęta do misji specjalnej dama podniesie krzyk *„on mnie okradł!"* i na oczach wielu świadków milicja odwozi zbyt śmiało poczynającego sobie mówcę. Ten klub to taki zawór bezpieczeństwa, uchodzi zgromadzona para, ale czajnik pozostaje wciąż ten sam. O prawie wszystkim można mówić i pisać, ale wiele to nie zmienia. Opinię taką słyszy się w wielu różnych środowiskach lwowskich.

Dzień 17 września od lat był obchodzony jako święto Lwowa i jako dzień przyłączenia miasta w 1939 r. do radzieckiej Ukrainy. Na skutek protestów ludności, w obawie przed ekscesami i niezadowoleniem, jakie budzą skojarzenia z tą datą, w 1989 roku święto przeniesiono na 1 października, natomiast 17 września od rana do nocy trwała msza żałobna w intencji legalizacji Ukraińskiego Kościoła Katolickiego. Nabożeństwa nieprzerwanie odprawiano przy głównej świątyni — cerkwi św. Jura, przy kościele karmelitanek bosych (tuż obok lwowskiego komitetu Komunistycznej Partii Ukrainy) i na mogiłach ukraińskich strzelców siczowych.

II.

W tym miejscu należy wyjaśnić problemy religijne na Ukrainie. Ukraińska Autokefaliczna Prawosławna Cerkiew (UAPC) nie uznaje patriarchy moskiewskiego. W latach 1933 — 1936 na polecenie Józefa Stalina przeprowadzono serię pokazowych procesów, w których pod zarzutami antyradzieckości, działalności antypaństwowej i antyludowej ukraiński prawosławny kościół autokefaliczny został zniszczony. Cerkiew zeszła do podziemia, a jej majątek przejął rosyjski kościół prawosławny. Część UAPC przetrwała w Ameryce w licznym środowisku emigrantów ukraińskich. Kilka miesięcy temu, jedna z lwowskich parafii postanowiła oficjalnie ogłosić się częścią UAPC, sama legalizowała się i podporządkowała patriarsze Konstantynopola.

W XVI wieku większość Ukraińców wyznawała prawosławie. Na skutek starań jezuitów, na synodach odbywanych w 1595 i 1596 roku w Brześciu Litewskim została zawarta unia między częścią hierarchii prawosławnej a katolikami. Przy zachowaniu odrębności liturgicznej i strukturalnej kościół wschodni na mocy unii brzeskiej podporządkował się władzy papieża. Unia objęła prawosławne biskupstwa na Ukrainie i Białorusi, będących podówczas częścią Rzeczypospolitej. Przyczyniła się do polonizowania tamtejszej szlachty, natomiast narzucana siłą, podsycała konflikty religijne i narodowościowe na wsi.

Tylko Polacy i Rosjanie używają określenia *„unici"*, sami zainteresowani mówią o sobie, że są katolikami i należą do Ukraińskiego Kościoła Katolickiego (UKK). Ostatnim oficjalnym zwierzchnikiem UKK na Ukrainie był hrabia Andrzej Szeptycki, mianowany przez papieża biskupem. Z unitami Józef Stalin rozprawił się jeszcze łatwiej niż z ukraińskim kościołem autokefalicznym. W 1939 roku w okręgu lwowskim było 1300 kościołów katolickich wschodniego obrządku, akademia i seminarium duchowne, a na całej Zachodniej Ukrainie liczbę unitów szacowano na ponad 10 milionów, nie ryzykowano więc odgórnej likwidacji w obawie przed powszechnym wybuchem niezadowolenia. Nie było otwartej rozprawy sądowej, ani oficjalnych zarzutów, większość księży została uwięziona i deportowana za Ural lub wymordowana. W 1946 roku został zwołany na polecenie władz nieprawomocny sobór, zjawiło się na nim 200 (pozostałych z 20 tysięcy) księży, którzy sami rozwiązali kościół unicki. Nie było wśród nich biskupa władnego podjąć taką decyzję. Inicjator soboru, doktor teologii Kostelnik, Słoweniec z pochodzenia, został wkrótce po sobore zabity przez członków Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Oficjalna wersja głosiła, że kościół zlikwidowano ponieważ podtrzymywał działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, błogosławił wejście Niemców na Ukrainę, w każdej jednostce UPA był unicki duchowny — i z tych przyczyn kościół skompromitował się. Zastępca Szeptyckiego, biskup Slipyj był uwięziony w obozie pod Moskwą i zwolniony po podpisaniu obietnicy, że nie będzie prowadził działalności antyradzieckiej. Następnie wyjechał do Watykanu, został mianowany kardynałem i przez lata podtrzymywał działalność unitów, którzy zmuszeni byli zejść do podziemia.

W warunkach utajnienia UKK prowadzi normalną działalność religijną — odprawiane są nabożeństwa przed zamkniętymi kościołami i na cmentarzach, w domach wiernych udziela się sakramentów, organizowane są akcje charytatywne (po trzęsieniu ziemi w Armenii kościół ofiarował na rzecz poszkodowanych 100 tysięcy rubli), funkcjonują dwa podziemne seminaria duchowne.

Przeciw legalizacji kościoła unickiego występuje głównie cerkiew prawosławna, która obawia się utraty zagarniętego majątku i wielu wiernych, którzy z konieczności zmienili swą przynależność. Zwierzchnikiem UKK jest obecnie kardynał Myrosław Lubacziwski, rezydujący w Watykanie. Przypuszcza się, że na samej Zachodniej Ukrainie wciąż jest 5 — 7 milionów unitów, nie licząc przesiedleńców i zesłańców, którzy nigdy nie wyrzekli się swojej wiary. W październiku 1989 roku władze wyraziły zgodę na zarejestrowanie pierwszej unickiej parafii. Radio „Swoboda" podało, że papież wezwał do legalizacji UKK. Jeśli to nastąpi, w 1992 roku odbędzie się na Ukrainie sobór, w którym Jan Paweł II jest gotów uczestniczyć.

III.

Dążenia unitów aprobuje Ludowy Ruch Ukrainy na Rzecz Przebudowy, odpowiednik litewskiego „Sajudisu", z tą różnicą, że jest zjednoczeniem nie jednej narodowości, ale wszystkich mieszkańców Ukrainy na rzecz pieriestrojki. Sytuacja polityczna zmienia się z dnia na dzień, ale przebudowa po ukraińsku to ekonomiczna niezależność republiki, opcja na federacyjny charakter państwa radzieckiego, zmiany w konstytucji, nowe prawo wyborcze, wprowadzenie demokracji na szeroką skalę. „Ruch" oficjalnie jeszcze nie jest zarejestrowany, ale praktycznie istnieje, na początku września 1989 r. w Kijowie odbył się jego zjazd, wydawane jest czasopismo „Wicze" („Wieści").

IV.

Jak już wspomniałam, niedziela 1 października 1989 r. była dniem Lwowa. W trakcie uroczystych obchodów rozeszła się pogłoska, że na stadionie kogoś aresztowano. Z ust do ust krążyła wieść, że był to młody chłopak, który trzymał błękitno-żółty proporzec. Wiadomość była nie sprawdzona, nie wyklucza się prowokacji, jednak ludzie tłumnie poszli pod miejską komendę milicji i zażądali wyjaśnień. Samorzutnie powstał wiec szacowany na ponad 100 tysięcy uczestników. „Ruch" oficjalnie podał liczbę 300 tysięcy.

Późnym wieczorem tłum zgromadzony w ciasnej ulicy został otoczony przez specjalnie szkolone do rozpędzania manifestacji oddziały wojsk wewnętrznych. Na ulicy nie włączono oświetlenia. Zgromadzenie zostało brutalnie spacyfikowane i rozproszone. Władze centralne, kijowskie i moskiewskie twierdzą, że Lwów jest siedliskiem nacjonalizmu. Liczbę ofiar zajść trudno ustalić.

3 października 1989 r. w 22 wielkich przedsiębiorstwach Lwowa odbył się dwugodzinny strajk protestacyjny, którego uczestnicy domagali się przeprowadzenia dokładnego śledztwa i wskazania odpowiedzialnych za niedzielne poturbowanie ludzi. Dzień później pod uniwersytetem odbył się mityng, na którym kilkadziesiąt tysięcy ludzi wystosowało telegram do Michaiła Gorbaczowa z protestem przeciwko podobnym akcjom pacyfikacyjnym. Deputowani ukraińscy przedstawili problem na posiedzeniu Rady Najwyższej. Mieszkańcy Lwowa dali ultimatum — do połowy miesiąca oczekują na wyniki śledztwa, jeżeli ich nie otrzymają, zostanie ogłoszony kolejny, tym razem ogólnomiejski strajk.

W przeddzień zapowiedzianego na 15 października 1989 r. wiecu radio i telewizja wzywały do zachowania rozwagi i spokojnego oczekiwania na wyniki śledztwa. Ludziom jednak spieszyło się, nie chcieli, żeby problem uległ przedawnieniu, jak to już wielokrotnie miało miejsce. Do przeprowadzenia dochodzenia zostały powołane 3 komisje: obywatelska, prokuratury i deputowanych do Rady Najwyższej. Wszystkie niezależnie od siebie miały zbadać i wyjaśnić sprawę brutalnego rozprawienia się z manifestantami oraz wskazać ludzi za to odpowiedzialnych.

V.

Plac przed uniwersytetem przylegający do parku świetnie nadaje się do masowych zebrań. W niedzielne przedpołudnie zgromadził się na nim tłum lwowian oczekujących wyników śledztwa. Cokół pomnika Iwana Franko posłużył za trybunę. Nad głowami zebranych błękitno-żółte flagi ze złotymi tryzubami. Pojawił się również czerwono-czarny proporzec — symbol UPA. Ludzie przychodzili całymi rodzinami, falujący tłum szczelnie wypełnił plac, ulicę i pobliskie parkowe alejki, murki i drzewa. Służby porządkowe dbały pilnie, żeby nie deptano trawników, torowały przejazd dla trolejbusów. W klapach ubrań manifestantów stosowne znaczki — błękitno-żółte proporce, tryzuby. Kobiety ustroiły włosy gumkami i wstążkami w narodowych kolorach ukraińskich. Tu i ówdzie zamiast koszuli i krawata — rubaszka, krajka z ludowym wzorem. Nad całością górowała ustawiona na samochodzie kamera telewizyjna.

Milicja zajęła strategiczne pozycje wewnątrz uniwersytetu i tylko otwarte okna świadczyły o tym, że czuwa.

Władze nie interweniowały wobec manifestacji 17 września 1989 r., ale dwa tygodnie później dały znać, że jeszcze istnieją i mogą działać bez sentymentów. Przedstawiciel komisji obywatelskiej poinformował, że bicie ludzi tego dnia powtórzyło się także w innych miastach ukraińskich. Komisja przedstawiła swe żądania: zamieszczenie wyjaśnień w oficjalnej prasie, rozwiązanie oddziałów specjalnych, potępienie moralne i usunięcie ze stanowisk szefa milicji województwa generał-majora Popowa i dowódcy oddziałów specjalnych Martynowa oraz wytoczenie im procesów kryminalnych. Padły, dotychczas podobno nie znane, nazwiska dowódców pododdziałów. Domagano się zmiany na stanowiskach prokuratorów miasta i województwa oraz zaprzestania kampanii dezinformacji prowadzonej w prasie i w każdym zakładzie pracy na temat wystąpień mieszkańców Lwowa.

Przemówił przewodniczący miejskiego komitetu strajkowego, Wiktor Furmanow. Padły słowa o partyjnej mafii, która jest odpowiedzialna za to, co się stało w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Afganistanie, o wolności trwającej niecały rok, od lutego 1917 r., kiedy obalono cara, do listopada, gdy wybuchła rewolucja. Komitet strajkowy zawiązał się w wyniku wydarzeń z 1 pazdziernika 1989 r. i jeżeli nie będzie konkretnych rezultatów prac komisji, utrzymana zostanie gotowość strajkowa, a wojewódzki komitet przekształci się w ogólnorepublikański. Tylko strajk jest siłą prostych ludzi. Warunki komitetu w wielu punktach okazały się zbieżne z postulatami komisji obywatelskiej.

Komisja deputowanych do Rady Najwyższej nie ukończyła swych prac w terminie, ale na podstawie dotychczasowych ustaleń uznała, że liczba milicjantów użytych w akcji była nieproporcjonalnie duża w stosunku do liczby demonstrantów i do potencjalnych skutków rozruchów. Przyznała ponadto, że służby porządkowe silnie poturbowały wiele kobiet, dzieci i młodzieży. Swój stosunek do milicji i wojsk wewnętrznych tłum wyraził gromkim skandowaniem: *„hańba! hańba!"* i pięściami skierowanymi w stronę otwartych okien uniwersytetu.

Wiaczesław Czornowił, przedstawiciel Komitetu Helsińskiego, stojącego na straży praw człowieka, otwarcie powiedział, że radziecki sztandar jest wymazany krwią. Prawdopodobnie nie całkiem zorientowani w sytuacji i historii wysłannicy młodzieży ukraińskiej z Kanady dziwili się, że ludzie wciąż nie mogą pozbyć się strachu przed rządem, KGB, partią, nie potrafią być w pełni wolni. Wszyscy zabierający głos usilnie apelowali o rozwagę: *„Ukraińcy, Polacy, Rosjanie, Żydzi, łączmy się, nie dajmy się sprowokować, nasze waśnie są władzom na rękę, dadzą im pretekst do wprowadzenia stanu wojennego"*.

Zebrani słuchali wystąpień w głębokim skupieniu, rozmawiających uciszano, od czasu do czasu salwa śmiechu kwitowała celne lub dowcipne sformułowanie, rozlegały się brawa na znak aprobaty. Manifestanci przez podniesienie ręki zgodnie głosowali za przyjęciem rezolucji mityngu, w której przedstawiono propozycje nowej, alternatywnej konstytucji. Na czoło wysunięto zniesienie paragrafu o przewodniej roli partii oraz uznanie języka ukraińskiego za jedyny oficjalny, urzędowy język na Ukrainie (to ostatnie żądanie zostało już spełnione — przyp. MM).

Późnym popołudniem manifestacja z pieśniami oraz narodowymi flagami Ukrainy, Łotwy i Litwy przeszła do miejsca, gdzie na prospekcie Włodzimierza Lenina ma stanąć pomnik Tarasa Szewczenki. Według zachodnich rozgłośni w demonstracji wzięło udział 30 tysięcy ludzi. Ilu wśród nich było pracowników milicji i KGB, trudno określić.

Dobra rada moich lwowskich przyjaciół brzmiała: — *co jakiś czas zmieniaj miejsce, aby notatkami i robieniem zdjęć nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania.* — Manifestacje manifestacjami, pieriestrojka pieriestrojką, a stary strach i ostrożność wśród ludzi jeszcze pozostały.

MONIKA MATUSZAK

P.S. Kościół unicki został zalegalizowany pod koniec 1989 roku.

Niespokojna jesień 1989 r.

17 września unici przeszli ulicami miasta.

Zbigniew Kosiński

(1926—1990)

KONKRET

Nie będę pisał o błękitnych obłokach białych
O najsmutniejszych z wszystkich myśli
O przypływie morza i wichrach gwiżdżących o skały
O słodyczy, prostocie serca.
O niebiosach dziurawionych ćwierkaniem wróbli
A jeszcze są drzewa, które mróz ziębi.
Ale w pokoju moim znajdują się dwa krzesła tapczan, dwa stoły, sześć obrazów na ścianach
I ten siódmy zmieniający się.
P'szę wyraźnie, choć odczytujesz to z trudnością.
Znalazłem przecież Ciebie, Twoje usta jedzą chleb z masłem.
Tego wieczoru oglądałeś śmierć konia w telewizji,
szumi Ci po kielichu wódki.
Uratowałeś mnie.
Oto rzeczy, jakie są.
Odszukałem Cię, kierowco spychacza.

(z tomu „Pleonazm")

Osobowość literacką Zbyszka określił już dystych pomieszczony w debiutanckim zbiorku „Port egzotyczny": „Przez całą noc padał deszcz. Jak by to wam powiedzieć". W jego poezji bowiem to „wam" było wszechobecne sygnując charakterystyczną dla tej artykulacji sytuację dialogu. Zbyszek szanował odbiorcę, czynił z niego integralną część komunikowania literackiego. Co więcej — sądził, że czytelnik jest właściwym gospodarzem tekstu, że to on organizuje sensy, że jego intelektualna władność pozwoli na odczytanie wszystkich — powikłanych często — gier literackich. Dlatego tworzył wiersze — centony, wiersze — kolaże, teksty nadbudowane nad innymi wypowiedziami. I chociaż poezja ta przybierała niekiedy filozofujący, traktatowy ton, zawsze pobrzmiewała w niej nutka żartu lub ciepłej ironii, zaś wszystkie transtekstualne zabiegi dawały trochę nadrealistyczny, groteskowy, rzadki w polskiej poezji modus wypowiedzi. Dostrzegali to znani krytycy i teoretycy literatury piszący o twórczości Zbyszka Kosińskiego. Należał niewątpliwie do najwybitniejszych współczesnych poetów polskich, chociaż pozostawał na uboczu, na pozycji outsidera. Drukował rzadko i trudno też było jakiś nowy tekst od niego „wyrwać". Ale te — drukowane zresztą na łamach „Odgłosów" — wiersze były ewenementami literackimi i z naszych łamów trafiały też do przygotowanej antologii najlepszych 50 powojennych wierszy. Nie był poetą lirycznego wyznania. Zdystansowany, autoironiczny niekiedy tylko, w groteskowych na ogół obrazach, ujawniał nieco dramaty biografii. Uczestnictwo w AK i filozoficzna przekora niebezpieczna w stalinowskich czasach spowodowały, iż debiutował w więzieniu. Właściwiej — użyczał swoich tekstów naczelnikowi więzienia, który zdobywał nagrody na literackich konkursach. Ta anegdotyczna i groteskowa sytuacja doskonale się mieści w swoistej „poetyce" Zbyszka.

Skłonności do intelektualnego żartu dyktowały mu inne formy działalności — od konceptualistycznych wystaw plastycznych po próby zbudowania surrealistycznego kabaretu poetyckiego. Nie powielał cudzych wzorów, nie przejmował się też, kiedy w wyraźny sposób podkradano mu pomysły procentujące zresztą i przynoszące rozgłos lepiej „ustawionym" osobom.

Czekał na 10 numer „Poezji", w którym znajdą się jego wiersze, szkice o nim i wyznanie literackiej wiary. Zwierzał mi się, że czuje prawdziwą tremę, że traktuje ten okazjonalny przecież druk jako powtórny debiut.

Już nie doczekał jego lektury. My zaś nie dowiemy się, jak by dziś opowiedział nam o deszczu.

HENRYK PUSTKOWSKI

Sadyści

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Nazwisko markiza de Sade kojarzone bywa powszechnie z iście szatańską zbrodniczością, ze złem popełnianym z wyjątkowo niskich i haniebiących pobudek, niczym nie usprawiedliwionych. Tymczasem w kulturze Zachodu de Sade odegrał rolę nie wyrafinowanego przestępcy, lecz odważnego filozofa i zdolnego pisarza, i tak też powinien być traktowany przez ludzi mieniących się wykształconymi również i w naszym kraju, należącym wszak do „kręgu kultury europejskiej", acz nie wyzwolonym jeszcze w pełni od zawsze niebezpiecznych stereotypów myślowych. Duże zasługi na polu popularyzacji myśli markiza w Polsce położył swego czasu **Jerzy Łojek**, a ostatnio kilka dzieł de Sade'a przybliżyło czytelnikowi **Wydawnictwo Łódzkie**, którego najnowszą propozycją w tym zakresie jest wydana po raz pierwszy w naszym kraju **„Filozofia w buduarze"**, opublikowana pierwotnie w roku 1795, za rządów Dyrektoriatu w rewolucyjnej Francji.

Był to okres, w którym panowała daleko posunięta wolność słowa i druku, i pozostający właśnie na swobodzie pisarz nie musiał obawiać się aresztowania, jak to miało miejsce kilka lat wcześniej. Głosił tedy jawnie swoje poglądy, które jak to często bywa w takich wypadkach, znacznie wyprzedzały epokę i nie były rozumiane przez współczesnych, odznaczających się zresztą nawet w kręgach libertyńskich hipokryzją i bojaźnią, których to cech pozbawiony był natomiast tak chętnie potępiany markiz. Uwaga powyższa ma tym większe znaczenie, jeśli wziąć pod uwagę, że **„Filozofia w buduarze" z łatwością uchodzić mogła za zjadliwą krytykę władzy absolutnej i dawnego porządku, pokazuje bowiem pozbawionych jakichkolwiek skrupułów arystokratów z całą bezwzględnością podporządkowujących sobie ludzi znajdujących się w ich mocy.**

Rzecz traktuje **o edukacji młodziutkiej dziewicy Eugenii, której nauczycielami staje się trójka wytrawnych libertynów, wykorzystujących seks jedynie jako pretekst do rozważań natury filozoficznej, społecznej i moralnej. Tak więc nauka, jaką pobiera pojętna Eugenia, nie ma bynajmniej jednostronnego charakteru i nie ogranicza się do erotyzmu.** Ustami swoich bohaterów głosi de Sade ateizm i materializm; natura, zbrodnicza w swej istocie, jako że nie obchodzą jej cierpienia ani zagłada jednostek i gatunków, zezwala na posługiwanie się dowolnymi środkami w dążeniu do celu, który zamyka się zwykle w pojęciu przyjemności.

Oczywiście o zbrodniczości natury mówić można jedynie z punktu widzenia światopoglądu chrześcijańskiego, albowiem przyroda jest sama w sobie moralnie obojętna, zaś prawa, obyczaje i etyka stoją na straży jednostek słabych, niezaradnych i ułomnych. To przewartościowanie wartości, powtórzi sto lat później w myśli Nietzschego, a w naszych już czasach Heideggera, Klosowskiego, Foucaulta, i wielu innych filozofów, głoszących dewaluację tradycyjnej moralności, skompromitowanej piecami Oświęcimia, kopalniami Kołymy i obłudą konserwatywnych poglądów społeczno-politycznych. Wbrew potocznym mniemaniom ani de Sade, ani inni wspomniani tu pisarze nie nakłaniają nikogo do występku i mordu — zadaniem „Filozofii w buduarze" jest prowokować, pobudzać do myślenia, wstrząsać czytelnikiem w dążeniu do — paradoksalnie — lepszego, prawdziwszego świata, w którym jednostka oddać by się mogła nieskrępowanej potędze samorozwoju.

Do de Sade'a jako swego antenata przyznają się również surrealiści; i istotnie, czarny humor oraz graniczące nieraz z wymyślnością obrazów Dalego czy filmów Bunuela absurdalne w swej krańcowości wywody bohaterów nie mają nic wspólnego z artystycznym czy filozoficznym realizmem, a służą wyzwoleniu wyobraźni z pęt przesądu i strachu, nadają jej władzę nieograniczoną w swej ozdrowieńczej kreatywności. W walce z ciemnotą i zabobonem był de Sade nieodrodnym synem wieku Oświecenia, bezkompromisowym i nieprzejednanym. Jego powiastki filozoficzne są ilustracjami pewnych przekonań, i nie mogą być odczytywane w zgodzie z ich literą, a tylko w zgodzie z ich duchem. W sytuacji zatem, kiedy powracamy „do Europy" i przełamujemy rozmaite tabu, przywrócenie należnego miejsca w kulturze markizowi de Sade należy do naszych obowiązków. A nie jedyny to myśliciel, wokół osoby którego narosło tyle wymagających wyjaśnień nieporozumień.

Przystępując do lektury „Filozofii w buduarze" nie zapominajmy także, że de Sade był wielce uzdolnionym pisarzem i posiadał niebanalny dar opowiadania oraz doskonałe wyczucie słowa. Przekład **Mateusza Fabjanowskiego** celnie oddaje zarówno jego styl, jak i atmosferę osiemnastowiecznego buduaru francuskiego. I nie wydaje mi się, aby po odłożeniu książki na półkę czytelnicy wyruszyli społem na ulice w krwiożerczych zamiarach. Słowo „sadysta" nie musi wszak oznaczać okrutnika.

D. A. F. de Sade — „Filozofia w buduarze", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1989, nakład 100 000 egz., przełożył Mateusz Fabjanowski.

Spotkanie z panem Bogusławem

Po grudniowych premierach („Wigilie polskie", balet „Sylwia") pierwszą nowością, jaką bieżący rok powitany został przez łódzki Teatr Wielki, był **XXXVI Warsztat Operowy.** Jak wiadomo, każda edycja tych comiesięcznych spotkań, prowadzonych przez dyr. **Pietrasa**, ma inny temat. Na niedzielne przedpołudnie 7 stycznia zapowiadano oficjalnie omówienie **„Kniazia Igora" Borodina.** Jednak niektórzy lepiej poinformowani wiedzieli już wcześniej, że ma być coś innego — jakaś niespodzianka.

Faktycznie, była. Gdy w zaciemnionej sali kurtyna poszła w górę, w centralnym punkcie sceny zajaśniała w ostrym świetle reflektorów biała, wytworna marynarka **Bogusława Kaczyńskiego** — gwiazdy naszego muzycznego dziennikarstwa. Otóż warsztaty pomyślane zostały jako rodzaj spotkania autorskiego.

Przyznam, że nie mając od kilku lat w domu telewizora nie śledzę systematycznie działalności tego prezentera, znam go jednak dobrze z różnych imprez artystycznych. I cenię za popularyzatorską pasję oraz dar krasomówczy.

Tym razem Kaczyński dokonał swoistego wyczynu. Przez prawie 3 godziny był przy głosie, mówiąc prawie wyłącznie o sobie — o tym jak to w czasach szkolnych uczył się po amatorsku gry na fortepianie, jak wyglądały jego pierwsze kroki w telewizji itd. Pewnie nie zaprzątałbym uwagi czytelników tą imprezą, gdyby nie jedno bardziej ogólne zagadnienie, które wypłynęło w trakcie mówionej autobiografii i które kazało na pana Bogusława spojrzeć trochę innym okiem.

Nasz gość, naświetlając własną działalność recenzencką i publicystyczną, wypowiedział się mianowicie na temat publicystyki muzycznej w ogóle, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że poza nim nikt u nas, w Polsce, nie potrafi już właściwie tą dziedziną się zajmować. Fachowa krytyka muzyczna — jego zdaniem — nie istnieje. Na wtrąconą uwagę, że mamy przecież profesjonalną prasę muzyczną, m.in. **„Ruch muzyczny"**, odparł, że pismo to nic nie jest warte i nikt go nie czyta. Zresztą — cytuję nadal Kaczyńskiego — pisuje tam np. niejaki **Pociej**, którego elaboraty zasługują na to, by były wydawane w nakładzie 10 egzemplarzy — tylko dla rodziny i znajomych.

Wspomnę, że interesujące, eseistyczne książki Bohdana Pocieja w akademiach muzycznych traktowane są niejednokrotnie jako lektura obowiązkowa dla studentów.

Wobec tak bulwersujących wypowiedzi poproszono, by Kaczyński ustosunkował się do zamieszczonego w **„Polityce"** artykułu **Piotra Sarzyńskiego** pt. **„Klaka"**. Nie jest tajemnicą, że niektóre z naszych placówek muzycznych korzystają z usług „dworskich" recenzentów, zabieranych na atrakcyjne wyjazdy zagraniczne a potem odpłacających się bałwochwalczymi relacjami z tournee. Sarzyński napisał: „Bogusław Kaczyński" snuł przez parę wieczorów w TV entuzjastyczne opowieści o triumfalnych występach Teatru Wielkiego w Łodzi na Sycylii, których był świadkiem. Tymczasem z innych źródeł rychło się okazało, że zakończyły się one artystyczną klęską".

W odpowiedzi bywalcy „Warsztatów operowych" usłyszeli: „— Jeśli tacy, jak Sarzyński pisują do „Polityki", to nie warto jej kupować. On na niczym się nie zna. Niedawno próbował prowadzić jakiś program w TV. Oglądając to w domu chciałem szybko pojechać do studia, żeby mu pomóc, gdyż nie dawał sobie rady".

Upływające w miłym nastroju spotkanie spełniło, niewątpliwie, swój cel — pozwoliło lepiej poznać poglądy pana Bogusława.

JANUSZ JANYST

PESTKI DYNI

„Uwielbiam piękne salony o złoconych boazeriach, lustrach, świecznikach, jadalnie przybrane kwiatami i kobietami. Moja światowość jest nieuleczalna...". „Byłem na obiedzie wydanym przez hrabinę Potocką. Co za menu! Bliny z kawiorem — to jest placuszki z mąki gryczanej z czarnymi jajeczkami, które przypominają niezwykle małe pociski — a to wszystko podlane śmietaną. Później filety z soli Augusta, były też ostrygi, pularda paryska, duszone przepiórki a la Rossini, etc.". „Nigdy, żaden ksiądz nie jadł tyle na proszonych obiadach, co ja. Trwonię duszę przy pełnym talerzu".

Kim był ten łakomczuch? **Ksiądz Mugnier:** okrągluteczki, nieduży i pulchny, w wytartej, pocerowanej sutannie nieokreślonego koloru, w ciężkich butach robotnika z hal. Miłośnik literatury i sztuk wszelkich, erudyta, bywalec salonów, powiernik i spowiednik osób z arystokracji, z wielkiej burżuazji, również pisarzy, poetów, malarzy. Człowiek niezwykle tolerancyjny, o otwartej głowie, własnych sądach i manii zapisywania wszystkiego, co usłyszał i czego był świadkiem naocznym. I tak właśnie narodził się wyjątkowy pamiętnik, który parę lat temu ujrzał światło dzienne w postaci książki wydanej przez **Mercure de France: „Journal de l'abbé Mugnier (1879—1939)".**

„Nienawiść do Żydów jest bezsensowna! Szczególnie u kobiet, które mienią się chrześcijankami. Co za nędza!" (2.VI.1899). „Dreyfus, który poruszył świat nie wiedząc o tym — powrócił do kraju. Wylądował w deszczu i wichurze na półwyspie Quiberon — scena godna Szekspira: jeśli jest niewinny — cóż za zbrodnia!" (2.VII.1899). „Rreyfus zrehabilitowany — Zola może triumfować w trumnie". (14.VII.1906). „Czytałem tego ranka Biblię. Ach ci Żydzi! — stworzyli patos i emocję. Grecy głosili rozsądek, piękno i równowagę. Rzymianie — siłę i asymilację, ale biblijni Żydzi krzyczą i płaczą, a ludzkość aż do końca będzie szlochać wraz z nimi..." (13.XII.1935).

„Huysmans opowiedział mi, jak Maupassant po kolacji zabrał całe męskie towarzystwo do domu publicznego, rozebrał się do naga i robił pięć razy te rzeczy z jedną kobietą... Innym razem ściągnął portki Bourgetowi — pytając: „Czy to wszystko, co masz do pokazania damom?..." (20.XI.1896).

„Nawet środowiska katolickie zaczynają się wreszcie interesować wychowaniem seksualnym młodzieży. Najwyższy czas! Zawsze mnie dziwiło pełne hipokryzji milczenie w tych sprawach. Poświęca się prawdę, zdrowie, przyszłość rasy — wstydliwości wymyślonej przez bojaźliwe umysły, w pensjach dla panien, w zakrystiach bez światła, czy przez stare panny. Montaigne pisał: „uczy się nas żyć, gdy życie już przeszło. Stu uczniaków złapało kilę zanim mogło dowiedzieć się czegoś od Arystotelesa" (3.IV.1928).

„Proust zmarł w sobotę wieczór. Zgodnie z jego życzeniem przyjaciel prosił mnie, abym spędził parę chwil przy zwłokach" (19.XI.1922).

„Na obiedzie u państwa Preyot mówiono o Malraux, który ograbił z rzeźb świątynię, gdzieś między Syjamem a Kambodżą i skazany został na więzienie. Bronił się mówiąc, że to ziemia niczyja" (16.XII.1934).

„Francois Mauriac — postać ponura, chuda, bez radości. Opowiadał jak pewna zakonnica skarciła dziewczynę, kąpiącą się nago w wannie. Gdy ta powiedziała: „przecież nikt mnie nie widzi" — usłyszała: „a twój Anioł Stróż; to są przecież młodzieńcy..." Księżna Bibesco powiedziała o Mauriacu: „on nie ma dość zdrowia, aby być poganinem..." (1.III.1936).

Powyższe fragmenty dzienników księdza Mugniera przetłumaczył **Władysław Grzędzielski.** Ciekawe, czy jakieś wydawnictwo ma zamiar wydać tę książkę? Warto. Nie samym Katyniem człowiek żyje.

ANDRZEJ GRUN

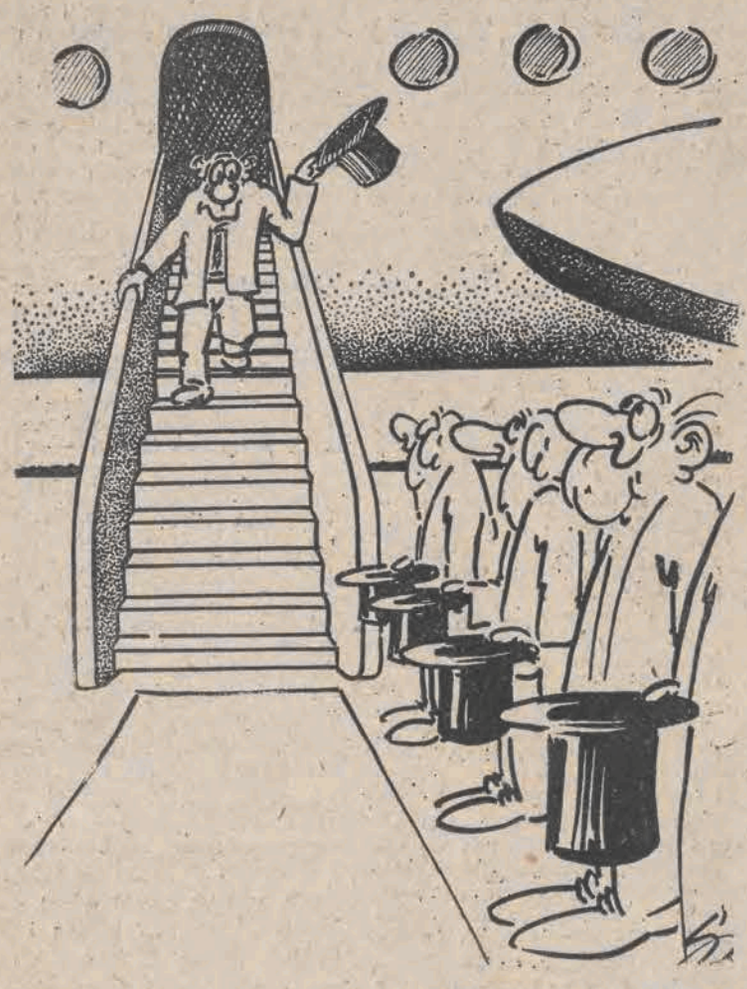

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

FAŁSZ HISTORYCZNY (?)

„Dowódca 1 Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej im. T. Kościuszki, **płk Zdzisław Kazimierski**, oskarżył **Ryszarda Bugajskiego**, twórcę głośnego **„Przesłuchania"**, o fałsz historyczny — pisze **„Wprost"**. — W scenach przesłuchań występują bowiem postacie w żółtych otokach, takich, jakie ozdabiają czapki żołnierzy I WDZ im. T. Kościuszki. Płk Kazimierski twierdzi kategorycznie, że kościuszkowcy nigdy nie pełnili żadnej służby więziennej i nigdy nie brali udziału w jakichkolwiek akcjach represyjnych.

Jak było naprawdę, trudno nam tu dociekać, jedno natomiast — bez względu na owe otoki — nie podlega dyskusji: film Bugajskiego wywołuje wstrząsające wrażenie..."

OBRAZ ZAPADŁEJ PROWINCJI

Dla **„Tygodnika Solidarność" Jan Józef Szczepański** napisał cykl felietonów o totalitaryzmie, które zamierza opublikować w formie broszury. Zdaniem J. J. Szczepańskiego, „wizerunek Polaka z perspektywy tak zwanego szerokiego świata jest w dalszym ciągu obrazem przedstawiciela zapadłej prowincji europejskiej". Niestety — komentuje „Wprost" — niewiele zrobiliśmy, aby pozbyć się miana prowincjuszy.

Przy okazji: nakładem wydawnictwa „Znak" ukazała się głośna książka J. J. Szczepańskiego „Kadencja", znana dotąd z wydania w drugim obiegu. Jest to dokumentalny zapis rozwiązania Związku Literatów Polskich, któremu autor prezesował.

I jeszcze jedna informacja o książce, która powstawała... 50 lat. Chodzi tu o **„Prywatne życie Stalina" Jurija Borlewa.** Składa się ona ze wspomnień i opowieści ludzi, którzy mieli bezpośredni kontakt ze Stalinem. Książka mówi o tym, kim był w istocie Stalin, ile miał żon, kogo darzył zaufaniem, kogo tolerował i kogo nienawidził. Jednocześnie ujawnia ona wiele niedyskretnych szczegółów z życia głośnych postaci tamtej epoki — **Lenina, Krupskiej, Bucharina, Ordżonikidze, Berii, Mołotowa, Aleksego Tołstoja, Gorkiego, Babla, Bułhakowa, Szołochowa czy Fadiejewa.** Książką ukazała się nakładem oficyny literatów „Rój".

PRYMITYWNI I NIEPORADNI JAK DZIECI...

Miklos Jancso to jeden z najwybitniejszych reżyserów węgierskich („Światło na twarzy", **„Desperaci"**, **„Gwiazdy na czapkach"**, **„Cisza i krzyk"**, **„Agnus Dei"**, **„Węgierska rapsodia"**, **„Elektra, moja miłość"**, **„Czas potworów"** czy **„Horoskop Chrystusa"**). **„Trybuna Ludu"** opublikowała niedawno rozmowę **Stanisława Zawiślińskiego** z reżyserem, której fragmenty przedstawiamy:

„Proszę pana — mówi Miklos Jancso — na Węgrzech dzieje się teraz tyle ciekawych rzeczy... Nie tylko przegrani komuniści, lecz i część opozycji uważa, że społeczeństwo do demokracji jeszcze nie dorosło. Może zmienią wkrótce zdanie. To bolszewicy byli przekonani, że ludzie są prymitywni i nieporadni jak dzieci, należy im wszystko dokładnie powiedzieć, a nawet narzucić — co mają jeść, co oglądać, co czytać i jak głosować. Niestety, takie podejście bywa dziedziczne, trudno je eliminować... Ja jestem optymistą. Sądzę, że powoli wszystko się zmieni i poukłada. Póki co, metody bolszewickie w działaniach władz są jeszcze obecne. Wiele decyzji podejmuje się potajemnie, za plecami, a pluralizm w życiu politycznym jest fasadowy. Podam panu przykład: w myśl ustaleń naszego „okrągłego stołu" powołano radę mającą kontrolować radio i telewizję, mieli się w niej znaleźć fachowcy, ludzie z nie kwestionowanym autorytetem, a weszli tam dyletanci, skompromitowani aparatczycy i konserwatyści. Między innymi to mnie przekonuje, że Stalin jeszcze żyje... Wolność prawdopodobnie jest zjawą. Jest jak szosa podczas upałów: wydaje się, że jest mokra; jedziemy, a przed nami jakby płynęła rzeką — a przecież nigdy się w tej rzece nie znajdziemy. Oczywiście, są i konkretne przejawy wolności — kiedy czujemy, że można się swobodnie wypowiadać, działać bez większych ograniczeń i jeść to, na co ma się ochotę. W sytych społeczeństwach wolność ma inny kształt niż tam, gdzie dóbr jest mało, kiedy brakuje przysłowiowego chleba, ludzie stają się agresywni i nie bardzo potrafią korzystać z wolności, bo ważniejsza staje się walka o byt. Dlatego też i u nas uzyskana wolność sprawia kłopoty... Tak, jest wolność, ale brakuje środków na robienie fil-

Niedosyt i pustka

JERZY KWIECIŃSKI

W sztuce współczesnego amerykańskiego autora, powstałej przed kilkunastu laty, a granej obecnie na scenie „Jaracza" wbrew jej tytułowi nie seks, ani tym bardziej nie perwersje są jej głównym tematem, lecz poniekąd zastępczym, choć seksualne przypadki bohaterów stanowią treść akcji.

Od pierwszych zdań dialogu, prowadzonego przez dwóch przyjaciół czy raczej bliskich kompanów, wszystkie rozmowy i działania obracają się nie tyle wokół seksualnych przeżyć, ile samych sytuacji, opisywanych dosadnie a barwnie miejscami dowcipnie dzięki inwencji słownej autora sztuki i jej polskiego tłumacza. O „tych rzeczach" mówi się tu raz nonszalancko, raz z afektacją, zależnie od rozmówcy i od nastroju chwili, często dla samego zaimponowania partnerowi.

Celuje w tym upajaniu się seksualnym tematem aktywniejszy życiowo **Bernard**, chełpliwie cyniczny, z którego zapewne podkoloryzowanych przygód można by sądzić, iż najbardziej zależy mu na własnym wizerunku człowieka sukcesu, który na wszystko ma sposób, również oczywiście na zdobycie kobiety. Z dużą siłą komiczną gra tę rolę **MICHAŁ JACKOWSKI**. Jest on w przyjaźni stroną silniejszą niż **Dan**, pełen podziwu i chyba zazdrości dla bardziej doświadczonego, nie potrafi bowiem tak jak on sterować swoimi emocjami i tak dbać o swój „image" co przekonująco przekazał **CEZARY RYBIŃSKI**.

Podobnie skontrastowano parę przyjaciółek, nie stroniących w potrzebie od lesbijskich pocieszeń. Nad skłonną do spontanicznych odruchów **Deborah (AGATA PIOTROWSKA)**, dominuje opanowana i skłonna do gorzkich refleksji **Joan** (precyzyjnie poprowadzona rola **BOGUSŁAWY PAWELEC**). Ale nad indywidualnymi różnicami zdaje się brać górę oszałamianie się seksem, zagłuszanie poczucia osamotnienia i jałowej egzystencji, pewnego jakby tragizmu istnienia ludzi będących wytworem zagubienia jednostki we współczesnej cywilizacji. I stąd ta żałosna zabawa w „perwersje" bez przeżywania autentycznej namiętności.

Nie należy więc winić samego seksu, lecz niezdolność do przeżyć u ludzi o niepełnej osobowości, którzy, jak Deborah jeszcze walczą z niemożnością porozumienia się z bliskim człowiekiem, lecz nie wiedzą co począć, żeby słowa zbliżały nie zaś dzieliły. Jak przestać udawać mocnego i zdjąć koronę z głowy? Wiadomo przecież — zdaje się mówić autor, że sytuacje erotyczne wymagają ciągłej walki z rytuałem powielania słów i gestów (trochę jak między Swannem i Odetą u Prousta), poddawania się chwilowemu nakazowi uczuć i popędów.

Ale tę prawdę musi widz dopiero mozolnie wyłuskiwać z sytuacyjno-słownego gąszczu, z tych wszystkich drastyczności i wulgaryzmów, a zdawało się chwilami, że coraz to nowe, nieraz migawkowe scenki zmierzają do jakiegoś dramatycznego wydarzenia, rzucającego światło na dotychczasowy przebieg zdarzeń, żeby wydobyć z nich przesłanie sztuki.

Autor jednak nie obdarował nas pointą, wątła od początku dramaturgia utworu rozmywała się w coraz słabiej z sobą powiązanych scenkach, rozgrywanych (pomysłowo i funkcjonalnie) w pięciu poziomych planach przestrzennych, zbiegających się koncentrycznie u obszernego łoża, na którym nie działo się prawie nic z tego, na co widz wykosztował się kupując bilet. Tu i ówdzie pojawiała się zabawniejsza sytuacja, jakaś śmieszna odzywka, aż skończyło się w momencie sprawiającym wrażenie całkiem przypadkowego. W ten sposób autor sam osłabił swoje ironiczno-demaskatorskie intencje...

David Mamet: „Seksualne perwersje w Chicago". Przekład i reżyseria — **Rafał Kłopotowski**, scenografia — **Tadeusz Paul**, kosiumy — **Jagna Janicka**, opracowanie muzyczne — **Piotr Hertel**. Premiera 6 stycznia '89 na Małej Scenie.

Na zdjęciu: Agata Piotrowska i Bogusława Pawelec.

Foto: Romuald Sakowicz

Kronika

MUZEUM SZTUKI W ŁODZI przypadł zaszczyt zbierania darów na rzecz Funduszu Daru Narodowego. Przyjmowane są tam od ofiarodawców dzieła sztuki, kosztowności o wartości muzealnej, numizmaty oraz cenne wyroby przemysłu artystycznego.

Dary składać można w Biurze Głównego Inwentaryzatora (ul. Więckowskiego 13) w poniedziałki, środy, czwartki i piątki (w godz. 10—15), we wtorki (od godz. 13 do 18).

Ponadto informujemy, że dary w gotówce, papierach wartościowych bądź wyrobach ze złota, srebra i platyny (nie będące dziełami sztuki) przyjmuje NBP w Łodzi (al. Kościuszki 14).

KULTURA ŁÓDZKA poniosła dotkliwą, wielce bolesną stratę. Zmarł 9 bm. Zbigniew Kosiński (1926—1990), **ceniony w naszym mieście poeta. Uprawiał także malarstwo i zajmował się rzeźbą.** Jako poeta **zadebiutował w roku 1957. Opublikował** m.in. zbiory wierszy: **„Port egzotyczny" (1957), „Wzroki" (1976), „Pleonazm" (1982). Swoje utwory** poetyckie **drukował też na łamach naszego tygodnika. Był żołnierzem Armii Krajowej, uczestnikiem Powstania Warszawskiego.**

Żegnamy go z wielkim żalem.

ZDZISŁAW DADOS, wrocławski artysta fotografik — związany z tzw. nurtem fotografii elementarnej, prezentuje w Galerii FF Łódzkiego Domu Kultury cykl fotogramów pn. „Przestrzeń emocjonalna". Stanowią one efekt doświadczeń autora w zakresie ingerencji w układ optyczny kamery fotograficznej. Ta interesująca, **oryginalna ekspozycja czynna będzie do 27 stycznia br.**

BARDZO CIEKAWĄ wystawę szopek krakowskich — z unikatowych zbiorów Muzeum Historycznego m. Krakowa — można obejrzeć do 31 bm. w salach wystawowych Muzeum w Tomaszowie Mazowieckim (ul. Armii Ludowej 11/15).

NAKŁADEM Instytutu Wydawniczego PAX ukazała się książka „Sprawa zabójstwa Bohdana P...seckiego", poświęcona jest ona bulwersującej sprawie zamordowania syna Bolesława Piaseckiego, przewodniczącego PAX. Wyszła ona spod pióra **Petera Rainy — historyka hinduskiego, badacza najnowszych dziejów Polski.**

Z pewnością stanie się ona szlagierem wydawniczym.

WZNOWIŁA działalność, 12 bm., galeria Klubu Dziennikarza w nowej siedzibie — przy ul. Sienkiewicza 9. Eksponowane jest w niej malarstwo olejne znanego artysty — **Józefa Wasiołka.**

WYSTAWĘ „Zginęli w Katyniu", która przez dwa miesiące czynna była w **Muzeum Fotografiki w Krakowie, obejrzało przeszło milion osób.** Ekspozycja ta zawędrowała obecnie do **Poznania, potem będzie pokazywana we Wrocławiu.** Ubiegają się o nią **aż 54 miasta w naszym kraju.**

PAŃSTWOWY TEATR LALEK „PINOKIO", który z powodu remontu swojej stałej siedziby korzystał dotychczas z **lokalu zastępczego przy ul. Ogrodowej,** przeniósł się obecnie **do budynku Domu Kultury Kolejarza przy Andrzeja Struga 98.**

Dotychczasowy dyrektor teatru **Wojciech Kobrzyński objął kierownictwo Teatru Lalek w Białymstoku,** a na jego miejsce zaangażowano **Grzegorza Kwiecińskiego,** dotychczasowego dyrektora teatru lalkowego w **Opolu.**

MIŁO NAM POWIADOMIĆ czytelników, że **Urząd Miejski w Gdańsku** — na wniosek **ZW PTTK — nadał znanemu łódzkiemu poecie, prozaikowi i tłumaczowi — Tadeuszowi Chróścielewskiemu „Medal Wincentego Pola".** Wyróżnienie to przypadło pisarzowi w udziale **za przekazanie cennych eksponatów jako darów dla Izby Pamięci Wincentego Pola w Gdańsku-Sobieszewie.** Tadeusz Chróścielewski ofiarował m.in. Izbie **rękopis swojego wiersza poświęconego W. Polowi.**

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI zamierza napisać książkę o wielkich przemianach dokonujących się w Związku Radzieckim.

Autor **„Cesarza" i „Szachinszacha"** jest zawsze obecny w tym punkcie kuli ziemskiej, gdzie dzieje się coś ważnego. Od jesieni ubiegłego roku **odbywa prywatnie podróż wzdłuż i wszerz ZSRR. Dotarł nawet do Workuty, w której nigdy dotąd stopa zagranicznego dziennikarza nie stanęła.**

A w „Czytelniku", już od dawna, **cztery jego książki oczekują na druk.**

W WILNIE ukazał się pierwszy numer nowego polskiego dwutygodnika pt. „Znad Wilii". Jego wydawcą jest wiceprzewodniczący Związku Polaków na Litwie — adwokat Czesław Okinczyc.

„Znad Wilii" jest pierwszym prywatnym czasopismem w Związku Radzieckim.

MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI zorganizowało **9 bm. spotkanie z nestorem łódzkich dziennikarzy —** red. Adamem Ochockim.

Autor **niezwykle poczytnej trylogii wspomnieniowej: „Reporter przed konfesjonałem", „Raz, dwa, wzięli!" i „Erika zdradza tajemnicę" — w bardzo interesującej prelekcji,** bogato przeplatanej anegdotami, **podzielił się ze słuchaczami wspomnieniami ze swojego** barwnego życia i dziennikarskiej pracy w przedwojennej i powojennej prasie łódzkiej.

NA XXXI Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim zorganizowanym przez **paryskie** radio i telewizję duży sukces odniósł łódzki kompozytor — a zarazem **profesor Akademii Muzycznej Jerzy Bauer,** który **otrzymał Brązowy Medal za utwór na gitarę solo.**

Gratulujemy!

W ŁÓDZKIM Domu Kultury do 20 stycznia br. czynna będzie ciekawa wystawa **„Łódź, która odnalazła w przeszłość". Eksponaty pochodzą ze zbiorów znanego łódzkiego kolekcjonera — Henryka Poselta.**

ZAPROSILI NAS:

Bydgoskie Towarzystwo Teatralne na uroczystość wręczenia „Złotego Wawrzynu Grzymały", która odbędzie się 29 bm. w Teatrze Polskim w Bydgoszczy. Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi na prezentację prac artystów plastyków: Jolanty Ebert, Wiesława Łuczaja, Ryszarda Ługowskiego, Pawła Motylskiego, Małgorzaty Ptak, Czesława Radzkiego, Jacka Urbańskiego, Angeli Weber (RFN) w ramach ekspozycji „Poglądy", której otwarcie odbędzie się 19 bm. w salach wystawowych muzeum.

Za zaproszenia dziękujemy.

Rys. Sławomir Arabski Opracował: JAK

Czuć się potrzebnym...

Rozmowa z ANDRZEJEM KOSTRZEWSKIM.

ANDRZEJ KOSTRZEWSKI, absolwent Wydziału Wokalno-Aktorskiego AM w Łodzi (z 1985 roku), baryton — solista Teatru Wielkiego w Łodzi, prezentuje z premiery na premierę coraz wyrazistsze aktorstwo i coraz lepszą technikę wokalną. Znakomita aparycja śpiewaka czyni z niego prawdziwą atrakcję na scenie. W nowej premierze „Kynolog w rozterce" Hanryka Czyża kreuje partię tytułową.

— Jak pan czuje się w takich kameralnych, współczesnych dziełach operowych, jakim jest „Kynolog w rozterce"?

— Była to moja pierwsza rola w takiej operze i nowe doświadczenie. Praca na scenie kameralnej to przede wszystkim bardzo bliski kontakt z widzem, który widzi nas jak na dłoni. Na dużej scenie wygląda to inaczej, tam można czuć się bezpieczniej. W operze kameralnej wykonuje się inny rodzaj muzyki, ale technika wokalna dla mnie była taka sama. Trudniej śpiewa się muzykę współczesną, mającą inne współbrzmienia harmoniczne. Mimo to, czuję się w niej dobrze, gra aktorska i śpiew stanowią tu jedną całość, wszystko ustawione przez reżysera w bardzo szybkim tempie. Jest dużo ruchu i zmian nastroju, co było trudne dla utrzymania postaci w jednakowym napięciu i poprowadzenia jej tak, aby do końca istniała na scenie. A ja schodzę ze sceny tylko na 20 sekund.

— Czy są jakieś różnice w przygotowaniu wokalnym głównej partii męskiej w operze kameralnej, a tradycyjnej — widowiskowej?

— Przygotowanie wygląda tak samo, tylko trzeba pamiętać, że na scenie kameralnej twarz jest bardziej widoczna (szczególnie oczy), istotna jest również mimika twarzy i gest, bo tu jest się bardziej widocznym. Reszta zależy od reżysera, od tego w jakim stopniu chce coś stonować lub wyeksponować. To zresztą wspólne działanie z wykonawcą.

— Woli pan role amantów (np. Eugeniusz Onlegin) czy zadania komediowe (Hrabia w „Weselu Figara")?

— Gdzieś wewnątrz chciałem na początku grać role amantów, bałem się otworzyć komediowo (Hrabia w „Weselu Figara"). Obecnie czuję się dobrze w obu rodzajach ról. Wszystko zaczęło się od „Eugeniusza Oniegina", gdzie na scenę zostałem wprowadzony przez asystenta reżysera. Z **Maciejem Prusem** spotkałem się dopiero po roku śpiewania. Ale za to poczułem, że gra aktorska sprawia mi przyjemność.

— Jest pan zwolennikiem tradycyjnych inscenizacji operowych czy raczej śmiałej awangardy na muzycznej scenie?

— Tak się złożyło, że wszystkie przedstawienia, w których brałem udział nie były wystawione tradycyjnie. Miałem okazję spotkać się z bardzo dobrymi reżyserami i wiele się od nich nauczyć.

— Co dała panu współpraca z Adamem Hanuszkiewiczem przy „Weselu Figara"?

— Ciągłą gotowość do pracy, czułość na często wprowadzane zmiany sytuacji, a taki rodzaj pracy bardzo mi odpowiada. Nie znoszę bezczynności.

— A ta najnowsza przy „Kynologu w rozterce"?

— **Reżyser Bogusław Danielewski** wycisnął z nas „siódme poty", ale później przyszła satysfakcja, że zrobiło się coś nowego, że przybyło nowe doświadczenie. Interesujące było spotkanie z kompozytorem opery **Henrykiem Czyżem.**

— Prywatnie różni się pan od swoich scenicznych postaci. Czyżby dlatego, że nie daje im nic ze swojej prywatności?

— Staram się identyfikować z każdą moją postacią, myśleć jej kategoriami, wykorzystuję pewne doświadczenia życiowe i przenoszę na scenę obserwacje. Dbam nie tylko o stronę wokalną, ale i o to, żeby moje postacie zaistniały scenicznie.

— Jak trafił pan do wokalistyki operowej?

— Z przypadku, ukończyłem Technikum Mechaniczne (obróbka skrawaniem), ale udany występ na studniówce (śpiewałem i grałem na gitarze) oraz praca w kościelnym zespole wokalno-instrumentalnym, zaczęły gdzieś we mnie fukcjonować. Myślę, że to spowodowało mój wybór śpiewu. Długo brakowało mi pewności wokalnej, także po studiach. Obecnie daje mi ją mój konsultant wokalny, wybitny fachowiec **Roman Werliński.**

— Po kim odziedziczył pan głos i talent aktorski?

— Głos podobno po pradziadku, umiejętności aktorskie zawdzięczam pracy nad sobą.

— Żona również śpiewa?

— Żona jest nauczycielką muzyki w szkole.

— A kiedy syn zechce pójść w ślady ojca?

— Nie będę oponował, na razie syn wyraził chęć grania na gitarze jazzowej.

— Nad jaką partią obecnie pan pracuje?

— Mam śpiewać partię księdza Urbana w **„Diabłach z Louden".**

— Co stanowi dla pana największą satysfakcję w tym co robi?

— Myślę, że najważniejsze jest wrażenie artystyczne, jakie udaje się wywołać na widzu. Jeżeli to następuje, jestem w pełni usatysfakcjonowany.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

„Wigilie" po raz wtóry

6 stycznia wybrałem się do Muzeum Historii Miasta Łodzi, by na małej scenie Teatru Wielkiego obejrzeć wznowienie **„Wigilii polskich"** — kameralnego spektaklu muzyczno-poetycko-gawędziarskiego, w którym zasadniczą w sensie dramaturgicznym rolę narratorki spełniała **Barbara Wachowicz** — animatorka całego przedsięwzięcia i autorka scenariusza, wykorzystującego polskie poezje od **Kochanowskiego** po **Baczyńskiego.**

Pisząc przed rokiem recenzję z tego oddziałującego na emocje i cieszącego się ogromnym powodzeniem u publiczności przedsięwzięcia, podkreśliłem jego silną wymowę patriotyczną związaną z heroicznymi i martyrologicznymi motywami powstaniowymi wplecionymi w wątki bożonarodzeniowe. Wigilia potraktowana została jako okazja do „zamyślenia się nad losem tych, którzy byli obecni przy łamaniu się opłatkiem polskim przez lata niewoli i mroku, krzepiąc serca i budząc sumienia".

W tym roku treści wzbogacone zostały o nową, obszerną sekwencję lwowską. Temat do niedawna tabu, potraktowany został wzruszająco m.in. dzięki udziałowi (śpiewających pieśń Lwowskich Orląt) **Małgosi Pikały** oraz harcerzy z **44 Łódzkiej Drużyny im. Jana Bytnara-Rudego** wraz z jej harcmistrzem, **Krzysztofem Jakubcem.** Tak, jak i poprzednio trzej studenci PWSFTviT — **Artur Urbański, Jarosław Rabenda i Paweł Kowalski** wcielili się w postaci **Mickiewicza, Słowackiego i Chopina,** choć tym razem jakby z mniejszym trochę zaangażowaniem uczuciowym. Sekudowała wieszczom kolędując pięknie z towarzyszeniem pianisty, **Bogusława Pikały,** sopranistka **Delfina Ambroziak.** Niektóre melodie, np. **„Cichą noc"**, artystka śpiewała na tle kameralnego chóru, wyłonionego z zespołu Teatru Wielkiego a przygotowanego do występu przez **Lajlę Zaborowską.** W innych utworach chór produkował się sam, ale i tak wydawało się, że jest tam przez cały czas jakaś solistka, bowiem nieustannie wybijał się jeden z najwyższych głosów. Brzmienie było zatem niewyrównane, zaś interpretacje o wiele mniej ciekawe niż zaproponowane rok temu przez ansambl **Andrzeja Chmielowca.** Np. w kolędzie **„W żłobie leży"** zbyt szybkie tempo zniweczyło właściwy, polonezowy charakter.

Mimo pewnych zastrzeżeń jednak i tegoroczne, teatralne „Wigilie" stały się sukcesem ich autorki, źródłem niekłamanych wzruszeń i — można by rzec — znakomitym, artystycznym przedłużeniem wigilii domowych.

J. J.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

mów. Zresztą widzowie nas opuścili. Od kina oczekują głównie taniej rozrywki w stylu hollywoodzkim. Węgierskich filmów raczej nie oglądają. Zresztą, nie dziwię się. Owoce wczoraj zakazane, dzisiaj smakują najbardziej. A przecież lata byliśmy odcięci od świata; dostęp do kultury zachodniej był reglamentowany. Nie potrafimy, jak dotąd, znaleźć sposobu na przywrócenie zainteresowania kinem artystycznym, sztuką ambitną. Płacimy za grzechy upadającego systemu... Po roku 1956, a wówczas wszyscy widzieli, że była u nas rewolucja, a nie żadna tam kontrrewolucja, przez niemal 30 lat naród milczał jak zaklęty, opozycji — poza nielicznymi wyjątkami — praktycznie nie było. I nagle okazuje się, że mamy całą armię tych, którzy rzekomo od lat byli w opozycji, mają zasługi... Ale nie dziwi mnie to — takie są prawa wielkich przemian... Mogę panu dostarczyć materiału do kolejnych (bestsellerów — dop. red.; reżyser nawiązuje tu do książki swojego przyjaciela **Hernadiego,** która traktuje o kochankach Jancso), choćby o spotkaniach z moimi polskimi przyjaciółmi. Wie pan, dlaczego **Daniel Olbrychski** grał w moich filmach?.. Bo chciał spędzać urlopy na Węgrzech. Pytał, czy nie mogę mu w tym pomóc. Ja na to: „Proszę, zagraj u mnie i masz wczasy"... Mam 68 lat i wiem jedno: największym dobrem na świecie jest życie. Lecz człowiek tępi życie. Tępimy się nawzajem. Tego nie mogę pojąć: dlaczego?..."

MĘŻCZYZNA Z SEX-APPEALEM

„Amerykański tygodnik „People" uznał szkockiego aktora **Seana Connery** za „mężczyznę o największym sex-appealu". Pismo stwierdza, że ten syn kierowcy ciężarówki i sprzątaczki z Edynburga jest „jako mężczyzna tak przekonujący, że kobiety chcą go zdobyć, a mężczyźni — upodobnić się do niego", tak brzmiał jednomyślny werdykt jury. Innego zdania był wszakże sam Sean Connery. Powiedział on, że w jego opinii pierwsze miejsce jako „mężczyzna z sex-appealem" powinien w 1989 r. zająć **Michaił Gorbaczow.** Aktor uważa, że Gorbaczow „jest bardzo atrakcyjny i przedstawia niezwykłą kombinację inteligencji, trzeźwego rozsądku i naturalnej wesołości. Przypomina Buddę". **(„Forum")**

KIEROWNICY DO PSYCHIATRY

„Opowiadam z upodobaniem anegdotkę z moich pierwszych festiwali w Ameryce — pisze „Film", przytaczając wypowiedź **Krzysztofa Zanussiego.** — Przyjechałem ze swoim drugim filmem **„Życie rodzinne"** na festiwal nowojorski, w czasie konferencji prasowej ktoś mnie zapytał, dlaczego piszę sam scenariusze, czy ze względu na trudności ekonomiczne w Polsce? Odpowiedziałem na to, że nie, że ja poprzez pełne autorstwo chcę wyrazić moje własne widzenie świata. Na to dziennikarz nowojorski, biegły w retorycznych utarczkach z niepoprawną starą Europą, zapytał podstępnie, czy przypuszczam, że mój punkt widzenia tak dalece odbiega od przeciętnego. Odpowiedziałem, że mam taką nadzieję i dlatego czuję się artystą, a on mi na to: Wie pan, u nas, jeśli czyjeś widzenie znacznie odbiega od przeciętnego, to kierujemy go do psychiatry. Oczywiście, i ten punkt widzenia można zrozumieć. Arogancja jednostki, szczególnie twórczej, jest często czymś dla społeczeństwa nieznośnym. Ten amerykański zimny prysznic przypominam sobie, kiedy boję się, że moje rozpasane ego za dużo dla siebie żąda. Na szczęście u nas nie ma tak aroganckich dziennikarzy".

Galeria pisarzy

RYSZARD DOROBA

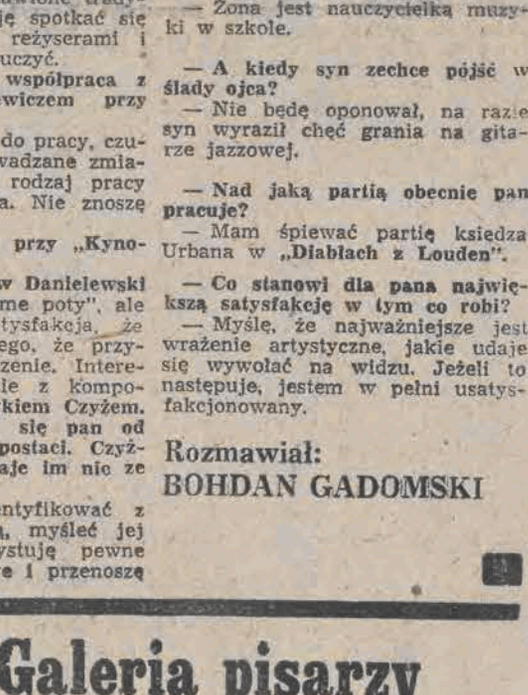

Obszary nędzy

Zasłużyć na wdzięczność

MAGDALENA GROCHOWALSKA

Polski Czerwony Krzyż powstał w 1919 roku w celu niesienia pomocy potrzebującym. Szczególnie wzmożoną działalność prowadził w czasie wojen, kryzysów, klęsk żywiołowych. Ostatnie lata były dla PCK bardzo pracowite; okres stanu wojennego obfitował w akcje rozdawania darów z zagranicy, potem była pomoc dla Armenii. W ostatnich dniach zwiększyła się liczba osób potrzebujących pomocy. Polski Czerwony Krzyż próbuje pomóc wszystkim. Dla ponad 1800 dzieci z biednych rodzin wykupiono obiady w stołówkach szkolnych, a w dwu szkołach specjalnych wykupiono dla dzieci mleko. Osobom starszym i najuboższym PCK od 16 listopada 1989 r. wydaje talony na bezpłatne posiłki.

Odwiedzam jeden z takich punktów w Łodzi przy ul. Lipowej 28. W kolejce po talony czekają trzy osoby. Ubrany w znoszony płaszcz, stary człowiek skarży się:

— *Nie dostaję renty, bo jej nie zdążyłem wypracować. Żyję z zapomogi (58.800 zł), poza tym zbieram makulaturę. W piecu palę odpadkami, bo nie mam pieniędzy na węgiel. Po prostu chodzę po zakładach i śmietnikach. Zawsze się znajdzie coś do palenia. Najlepiej pali się sztruks.*

Kierownik placówki PCK pani Maria Rajnert po spisaniu personaliów wręcza talon.

— *Posiłki są wydawane w barze mlecznym „Wrzos" przy ul. Dzierżyńskiego 32. Dojedzie pan tam autobusem nr 80 lub tramwajami 8 i 20.*

— *A z czego zapłacę za ten tramwaj?* — przerywa staruszek. — *Przejazdy są teraz takie drogie!* (Chwilę się namyśla, po czym kończy): — *Pojadę na gapę, za to się nie idzie siedzieć.*

Kolejny mężczyzna okazuje się „bogatszy" od poprzedniego. Pobiera 90.000 zł emerytury. Dotąd nie korzystał z pomocy PCK.

Następna w kolejce jest pani, która okazuje się byłym radcą prawnym. Ma 115.000 zł emerytury.

— *Pracowałam na półtora etatu, ale jak poszłam na emeryturę w siedemdziesiątym dziewiątym to nie było jeszcze rewaloryzacji i dostałam taką samą emeryturę jak ci, którzy pracowali na cały etat. Dokąd żył mąż nie było nam tak źle. Co dwie emerytury to nie jedna, ale teraz ledwo mogę wyżyć. Trzeba przecież zapłacić za komorne, węgiel... Chciałam pracować na pół etatu w swoim zawodzie, ale nikt mnie nie chce przyjąć. Proponowali mi robienie na drutach, ale ja się nie zgodziłam, bo mam chore oczy.*

Posiłki wydawane są od poniedziałku do piątku (bez sobót i niedziel). Składają się one z 2 zup do wyboru i pieczywa. Każdy otrzymuje serię kuponów oznaczonych datami dziennymi

— *Dużo ludzi nie wie, że mogą korzystać z bezpłatnych obiadów* — mówi pani Maria Rajnert — *Starzy ludzie nie kupują gazet, bo albo nie mają na nie pieniędzy, albo źle widzą i nie mogą czytać.*

Łódzki Zarząd PCK zajmuje się nie tylko wydawaniem talonów na bezpłatne posiłki. Patronuje również opiece sąsiedzkiej, uzupełnia wszystkie braki, np. płaci za węgiel, wydaje chorym bezpłatnie pościel i bieliznę, robi remonty. PCK kojarzy się jednak przede wszystkim z siostrami PCK. Pani Jadwiga Matusz jest jedną z 9 sióstr pracujących w punkcie przy ul. Lipowej 28. Ma 7 podopiecznych, głównie są to osoby obłożnie chore, stare, samotne i niepełnosprawne.

— *Najważniejsza w tym zawodzie jest cierpliwość* — mówi pani Jadwiga. — *Ci ludzie bardziej niż opieki potrzebują serca. Trzeba ich wysłuchać. Niektórzy są podejrzliwi, boją się, nie chcą otworzyć drzwi. Trzeba im długo tłumaczyć, że dzwoni do nich nie oszust ani złodziej, ale siostra PCK. Jest też mnóstwo dziwaków, szczególnie wśród mężczyzn, ale nie tylko. Niektórzy chodzą w łachmanach i głodują, bo... oszczędzają na pogrzeb. Jeden z moich podopiecznych, który dostawał 189.000 zł renty miał pościel całą w strzępach, ale za żadne skarby nie chciał kupić nowej.*

— *Nasza praca jest ciężka i wyczerpująca psychicznie* — wtrąca pani Danuta Jaskółowska — *siostra PCK musi robić wszystko: przynosić obiady, myć, sprzątać, odwozić i przywozić chorego ze szpitala. Przy tym nic nie wolno robić na siłę. Bardzo często stan zdrowia chorych zależy od ich psychiki. Jeśli więc podopieczny nie chce się myć, nie wolno go do tego zmuszać. Pomoc ludziom to bardzo piękna rzecz, czujemy się potrzebne, ale też bywają dni, kiedy mamy ochotę zmienić zawód.*

W tym miejscu warto by dodać to, o czym zazwyczaj nie wypada pisać poruszając problem pomocy innym: siostra PCK dostawała pod koniec 1989 roku pensję w wysokości 87.000 zł, to jest mniej więcej tyle, ile otrzymują renty jej podopieczni. Do tego dochodzi jedynie 20 proc. motywacyjnego i od 5 do 20 proc. wysługi lat.

Poleski okręg PCK współpracuje z Liceum Medycznym im. Heleny Wolf. Pomoc tego liceum jest ogromna. Uczennice dobrowolnie zgłaszają się do pomocy potrzebującym.

PCK współpracuje również z ZHP, opieką społeczną i organizacjami charytatywnymi, jednak to, co robią te wszystkie organizacje razem, to wciąż mało w stosunku do rosnących potrzeb. Dlatego PCK zwraca się do obywateli z gorącym apelem o każdą pomoc. Mogą to być darmowe usługi np. fryzjerskie, naprawy lodówek, odkurzaczy, telewizorów, lub dary w postaci odzieży, odbiorników radiowych i telewizyjnych, sprzętu zmechanizowanego. Naturalnie mogą to być rzeczy używane, ale nie zniszczone. Jeśli więc mamy w domu coś, co mogłoby przynieść radość i pożytek innym — nie zwlekajmy. Potrzebujący są wśród nas!

Życie na bocznicy (3)

Jak zabić żonę?

RYSZARD BINKOWSKI

Collage: Grzegorz Gałasiński

6.

W chwili gdy przekręciła klucz w zamku i odemknęła drzwi, zaskrzypiały schodki wiodące na strych i uderzenie tarana wrzuciło ją do wnętrza. Blondyn w skórzanej kurtce z futrzanym kołnierzem wyjął klucz, wcisnął się do środka, ale nie zdążył przymknąć drzwi, gdy te rozpłaszczyły go na ścianie, zawróciły i osunął się na podłogę. Oszołomiony usiłował zgarnąć z desek klucz, ale wąsacz kopnął go w rękę i sam podniósł klucz, po czym zamknął spokojnie drzwi.

— Możesz ją puścić — powiedział.

Ten drugi, chuderlawy blondyn o przenikliwych szarych oczach, tkwił na tle okna jak model w pracowni rzeźbiarza. Stał za plecami dziewczyny obejmując ją lewą ręką za szyję, w prawej trzymał żyletkę, której ostrze dotykało pobladłego policzka.

— Narzeczony? No, to ratuj jej buzię!

— Mnie to zwisa — odrzekł cicho Waldek, podnosząc za kark tego w skórzanej kurtce. — Biorę go na gliniarnię. A ciebie zamknę z panienką, żebyś pobawił się żyletką.

— Alfons! — warknął szarooki.

Szczęknęła sprężyna, czubek noża dotknął karku Skórzanej Kurtki.

— Rzuć mojkę, bliźniak.

— Nie licytujmy się! Jak nas trafiłeś?

— Za głośno nawijałeś w „Tivoli", że trzeba jej wybić z głowy robotę bez ubezpieczalni i związków zawodowych.

— Istny kapuś! — zachichotał ten w kuchni i rzucił oprawioną w drewno żyletkę. Waldek wkopnął ją pod stół przy oknie.

— Podejdź — rozkazał — tylko nie za blisko.

Zasłaniając się Skórzaną Kurtką przepuścił szarookiego do drzwi, skoczył do kuchni i wepchnął oniemiałą dziewczynę do pokoju. Blondyni zapuścili się na ugiętych nogach do kuchni. Waldek wystawił nóż, wydał gardłowy okrzyk i wykonał popisowy numer fechmistrza z Japonii. Bliźniacy tłocząc się i klnąc wypadli z łoskotem za drzwi. Byli szybsi od samurajów i głośniejsi od stada koni.

Przekręcił klucz w zamku i zajrzał do małego, przytulnego pokoiku. Tani dywanik, wersalka, telewizor, lampka nocna, ozdobna toaletka.

— Spodziewali się buduaru, przyćmionych świateł i okrągłego różowego tapczanu — powiedział.

— Mhm. A w skrytce za sanktuariami do szlifowania urody garść biżuterii i plik dolarów — dodała dziewczyna. — Mimo to dziękuję, błędny rycerzu. A może narzeczony?

Usiadł na wersalce, zapalił. Patrząc na dziewczynę pomyślał, że w takich sytuacjach u kobiet następuje często gwałtowne, niezwykłe rozładowanie napięcia. Płaczą, rwą włosy z głowy, chichoczą, tarzają się po podłodze, tłuką głową o ścianę. Ona była chłodna, opanowana, nawet cyniczna. Widocznie nie było to dla niej najstraszniejsze przeżycie, musiała zaznać już czegoś gorszego.

— Masz narzeczonego — rzucił z uśmiechem — to go utrzymuj.

— Zaraz będzie herbata.

Patrzył z przyjemnością, jak krząta się po kuchni.

— Marzył im się etat stręczycieli — powiedziała. — Śledzili mnie, wiesz?

— Aha. Zaczaili się na strychu.

— Myślę, że nie tylko tych dwóch miałeś na oku.

Zerknął na nią z pewnym zdziwieniem, które pomieszało się ze współczuciem.

— Bystra jesteś. Tylko nie myśl, że liczyłem na twój szmal.

— Nie mam go. To mieszkanko załatwił mi adwokat. Właściciel wyjechał na dwa lata do Libii.

— Aha... Mówili, że jesteś wsiowa. Niewolnica nocy, psiakrew! Kora... A naprawdę?

— Danka.

— Mam na imię Waldek. Słuchaj, czemu wylądowałaś w Łodzi?

— Dzięki tatusiowi. Podobno, gdy podrósł matka ściągnęła go z sierocińca na melinę i zmuszała do czynów kazirodczych. Żeby się od niej uwolnić, dokonał rozboju na renciście i trafił do poprawczaka. A w wojsku wpadł pod skota, doznał urazu czaszki i przekręciło mu się we łbie. Moja matka była chyba zakochana, bo tego nie wyczuła, no i miałyśmy potem swoje małe, prywatne piekło na ziemi...

Wziął od niej herbatę, spróbował i odstawił szklankę na stolik.

— Umarł?

Zacisnąwszy usta, pomieszała łyżeczką w szklance. Milczała z pół minuty, potem zaś strząsnąwszy zadumę z twarzy, powiedziała:

— Wódka całkiem go zbydlęciła. Zabił matkę. Mnie nie zdążył... Do dziś wydaje mi się, że słyszę jego głos, zwłaszcza w czasie burzy, jak wtedy, gdy w blasku błyskawic uciekałam podczas ulewy z domu. I pocieszam się, że ten głos brzmi jedynie w moim mózgu...

— Poznałaś życie, co?

— Przez parę lat pracowałam w knajpie. I powiem ci, że wódka zrobiła większe spustoszenie w umyśle mojego ojca niż to zderzenie ze skotem. A milicja zajęła się tym, jak już zabił... Teraz trzymają go na leczeniu w zakładzie zamkniętym. Sprzedałam dom z ogrodem i urządziłam się tutaj z myślą, że zarobię w „Grandzie" lub w „Centrum".

Wsunął palce w jej włosy, popatrzył chłodno w oczy, jakby z niechęcią. Kąciki ust na mgnienie skrzywiły mu się drapieżnie. Poczuła zimno w żołądku.

— Nie bój się — szepnął. — Wiem, że nie jestem miły, ale pomogę ci, Danka. Widzisz, mnie także wykończyli, pozbawiając domu i rodziny. Po części zawdzięczam to własnej głupocie... Ale była też dziewczyna i pewien gliniarz. Nie lubię glin. Pokażę ci kiedyś tego sukinsyna.

— Jesteśmy więc razem, co?

— Każdy jest pokerzystą, Danka. Zagramy tymi kartami, jakie daje nam los, ale do wspólnego banku.

Rozpięła mu guziki koszuli. Ręce Waldka nie okazywały rozgorączkowania, delikatnie i jakby od niechcenia gładząc jej włosy i biodra, palce muskały ciepłą puszystość, pod którą biło źródło. Inny już dawno by ją dopadł i zgasł, a jego usta i język dotykały jej rozchylonych ud, brzucha, co już było preludium do uniesienia. Wiedział, co ona czuje, o czym myśli. W przeciwieństwie do niego pragnęła niewiele. Każdy ma prawo przeżyć kiedyś taką chwilę.

7.

Wykąpał się, a przy goleniu rzekł do lustra:

— Tylko spokój, w dużych ilościach, filozoficzny spokój... Ale stoik to taki facet, co żyje ponad swój stan, a u nas, psiakrew, kryzys...

Opierał się chęci ruszenia na włóczęgę, w końcu jednak uległ pokusie, tyle że daleko nie zaszedł. Znalazł się w kawiarni „Światowida". Wielkie zasłony w oknach, miękko, zaciszne, lekki szmerek, a na deser cierpkie czerwone wino.

Dziewczynę czytającą przy kawie „Przekrój" zauważył dopiero po kwadransie. Swobodny sposób bycia, elegancja, przenikliwe oczy pomalowane na niebiesko. Ale nie obiecywała, że będzie je wywracać jak szalona, drapać gdzie popadnie i pojękiwać z rozkoszy.

— Koniec lustracji? — zapytała.

— Gazeta mi przeszkadzała. Ale coś niecoś zobaczyłem.

— Ja też. Świetnie pan wygląda. Gotów na uroczysty ślub albo stypę, no nie?

— Niezupełnie. Mam uprzedzenie do krawatów. Ale poza tym jestem dziś taki radosny, że marzę, aby w pobliżu znalazły się jakieś womitoria.

Zamiast fuknąć z miną damy, odłożyła gazetę i przyjrzała mu się z uwagą. On zrobił to samo. Malowane usta, sukienka malinowego koloru, brązowe pończochy, pantofle na wysokim obcasie, na głowie czapeczka śnieżnej białości, jakby z dartego puchu łabędzia skrzyżowanego z angorą.

— Pan rzeczywiście jest w kiepskim stanie — stwierdziła.

Madej uśmiechnął się ponuro, odczuwając w sobie dziwną sprzeczność. Dewizówka nie poleciałaby na niego, a ta nie wyglądała nawet na zwykłą lokalówkę. Jeżeli jej twarz cokolwiek wyrażała, to chyba jedynie coś w rodzaju uprzejmego zdziwienia.

— Przepraszam — bąknął — nie jestem w sosie. Zetknąłem się dziś z facetem, który z zazdrości w niezwykle prymitywny sposób zatłukł na śmierć własną żonę.

Nic na to nie powiedziała. Sięgnąwszy do torebki z czegoś, co udawało skórę krokodyla, wyjęła papierosy, a on podał jej ogień. Zaciągnęła się mrużąc oczy.

— Jest pan lekarzem?

— Nie. Ale myślę, że przydałby mi się jakiś plaster. Łaknę ukojenia.

— Aha. Tylko nie wie pan, jak to załatwić. Podejrzewam, że za bardzo dojrzał pan od czasu leczenia się dla czystej przyjemności.

Zdusiła niedopałek na dnie popielniczki i wstała. Madej też wstał. Stwierdził, że za jej pogardliwym spojrzeniem kryje się pustka.

— Tak, to lęk przed zakochaniem. No, ale może mnie pan odprowadzić — rzuciła łaskawie. — Tylko do przystanku przed „Centralem".

Podał jej w szatni palto z kołnierzem z norki, nałożył swoją kurtkę z kapturem i wyszli na ulicę.

— Zdaje się — mruknął — że jestem nie do pary. Pasujesz do faceta z różą w butonierce.

— Już go widzę. Szary kapelusz, szary garnitur, niebieski krawat w groszki, rękawiczki z kremowej skóry...

— Masz wyobraźnię.

— No, spotkanego dzisiaj przez ciebie gościa mogłabym sobie wyobrazić. Znałam takiego, co bez świadków porąbał siekierą żonę.

— Żałuję, że ci o tym powiedziałem.

— Daj spokój! Kiedy chory psychicznie pije, można uznać, że jego defekty pogłębiają się bez udziału świadomości. Zresztą, nie psujmy sobie nastroju. Już o tym zapomniałam...

Zatrzymali się na przystanku. Madej miał dziwne wrażenie, że ona niczego nie zapomniała. Ale z pewnością chciałaby zapomnieć.

— Mieszkasz sama? — zaryzykował.

— Z ciotką. Jest działaczką służby kościelnej na Widzewie.

— Może więc wstąpisz do mnie?

— Dobrze — odparła bez wahania. — Tylko nie obiecuj sobie, że zostanę na noc.

Pocałunek w przedpokoju, herbata, wódka i żadnych komplikacji. Po drugim kieliszku pomyślał jednak, że wkrótce zacznie się wzruszające przedstawienie. A nie ma nic smutniejszego niż kobieta, co czepia się na siłę. Ale ona nie należała do tego typu artystek. Wiedziała za to, jak zaspokoić mężczyznę, który na dłuższy czas wypadł z obiegu. Dwa razy lądował na niebiańskiej polanie, najpierw, gdy zrzuciła koszulkę i zobaczył jej ciało, i potem, gdy to ciało niczego nie udawało, wchłaniając go łakomie w siebie, z góry i od spodu. I tak wyssała z niego ten żar, że pozostało tylko uczucie bezsiły i wyczerpania.

Zapalił papierosa i włożył jej w usta.

— Lepiej? — zapytała.

— Świetnie. Kto cię tego nauczył, hę?

— Byłam wrażliwym i pojętnym dzieckiem. Podglądałam tatę z mamą.

Zanim to skomentował, wzięła torebkę i zatrzasnęła się w łazience. Potem, kiedy zaczęła się ubierać, Madej łyknął prosto z butelki.

— Co ci jest?

— Kiedy wciągasz pończochy, skacze mi ciśnienie.

— Prawdziwy duchowy hermafrodyta...

— To twoja zasługa. Rozwiałaś moje smutki.

— Żebyś się poczuł jeszcze lepiej, posprzątam za ciebie — powiedziała i zaniosła do zlewu naczynia i sztućce. Skończywszy mycie, oświadczyła:

— Podziękuj i odprowadź mnie, wesołku.

— Słuchaj, byłaś tylko godzinę... To strasznie dużo i mało. Chciałbym cię jeszcze kiedyś zobaczyć.

— O Boże! Żeby tak kłamać, trzeba mieć naprawdę dobre samopoczucie.

Zanim jednak wsiadła do jadącej na Widzew dziesiątki, powiedziała z powagą:

— Wiesz, nie chcę tego przedłużać. Bo potem mógłbyś mnie szybko zapomnieć. A najcięższą rzeczą dla kobiety jest żyć w zapomnieniu, bez czułości. Ale nie martw się, znam twój adres! — krzyknęła wsiadając do tramwaju.

Madej stał na przystanku, dopóki tramwaj nie zniknął w brudnej mgle nasyconej trupim światłem lamp sodowych. Potem ruszył w stronę domu. Idąc myślał górnie i chmurnie, że kiedy człowiek jest szczęśliwy, życie nabiera sensu i nie chce się umierać.

— I właśnie wtedy — rzekł półgłosem — zaczynamy się dopiero bać śmierci...

Czekała na parkingu. W czarnej, nieprzeniknionej mgle zapłonęły nagle pomarańczowe koła i pękły z hukiem, rozbryzgując się w głowie gorącymi, oślepiającymi iskrami...

8.

W ustach pozostał przykry smak, kurtka cuchnęła jeszcze chloroformem. Woń igliwia i chłód świeżego powietrza łagodziły nieco powrót do rzeczywistości. Ale gdy poruszył się, ból szarpnął ostro i rozlał się po całym ciele. Przed oczyma zawrzał płomień oślepiając i tamując oddech, napełniając huczeniem głowę. Czuł, że zapada w pustkę, jednakże przeszywająca dreszczem wilgoć powlekała i ściskała zlane potem czoło, dzięki czemu nie tracił świadomości. W górze połyskiwała połać nieba, jak czarna łąka zasypana srebrnymi cekinami, noc chrzęściła mrozem, a ziemia spała pod warstwą stwardniałego śniegu. Wokół stały kosmate czuby sosen, gdzieś w gąszczach lękliwie kwoktały kuropatwy.

Wezbrana w sercu złość i wstyd jakby dodały mu energii. Wstał, strząsnął z ubrania przymarznięte grudki, nabrał w garść śniegu i przyłożył do pulsującej bólem głowy. W prześwicie między sosnami rozlewała się na horyzoncie łuna. Ale nie był to świt. W niebie odbijały się światła miasta. Łuna świeciła na północy, a więc był chyba w Rudzie Pabianickiej. Tak, trzeba iść na zachód... He, he, szli na zachód osadnicy... Owszem, kontuzjowani też, ale żadnemu nie rozbito łba na parkingu...

Przedarłszy się przez zarośla dojrzał światła latarni na Letniskowej. A na zegarku za kwadrans czwarta. Ponad pięć godzin poza domem. No i gliniarz spod znaku „Znachora" także doznaje amnezji... Jasne, powinien był to zrobić zaraz po odzyskaniu przytomności. Przeszukał kieszenie. Legitymacja, prawo jazdy, kluczyk do auta, pieniądze, klucze do mieszkania. Dzięki Bogu, tylko co to ma znaczyć, u licha?

Znajdował się niemal na wprost ulicy Raduńskiej. Doszedł nią do Rudzkiej i zamiast czekać na tramwaj, złapał wracającą od Skrajnej taksówkę. O pół do piątej był już w domu, gdzie powitał go widok niedbale zaścielonego tapczanu. Jedna miła godzina, a potem pięć godzin pustki, aby mógł zapomnieć o tej pierwszej.

— Taa, ze szczęściem jak z kobietą, trzeba go pragnąć. Kobieta odchodzi, a za nią szczęście, i pozostaje rozbity łeb. Niewielki guz, lekkie rozcięcie — gadał do lustra wyginając szyję niby gąsior w zalotach. — Chyba zgrabnie owinięta rurka... Ale skoro wszystko takie jasne jak fusy, to coś tu nie w porządku...

Raptem mina mu zrzedła. Wiedziony zawodowym instynktem pozaglądał we wszystkie kąty, starając się niczego nie dotykać. Na koniec wszedł do małego pokoiku. Odemknął dolne drzwiczki szafy, podniósł dyktę w podwójnym dnie i puścił, aż strzeliła w rant wspornika.

Medyk albo wrażliwy literat powiedziałby, że Madejowi sparaliżowało wszystkie mięśnie. Jednakże o wiele ładniej nazywa się to stanąć jak słup soli.

Wbrew legendom i prawom fizyki Słup Soli poruszył się po minucie. Zapalił papierosa, usiadł i podniósł słuchawkę telefonu.

C.D.N.

Podatki w trudnym 1990 roku.

Skończyły się dotacje, preferencje i ulgi

Rozmowa z wicedyrektorem Izby Skarbowej w Łodzi — LECHEM MALĄGIEM.

Rok 1990 będzie przełomowy dla każdej dziedziny naszej gospodarki. Co do tego jesteśmy przekonani wszyscy, choć zdajemy sobie sprawę, że kuracja wstrząsowa, jaką zaaplikowano nam w wyniku wprowadzenia w życie programu wicepremiera Leszka Balcerowicza, nie dość że dla wielu jest kompletnym szokiem to trafiła dodatkowo na „nie przygotowany" grunt. Sejm pracuje w pocie czoła, jednak efekty rewolucyjnych rynkowych przemian docierają do Kowalskiego na razie wyłącznie w postaci ostrego skoku cen wszystkich praktycznie wyrobów. I inne sprawy, co jest zrozumiałe — zeszły nieco na plan dalszy. A przecież upływające szybko tygodnie obecnego roku będą przełomowe także w dziedzinie, która do tej pory jakby większości z nas nie interesowała. Obecnie musi nas zainteresować, bowiem podatki, a o nich tu mowa będziemy płacić wszyscy. Czy już się trzeba zacząć bać, w jakiej wysokości będą te podatki, kto i kiedy zacznie nam je „ściągać" — to tylko niektóre z pytań, z jakimi zjawiłem się u wicedyrektora Izby Skarbowej w Łodzi — LECHA MALĄGA.

— Wszystkie tegoroczne rewolucyjne „przemiany" podatkowe odbywają się na żywym organizmie, tempo zaś, sądząc z dotychczasowego, zapowiada się oszałamiające.

— Zaraz, zaraz, to stwierdzenia mocno na wyrost: gruntowna przebudowa prawa podatkowego faktycznie musi nastąpić w trakcie 1990 roku, ale dotychczasowe działania, konieczne, jako że luk w prawie nie może być żadnych, mają charakter raczej porządkujący. Głównie zależy nam na usystematyzowaniu przepisów pod kątem jednakowych zasad działania różnych sektorów gospodarki.

— No tak, to już znamy, ale zawsze może się zdarzyć, że nowe prawo podatkowe będzie obowiązywać...

— Nie, nie, nic nie może się zdarzyć: będzie obowiązywać od 1 stycznia 1991 roku, na pewno nie wstecz.

— Wierzę, przecież „lex retro non agit". **Ale ponieważ znowelizowano już kilkanaście ustaw z dziedziny podatkowej, zanim więc zaczniemy wszyscy płacić podatek od dochodów osobistych — zaprezentujmy bliżej te aktualne, choćby i kosmetyczne zmiany przepisów.**

— Proszę bardzo choć są to, podkreślam, korekty związane często z procesami inflacyjnymi, których efektem musi być choćby podwyższenie stawek podatkowych, przy pozostawieniu samej zasady w dotychczasowej formie. Inflacja spowodowała, że niezbędne stało się także podwyższenie kwoty wolnej od podatku. Na razie określono ją na 3 miliony 600 tysięcy złotych, czyli sześciokrotny wzrost w stosunku do 1989 roku, a i tak na pewno nie jest to „ostatnie słowo".

— Cóż oznacza to napisane na marginesie hasło „wyższe kary dla nieuczciwych"?

— Oznacza przede wszystkim zaostrzenie sankcyjnego charakteru podatków w przypadku tak zwanego dochodu ze źródeł nieujawnionych. Ale z drugiej strony złagodzono skalę podatku dochodowego w pierwszych przedziałach (to w naszym slangu oznacza tych drobniejszych i małych podatników). Ich się ochrania, zresztą w 1990 roku, co jest pewnym novum, obciążenie całego dochodu brutto nie może przekroczyć 40 procent jego wysokości. W ubiegłym — mogło sięgnąć i połowy dochodów.

— Krytykowane były od dawna za brak realizmu, wręcz śmieszne wielkości, wszelkie ulgi rodzinne...

—Wiem, wiem, i nie wdając się w szczegóły warto podać najważniejszą korektę: aby choć częściowo „uniezależnić" się od zjawisk inflacyjnych wprowadza się, zamiast tak krytykowanych stawek kwotowych, — stawkę procentową. Dokładnie jest to 7,5 procenta kwoty wolnej od podatku, i jak wiadomo dotyczy niepracującego małżonka i pozostającego na utrzymaniu niepełnoletniego dziecka.

— Otrzymaliśmy wiele sygnałów od rzemieślników, których — już pod rządami wielu nowych przepisów — straszy się jeszcze większą niż dotychczas robotą „papierkową". Oczywiście nie da się tego uniknąć?

— Jeszcze nie. Nie chcę tu wyłącznej winy zrzucać na wspominaną wielokrotnie inflację, ale musieliśmy właśnie z tego względu wprowadzić choćby miesięczne, a nie kwartalne jak dotąd zaliczki na poczet podatku dochodowego. Ale proszę pamiętać, że więcej pracy będą teraz miały obie strony, urzędnik, niestety, też

— Niektórzy pocieszają się, że zawaleni robotą pracownicy „finansówki" mniej będą mieli czasu na klasyczne kontrolne wypady.

— Nie, nie, na to bym nie liczył, ludzie będą w terenie normalnie pracować. A wracając do utyskiwań na uciążliwości podatkowe — u nas obywatele nie znają swoich obowiązków. Ale już wkrótce, chyba od 1990 r. pojawią się tak zwane roczne zeznania podatkowe (niczym w krajach zachodnich) a kobiecie handlującej w bramie jajkami czy młodzieńcowi sprzedającemu z torby pastę do zębów przypomni się o obowiązku uiszczenia opłaty targowej.

— Na razie to tylko pobożne życzenia i budżet na te pieniądze musi poczekać, nie widzę bowiem nikogo, kto by te opłaty w bramie miał wyegzekwować. No, ale zobaczymy. Jakie jeszcze czekają nas nowości?

— Choćby taka propozycja, aby w latach 1990—1995 zwolnić z podatku dochodowego kwoty przeznaczone na zakup akcji i obligacji spółek akcyjnych. Ciekawa to propozycja, a także — zalecenie ekspertów Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

— Wielce bulwersująca okazała się wiadomość o podatku wymierzonym na przejściach granicznych.

— Dlaczego bulwersująca? Przecież wszyscy domagali się ukrócenia handlu, który przybrał już gigantyczne rozmiary. Jednostki się bogaciły, a do budżetu nie wpływało nic lub grosze. **A w naszym wspólnym interesie jest, by te często ogromne dewizowe kwoty zostały w kraju, na koncie lub — zostały wydane na zakupy.**

— Samochodziku już chyba nikt nie sprowadzi?

— Myślę, że niewielu. Na przejściu granicznym, oprócz cła, wcale przecież niemałego, wymierzany będzie „podatek od towarów sprowadzanych z zagranicy przez osoby fizyczne", sięgający 20 procent wartości samochodu. W przypadku średniej klasy pojazdu, choćby takiego jak Volkswagen Golf, Opel Kadett czy Ford Escort łączna opłata sięgać będzie 40—45 milionów złotych.

— Rozumiem, choć nie wierzę, by miejsce przedsiębiorczych rodaków sprowadzających kontenerami wódkę, kawę, telewizory czy dżinsowe ciuchy zajęły prężnie działające przedsiębiorstwa państwowe czy nawet spółki. No, może wzrosną tylko obroty w składach konsygnacyjnych.

— Przedsiębiorczy — wygrają, choć godzi się w tym miejscu dodać, że wprowadzony zostanie również podatek obrotowy w tak zwanym eksporcie wewnętrznym, czyli w placówkach sprzedających towary za waluty wymienialne. Cóż, czasy podatkowej hossy definitywnie się skończyły.

— Jakże ma rozwijać się drobny przemysł i rzemiosło skoro zniesiono wszelkie ulgi, między innymi inwestycyjne?

— Wycofano się z nich we wszystkich sektorach, w wielu wypadkach były wygodną przykrywką dla sprytnych producentów. Znamy przypadki ulg proeksportowych czy antyimportowych, których przedsiębiorstwo otrzymać nie powinno, bo mu się po prostu nie należały, znamy przypadki nabywania za pół ceny komfortowych samochodów. Ja nie mam nic przeciwko rzemieślnikowi, którego stać na „Mercedesa", ale niechże nie „wyciska" ze mnie połowy ceny.

— Ale krzywdzi to wielu uczciwych.

— Zaraz, zaraz, jeszcze nie skończyłem. Bo powiedzmy wyraźnie: mimo braku ulg inwestycyjnych, od podatku dochodowego będą odliczane odpowiednie części poniesionych wydatków na maszyny i urządzenia biorące udział w produkcji. Ta forma ulgi może sięgać od 20 do 40 procent poniesionych wydatków. Utrzymane zostaną również zwolnienia podatkowe nowo otwartych firm, ale tylko w preferowanych działach gospodarki. Jest to między innymi produkcja materiałów na potrzeby budownictwa, część działalności spożywczej, przetwórstwo spożywczo-rolne, produkcja leków...

— Nowością są także szczegóły z ustawy o opłacie skarbowej. „Szczegóły" — to radykalnie podwyższone stawki!

— No, tu chyba nie ma żadnych głosów krytycznych! Na całym świecie administracja utrzymuje się z różnego typu opłat, a u nas stawki były wręcz bzdurne, jakieś 100 czy 200 złotych płatne znaczkami. Polska administracja nie chce — i nie może — być dłużej dotowana, niechże interesant płaci za obsługę.

— Wierzę, że teraz radykalnie „skoczy" też jakość świadczonych przez te urzędy usług.

— Ja też. I jeszcze dwa słowa. Podniesiono górne granice stawek i zmodyfikowano zasady obliczania od niektórych umów, na przykład zamiany. Ta ostatnia była zresztą źródłem licznych transakcji, które nas wręcz ośmieszały.

— Zamiast sprzedaży czy kupna wszyscy się zamieniali?

— To nie tylko to. Deklarowano nam na przykład zamianę domu czy samochodu na bony PKO, traktując bony jak rzecz, jako towar. A to przecież legalny środek płatniczy i co do tego zmodyfikowana ustawa nie pozostawia wątpliwości.

— Zmodyfikowano także przepisy dotyczące podatku od spadków i darowizn.

— Tak, generalnie zmiany polegają na podwyższeniu kwot wolnych od podatku (na przykład wśród najbliższej rodziny bez podatku można już podarować 5 milionów, gdy jeszcze w 1989 roku tylko 1.650 tysięcy złotych) lub realnym złagodzeniu tych podatków.

— Ale prawdziwą burzę wywołały, przedstawiane również w Sejmie, sugestie ostrego skoku w podatkach od nieruchomości...

— To prawda i wyjaśnijmy krótko sytuację na dziś. Absolutnie wszystkich sektorów gospodarki dotyczą teraz takie same zasady: przede wszystkim bierze się pod uwagę powierzchnię użytkową. Maksymalna stawka za 1 metr kwadratowy budynku przeznaczonego na działalność gospodarczą wynosić ma 15 tysięcy złotych, ale — uwaga — minister finansów w formie swego rozporządzenia określi dopiero, kiedy to nastąpi, bowiem w 1990 roku nie sądzę, aby stawka była wyższa niż 5—6 tysięcy za metr. I jeszcze dwa słowa: w budowlach (to określenie przyjmuje się dla dużych przemysłowych obiektów) stawkę określono na 2 procent wartości budowli, a w przypadku budynków mieszkalnych właściciel płaci 0,1 procent ich wartości.

— Zapowiedziano też prawdziwą rewolucję w nowych przepisach egzekucyjnych.

— Bo tak jest w istocie. Dotychczas przepisy oszczędzały sektor państwowy, teraz ten „parasol" zniknął. Kto nie będzie płacił podatków, musi liczyć się z dokonaniem zabezpieczenia na majątku, a także licytacją maszyn, samochodów, surowców. Nie opłaci się być dłużnikiem, za każdy dzień zwłoki odsetki wynoszą 2,3 procent kwoty zaległości.

— Dla wielu czasy wolnego rynku to jakby czas „wolnej amerykanki".

— Z pewnością nie tak, choć — powtarzam skończyły się czasy dotacji, preferencji, ulg i podatkowej hossy.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

ze str. 1

siana (w tym roku 1 kwintal kosztował 40.000 zł). Dodając to wszystko otrzymamy — chłopy, uważajcie czy dobrze dodałem! — 8.400 złotych. A więc dziennie taki opas kosztuje mnie 8.400 zł i za te pieniądze musi on przyrosnąć 1 kg żywej wagi. Musi, ale różnie to bywa. Teraz wiozę go na ten tu punkt skupu i otrzymuję za każdy kilogram po 2.700 zł. Teraz pan rozumie? Tracę na jednym kilogramie 5.700 zł! Dlatego nie podoba się nam, że cena wołowiny jest na skupie tak niska.

— A żywiec opłaca się przywozić? — pytam.

— Nie, ale przywozimy. Ja za prosię na rynku muszę zapłacić 175 tys. złotych, choć mówią, że ostatnio chciano już i dwieście tysięcy. No więc kupuję takie prosię, hoduję je pół roku, by osiągnęło przepisową wagę 120 kilogramów. A w tym czasie zjedzono tonę ziemniaków za 450 tysięcy, 5 kwintali zboża za 255 tysięcy (wszystko po starych cenach), a do tego dochodzi jeszcze moja praca, energia elektryczna, węgiel...

Do rozmowy włącza się **Zdzisław Stasiak** ze wsi **Kołoszyn**, potem **Stefan Szabela z Krzemieniewa**, potem mówią już wszyscy. Ledwo nadążam z notowaniem, a tu zimno jak diabli, grabieją na wietrze palce, tusz gęstnieje w długopisie i przestaje wypływać. Więc chucham i notuję.

— Jakieś trzy lata temu rozrzutnik kosztował mnie cztery opasy, dziś gdybym chciał go kupić, musiałbym odsprzedać 12 takich opasów.

— Relacja pomiędzy środkami produkcji a produktami jest nadal niekorzystna dla rolnika.

— Wie pan ile teraz kosztuje kwintal superfosfatu? 150 tysięcy. A superfosfat pylisty — 44 tysiące, sól potasowa 20.800, mocznik 70 tysięcy, mieszanka „B" 57 tysięcy...

— To są ceny grudniowe, od stycznia są już wyższe.

— Jakie? — pytam, usiłując zanotować każdą cyfrę.

— Jeszcze nie wiemy, ale widzi pan? Właśnie zwożą do magazynu.

— W Warszawie ciągle myślą, że chłop jest głupi i można go skubać do woli. Już przed wojną chłop umiał czytać, a teraz to nie tylko dobrze czyta, ale i dobrze rachuje.

— Przez czterdzieści lat darli z nas skórę komuniści, a teraz — niby ten nasz rząd — robi jeszcze gorzej.

— Chłop jest cierpliwy do czasu.

— Głosowałeś na ten rząd!

— Głosowałem i co z tego? Oszukano mnie.

— Nie ciebie jednego.

— Jak ten rząd będzie tak dalej rządził, to niech na nas nie liczy.

— Panowie — mówię — po ile więc GS winien płacić wam za kilogram żywca?

Podnosi się gwar, ludzie przekrzykują się, padają różne sumy. W końcu staje na 10 tysiącach. To na dziś, a ile zażądają jutro? Przecież chłopa biją ze wszystkich stron: rosną podatki, rosną ceny pasz, maszyn, a teraz doszło 40 proc. od kredytów. Rolnik **Roman Tomaszewski z Krzemieniewa** w 1989 roku wziął kredyt na budownictwo mieszkaniowe. Ledwo rozpoczął wznosić fundamenty, już stanął u progu bankructwa. Przez to oprocentowanie. Co więc robi Roman Tomaszewski? Aby spłacić ratę kredytu oraz oprocentowanie pozbywa się bydła i trzody chlewnej. Nie może rozwinąć hodowli, choć przecież w tym właśnie celu brał pieniądze z banku. Jeśli dołożyć do tego materiały budowlane, pracę robotników, to na dobrą sprawę **Roman Tomaszewski** wyszedł na kredycie jak Zabłocki na mydle.

Pani kierownik filii Gminnej Spółdzielni w Dalikowie — Elżbieta Redel także widzi wszystko w barwach przyciemnionych. Od września 1989 roku ich punkt skupu żywca jest czynny raz w tygodniu, bo nie ma co skupować. W styczniu 1990 r. (punkt przyjmuje trzodę i żywiec w poniedziałki, a poniedziałek przypadł akurat na Nowy Rok) uruchomiono punkt awaryjnie w środę. Rezultat — jedna sztuka bydła i sześć sztuk świń. W dniu, kiedy byłem **w Dalikowie**, kupiono 22 świnie i 9 sztuk bydła. Sporo rolników przyjechało po to, by zorientować się, po ile płaci GS. Dla nich oferowane ceny są za niskie, wolą poczekać. — Za tydzień — mówią — dostaną dwa razy tyle. Pani kierownik twierdzi, że przynajmniej teraz nie ma szans na podniesienie ceny. Mniej żywca, to mniej mięsa i wędlin. A jak będzie jutro?

— Wie pan — mówi kierownik — rolnicy o tyle mają rację, że środki do produkcji drożeją z dnia na dzień. Dziś przywieźli paszę „PW". Wczoraj kwintal tej paszy kosztował jeszcze 52.200 zł., dziś już 95.400.

Drugim punktem skupu, do którego dotarłem, był punkt w **Wartkowicach**. Tu ruch był większy, ale kierownik nie był zadowolony.

— Dużo pan kupił? — pytam.

— Niewiele. W ogóle rok zaczął się skromnie: w ubiegłym tygodniu mieliśmy zaledwie 41 świń i 8 sztuk bydła, a dziś są 64 świnie i 13 sztuk bydła.

— A ile powinno być?

— Jeszcze w grudniu miałem tu tłok jak na perskim rynku. Furmanki nie mieściły się na placu. Kupiłem wtedy ponad 200 świń i prawie 40 sztuk bydła.

— Ile pan płaci rolnikom?

— Tyle co i w Dalikowie, lecz tu w grę wchodzi co innego. Wartkowice znajdują się tuż przy granicy dwóch województw: konińskiego (odległość zaledwie 4,5 km) oraz płockiego (4 km). Rolnik przyjeżdża do nas i pyta, ile płacimy, a potem mówi: „Nie dla mnie, w płockim dają o 50 złotych więcej". I odjeżdża.

— Dla kogo pan kupuje? — pytam.

— Dla Okręgowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w Łodzi. Jak u mnie nie ma żywca, to w łódzkich sklepach nie ma wędlin i mięsa.

W Wartkowicach jest jedna z najstarszych mleczarni, wybudowana jeszcze w 1912 roku. Mimo remontów i modernizacji pozostaje nadal zakładem, który nie może się rozwinąć tak, jak pragnie jego wiceprezes **Marian Pęśko** (prezes niedawno zmarł), który w „mleczarstwie" pracuje już 33 lata, a więc mleczarstwo ma w jednym palcu. Byłem ciekaw, czy mleczarstwo przeżywa te same kłopoty jak przetwórstwo.

Teraz mleczarnia płaci rolnikom 400 złotych za litr mleka, kupując 81 tysięcy litrów dziennie. Ale rolnicy nie są zadowoleni, bo krowa coraz drożej je. Rozważa się przeto możliwość podniesienia ceny do tysiąca złotych. A więc i cena wyrobów mleczarskich pójdzie w górę. Jednocześnie jakby zmienił się gust konsumentów: jeszcze w 1989 roku produkowano **w Wartkowicach** 3 tony twarogu tłustego dziennie. Dziś nikt tego twarogu nie chce zamawiać i handel tłumaczy się, że ludzie o to nie pytają w sklepach. Teraz wszyscy żądają twarogu chudego (250 zł za 1 kg). A Łódź w ogóle nie bierze nic: ani masła, ani twarogu, ani śmietany. Jeszcze nie tak dawno — mówi prezes Marian Pęśko — przyjeżdżali do nas z Łodzi z **Łódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej** i nawet stawiali koniak, byleby im tylko co nieco sprzedać.

— Mleko jednak biorą.

— Mleko wszyscy chcą chude, tłustego nikt.

— Dlaczego tak się dzieje? — pytam.

— Bo do mleka chudego i chudego twarogu — mówi prezes **Marian Pęśko** — Izba Skarbowa daje dotacje. Dlatego ceny tych produktów na rynku są dość niskie. Do pozostałych artykułów brak dotacji, ale i brak na nie też zbytu.

— Panie prezesie, w sklepie spożywczym w Wartkowicach kostka masła kosztuje 3.000 złotych, w Łodzi 2.200, a przed „Centralem" można kupić taką samą kostkę za 1.800 złotych. A ile kosztuje masło u pana?

— 2.700. Dziennie produkujemy go dwie tony i na miejscu sprzedajemy około 350 kg.

— Co z resztą?

— Właśnie tu zaczyna się problem. Nasze masło wozimy po całej Polsce: w Katowickie, Gdańskie, Kieleckie, Białostockie. Sprzedajemy z samochodów. Takie wożenie to poważne koszty. Nie zawsze zresztą nam się to udaje. Oto w radiu usłyszeliśmy informację, że w Białostockiem nie ma masła. Więc natychmiast wysłaliśmy tam nasz samochód. I co? Masła tam jest pod dostatkiem, naszego nie chcieli nawet za 1.800 za kostkę. Więc samochód wrócił. A przecież termin spożycia naszego masła wynosi siedem dni.

— To niech pan obniży cenę.

— Nie mogę. Cena nie zależy ode mnie.

— Od kogo?

— Jeśli zapłacimy rolnikowi po 1.000 złotych za litr, cena masła nie tylko nie obniży się, ale nawet wzrośnie. Powstanie paradoksalna sytuacja: masła będzie w nadmiarze, będzie zalegać w magazynach, jeleczeć, psuć się, a ceny nie można będzie obniżyć, bo nie da się obniżyć kosztów skupu mleka, transportu, produkcji. Już dziś chłopi mi mówią, że za taką cenę, jaką im płacimy za mleko, to im się nie opłaca nawet podłączać do krowy elektrycznej dojarki.

— Jakie więc jest wyjście?

— Nie wiem. Przeraża mnie jeszcze co innego: nastanie lato, a więc skup mleka znacznie się zwiększy, a tym samym zwiększy się produkcja naszej mleczarni. Co wtedy? Wszyscy żądają od nas białka, nikt nie chce brać tłuszczu.

— Naprawdę nic pan nie może zrobić?

— Owszem, mogę. Opierając się na naszym statucie możemy dokonać zdecydowanego posunięcia, to znaczy zaprzestać kupować mleko od rolników nie zrzeszonych w naszej spółdzielni. Statut nam na to pozwala. Można też dokonać jeszcze innej operacji: zwolnić połowę zatrudnionych w naszej mleczarni.

— Sądzi pan, że tak będzie najlepiej?

— Nie wiem, jedno mogę wszakże stwierdzić: w mleczarstwie dojrzewa kryzys. Teraz już nie martwimy się o produkcję, sen nam z powiek spędza co innego: gdzie mamy sprzedać swoje wyroby? Mleko i jego przetwory są ważnymi produktami, niezbędnymi na naszych stołach, koniecznymi w naszych jadłospisach, z drugiej strony są to produkty nietrwałe, wymagające szybkiej konsumpcji. My te produkty jesteśmy gotowi dostarczyć w każdej ilości do każdego zakątka kraju. A tu mur: handel nie chce ich brać. Błędne koło. Żeby jeszcze nasz rynek rozregulować do reszty, zaczęto sprowadzać z zagranicy masło solone...

Długo, bardzo długo byłem w Wartkowicach. Zaprawdę powiadam wam, że to, co dzieje się z naszą gospodarką (ot, choćby powyższe przykłady) nie napawa optymizmem. Skóra cierpnie, jak pomyślę, ile jutro zapłacę za kilogram chleba, za kostkę masła i za 20 dkg pasztetowej.

EUGENIUSZ IWANICKI

Błędne koło cenowe

„Odgłosy" proponują:

TV

„ZAKAZANE PIOSENKI" Leonarda Buczkowskiego — film powstały w 1946 r., doskonale znany, lecz w okrojonej przez cenzurę wersji. Po 43 latach będziemy mieli okazję obejrzeć film w jego pierwotnym kształcie. Przypomnijmy, że scenariusz napisali **Ludwik Starski i Karol Chodura. (Środa, 17 stycznia, godz. 20.05 TV I.)**

„MIŁOŚĆ i SMIERĆ", kolejna pozycja z dorobku **Woody Allena** — podobnie jak poprzednia — pełna zabawnych zdarzeń. Tym razem jest to parodia **„Wojny i pokoju" Lwa Tołstoja.** Akcja rozgrywa się w Rosji, w czasie wojen napoleońskich. Sprawne dialogi, znakomite aktorstwo, pełna nieprawdopodobnych zdarzeń akcja, no i oczywiście zaskakująca fabuła, to główne zalety filmu, którego nie oglądaliśmy do tej pory. **(Piątek, 19 stycznia, godz. 21.45 TV — 2.).**

„DEKALOG, SIEDEM". Tym razem **Krzysztof Kieślowski** opowiada historię młodej dziewczyny samotnie wychowującej swoją sześcioletnią córeczkę. Jednak radość macierzyństwa zakłóca babcia dziecka. Jej „władcza postawa", autokratyczny sposób bycia i polecenia wydawane jak rozkazy nie umilają na co dzień wspólnego życia... **(Niedziela, 21 stycznia, godz. 20.05 TV 1).**

„BIBLIA, A HISTORIA" — to nowy, angielski serial dokumentalny, na który pragniemy zwrócić uwagę. Wyświetlany będzie w cyklu **„Podróże w czasie i przestrzeni".** Jako słowo Boże stanowi Biblia największą świętość dla wyznawców monoteizmu żydowskiego i chrześcijańskiego; jako tekst literacki, posługujący się różnorodnymi rodzajami (pieśnią, hymnem, psalmem, mitem, bajką, anegdotą, kazaniem, biografią, sentencją, zagadką...), była i jest natchnieniem dla pisarzy, poetów, kompozytorów, malarzy". W nowym, siedmioodcinkowym serialu prowadzonym przez **Johna Romera** — pisarza, historyka, archeologa i filmowca — Biblia pokazana jest przede wszystkim jako dzieło historyczne. Z pomocą w wyjaśnieniu tak postawionej tezy przychodzą autorowi nie tylko odkrycia archeologiczne, ale i fakty historyczne zawarte głównie w Pięcioksięgu. W dosyć przewrotny sposób autor udowadnia widzowi tę swoją tezę. Stara się nie tylko tłumaczyć Biblię, ale i kontynuować przemyślenia jej autorów. Prowadzi nas po miejscach tam opisanych, pokazuje dawny Babilon, Teby, Jerozolimę, Antiochię, Konstantynopol, Rzym... Wszędzie szuka historycznych śladów. **(Niedziela, 21 stycznia, godz. 15.00 TV 2).**

„MARLON BRANDO — DZIKI" — to włoski film dokumentalny, który obejrzymy w cyklu **„Biografie".** Powiada się o nim: Największy buntownik w historii Hollywood, najlepiej płatny aktor na świecie, najbardziej kapryśny we współpracy gwiazdor, najbardziej ekscentryczna i kontrowersyjna postać współczesnego kina! **(Niedziela, 21 stycznia, godz. 16.10 TV 2).**

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

18 stycznia 1990 r. — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

25 stycznia 1990 r. — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE!

TEMATY NA DYŻUR RED. D. DOROŻYŃSKIEGO

1. Funkcjonowanie komunikacji miejskiej Łodzi
2. Problemy motoryzacji dziś
3. Anomalia nowego „ładu gospodarczego"
4. Wszelkie inne sprawy — byle ciekawe, nietypowe, bulwersujące tak zwaną opinię...

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 11 STYCZNIA 1990 R.

Jak należało się spodziewać, zdania, co do amnestii, pracy MO i bezpieczeństwa były podzielone. Większość rozmówców m. in. pan **Kazimierz Wieczorek**, pan **J.M.** oraz pani **H.G.** (dane personalne do wiad. red.) uważają amnestię za wielkie zło **(„Amnestia — najgłupsza rzecz, jaką można było wymyślić", „Nie powinno jej być wcale, wyroki dawać sprawiedliwe i każdy niech swoje odsiedzi", „Za pierwszy mord dawać karę śmierci w zawieszeniu, za drugi — od razu na szubienicę").** Inni natomiast uważają, że amnestia winna obejmować tylko przestępców gospodarczych, a nie kryminalistów. W ogóle na ulicach Łodzi nikt nie czuje się bezpieczny, szczególnie wieczorami, tym bardziej, kiedy tylu przestępców zwolniono z więzień. Milicji jest dużo, ale w komendach, a powinni być na ulicach. Za co ci ludzie biorą pieniądze? Jeśli się telefonuje pod 997, to odsyłają do właściwych komend, a ci z komend wcale na wezwania nie przyjeżdżają.

Były także telefony tzw. interwencyjne. Niektóre zgłaszane sprawy załatwiłem „od ręki", o innych pokrótce. Pan **Kazimierz Wieczorek** krytycznie ocenia jakość zdjęć w „Odgłosach". Ma rację, ale wina leży poza redakcją. Wspomniany wyżej pan **J.M.** proponuje, by wzorem lat 50. pobudzić u młodzieży zapał do pracy na rzecz Ojczyzny (jako przykład przytacza studenckie brygady żniwne). Postuluje, abyśmy szerzej upowszechniali tę tematykę. Natomiast pan **Jan Woźniak** z ulicy Pabianickiej 212 prosi za naszym pośrednictwem, by kompetentne przedsiębiorstwo zamknęło właz na chodniku (otwarty od paru tygodni), bo tylko patrzeć, jak wpadnie doń dziecko.

EUGENIUSZ IWANICKI

Fot. Grzegorz Gałasiński

W ubiegły piątek (12.01.1990 r.) przed dawniejszą siedzibą łódzkich gazet manifestowała Konfederacja Polski Niepodległej. Hasłem przewodnim było uspołecznienie prasy łódzkiej.

Klania się Onufry Zagłoba

Swego czasu modne były dowcipy o **Czukczach.** Oto jeden z nich. W Moskwie pod murem kremlowskim siedzi stary Czukcza i narzeka: — *Płochoj był car, oj, płochoj!*

— *Dlaczego narzekasz na cara* — pyta przechodzień — *gdy jego już dawno nie ma. Zabili.*

— *Płochoj był nasz car batiuszka, oj płochoj* — dalej narzeka stary Czukcza.

— *Dlaczego płochoj?* — pyta zniecierpliwiony przechodzień.

— *Alasku prodał, a Czukotki nie!*

Teraz na podobny pomysł wpadł wybitny szachista Garii Kasparow. Zaproponował w wywiadzie dla „Playboya", aby ZSRR sprzedała Chinom... Mongolię.

Zrobiła się awantura „na 102 fajerki". Rzecznik MSZ Gienadij Gierasimow musiał dementować, że to tylko „fantastyczny pomysł" wybitnego szachisty, a nie oficjalne stanowisko ZSRR. Sypią się też protesty od Mongołów. Zakłady przemysłowe w ZSRR eksportujące do Mongolii odcinają się w rezolucjach od „fantastycznego pomysłu" Garii Kasparowa. Rząd Mongolii domaga się, aby szachista przeprosił naród Mongolii publicznie, jak go znieważył. W Mongolii odbywają się zebrania, na których podejmuje się rezolucje potępiające pomysł radzieckiego szachisty. Oto skutki tego, gdy do polityki biorą się ludzie zupełnie do tego nieprzygotowani.

W Polsce mamy bogate tego tradycje. Już Onufry Zagłoba kupczył... Inflantami. Ale na szczęście wymyślił to tylko Henryk Sienkiewicz i opisał w „Trylogii". W życiu — niestety — niewydarzeni politycy też się zdarzają. Czasem nim się coś powie, warto... pomyśleć o skutkach tego.

ZENEK P.

Relacje — Rewelacje

— Apartament 2-osobowy w Hotelu Orbis „GRAND" (1 doba): goście z „KK" — 1.635.000 — zł; goście krajowi: 70.000 — zł.

Bilet MPK: Łódź-Ozorków 600 zł. Bilet PKP na tej samej trasie 1120 — zł, PKS — 2000 — zł (posp.).

— Karta wstępu na dancing: Hotel „Centrum" — 8.000 — zł; restauracja „Savoy" — 3000 — zł.

— TV kolorowy „Helios": 4.283.000. — zł.

— Wypożyczenie magnetowidu: 15—20 tys.

— Maszyna do pisania 554.000. — zł.

— Segment meblowy „Capri" (imp. Jugosławia): 10.5 mln. zł.

— Bilet lotniczy Warszawa — Gdańsk: 50 tys. zł.

— Wynajęcie samolotu (Dedal Sp. z o.o.): 1 godz. — 300 tys. (3 osoby)

— Taksówka: Łódź — 140 x licznik, Katowice — 100 x licznik.

— Wynajęcie samochodu (MAX): 55—65 tys. (doba) plus 150 zł za km (bez kosztów paliwa).

— Buty sportowe (imp. z USA) 189 tys. zł

— Polędwica sopocka — 1 kg 49.750.—

— Szynka konserwowa — 1 kg 61.850. zł

— 1 USD: 9.5—9.7 tys.

— 1 lir włoski w skupie (kantor w Hotelu „Centrum") — 4 zł.

— „Odgłosy" — tygodnik 1 egz. — 500 zł, ok. 5 centów.

(Ceny z 12.01.1990 r.).

KRONIKA TOWARZYSKA

— Do Prokuratury Wojewódzkiej wpłynęła skarga **Mariana Miszalskiego** — dziennikarza usuniętego w 1982 roku z pracy w „Głosie Robotniczym", na **Andrzeja Hampla** — redaktora naczelnego tej gazety, który przywrócenie red. M.M. do pracy w „Głosie..." warunkuje zaakceptowaniem linii programowej gazety partyjnej.

— Za jabłka wyeksportowane przez **Wojciecha Marzyńskiego** na Litwę strona radziecka zapłaciła mu dwudziestoma rzędami do konnej jazdy. Następne rzędy — 30 sztuk, są w drodze do Łodzi.

— **Bernard Marqueritt** — znany w Polsce francuski dziennikarz zrealizował dla telewizji francuskiej krótkometrażowy film o Łodzi.

— Pozorując działania oszczędnościowe **Zarząd Łódzkiego Klubu Jeździeckiego** uniemożliwił **Stefanowi Türschmidowi** uprawianie jeździectwa za to, że reporterom Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego pokazał bałagan w klubie i działa na rzecz jego zreformowania.

— **Łódź** nie tylko nie straciła, ale zarobiła na niedawnej wizycie delegacji z Lyonu z merem miasta na czele. Francuzi całkowicie pokryli koszty swojego pobytu w Łodzi.

JDT

ŁZA SIĘ W OKU KRĘCI

Natalie Iljina przypomniała na łamach „Ogonioka" satyrę radziecką lat pięćdziesiątych, cytując taką proroczą publikację tygodnika „Krokodil":

„Tworząc materialne i duchowe wartości, ludzie sowieccy powinni pamiętać, że świat kapitalistyczny jeszcze istnieje i wściekle walczy o przedłużenie swego istnienia."

Jest to przykład publicystyki serio. A oto przykłady dowcipów politycznych. W amerykańskim mieście rozmawiają dwie kobiety.

„Moje dziecko powiedziało dziś pierwsze słowo", chwali się matka. *„Do kogo?"*, pyta znajoma. *„Do policjanta".*

Satyra na Anglików pod rysunkiem przedstawiającym trzęsących się z chłodu ludzi:

„W Anglii nie ma czym palić, gdyż są podżegacze" (w domyśle: wojenni).

A oto dialog dwóch Francuzów: *„Dlaczego nasz rząd upada tak często?".*

„Naród nie podtrzymuje".

Zatwardziałym betonom dedykujemy jednocześnie hasło „Krokodiła" tamtych lat:

„Humor jest nam potrzebny. Ale jaki? Nasz dobry, pozytywny, sowiecki humor!"

skr.

Recepta

„Sprzedajmy Wolin!", nawołuje w „Polityce" (nr 1/90) czytelnik z Rudy Śląskiej, p. Cezary Bukowski, a dzięki temu za jednym zamachem zlikwidujemy nasze zadłużenie zagraniczne.

Szkoda, że redakcja pozostawiła ów słuszny apel bez komentarza, precedensy przecież już były. W r. 1867 Rosja sprzedała Stanom Zjednoczonym półwysep Alaska uzyskując 7,2 mln ówczesnych dolarów. Za całą wyspę można by pewnie wziąć dwa razy więcej, i to miliardów. A jeszcze lepiej spieniężyć Polskę, od Bugu po Odrę, Polaków zaś przesiedlić na Antarktydę. Wtedy za jednym zamachem pozbylibyśmy się nie tylko długu, ale i niepodległości. I po kłopocie.

(kof)

ORYGINALNOŚĆ

Z ekranów telewizorów codziennie rozlega się zdanie, wypowiadane z ekspresją przez coraz to inne gwiazdy aktorskie: „Jesteśmy znowu w swoim własnym domu!". Pani Zyta Oryszyn, publicystka „Tygodnika Solidarność", przeciwstawiła temu patriotycznemu banałowi oryginalny pogląd: „Państwo polskie jest teraz w trzydziestu pięciu procentach nasze, swojskie i każdy ma być w nim kowalem swojego losu, zwłaszcza niezależny artysta."

Ciekawe jak powstała ta niezależna, procentowa kalkulacja.

(j.d.)

Gomułka wiedział co robi

W głośnej książce Teresy Torańskiej pt. „Oni", wydanej nakładem Agencji Omnipres, (wcześniej ukazała się w londyńskim „Aneksie" i drugoobiegowym „Przedświcie"), doliczyliśmy się 10 ingerencji cenzorskich. Wszystkie bez wyjątku dotyczą wypowiedzi Stefana Staszewskiego, b. I sekretarza Warszawskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR z okresu przełomu październikowego.

Władysław Gomułka wiedział dobrze, co robi, wyrzucając Staszewskiego z partii w r. 1968 na pysk, skoro nawet po latach okazuje się on zajadłym wrogiem ludu i cenzura słusznie postępuje chroniąc lud swymi ingerencjami przed trującym jadem miazmatów Staszewskiego. Wypowiedzi prawdziwych komunistów, sprzyjających ludowi, w rodzaju Jakuba Bermana, przeszły bez zastrzeżeń.

(kof)

Można powiedzieć gentleman

Ośrodek Badania Opinii Publicznej przy Polskim Radiu i Telewizji dokonał pewnych porównań. Ustalono, że wtorkowe sprawozdania z konferencji rzecznika rządu Jerzego Urbana oglądało 30 procent dorosłych Polaków. Relacje z konferencji obecnego rzecznika rządu Małgorzaty Niezabitowskiej ogląda 18 proc. całej telewizyjnej widowni. Natomiast wtorkowe występy telewizyjne ministra Jacka Kuronia ogląda 45 procent dorosłych Polaków, to jest około 13 milionów.

I to byłoby na tyle. Komentarz zbędny. Ale B. Dr. z „Życia Warszawy" uznał komentarz za niezbędny. Różnicę w popularności relacji z konferencji Jerzego Urbana i Małgorzaty Niezabitowskiej upatrzył sobie w tym, że konferencje te *„odbywają się w terminach bliżej nieokreślonych — co drugi lub co trzeci tydzień, najczęściej — w środę, czwartek lub w piątek. Telewidzowie nie zdążyli się widać do nich przyzwyczaić. Wtorek był i jest szczęśliwszy".*

Rozumiem. Bądźmy dobrzy dla pań!

ZENEK P.

Restauracja pod trybuną

Okazało się, że pod honorową trybuną na Placu Defilad w Warszawie znajdują się podziemne pomieszczenia, które były przeznaczone do użytku przez odbierających na trybunie defilady. Ich powierzchnia wynosi 300 metrów kwadratowych i obejmuje salon, łazienki, kuchnię, wyposażona jest w łączność, ogrzewanie i klimatyzację. Podczas defilad prominenci schodzili tam, aby wypocząć, przekąsić i napić się czegoś. Defilady trwały niegdyś po kilka godzin. Dziś pomieszczenia te stoją puste.

Pałac Kultury i Nauki, który nimi dysponuje zaproponował je „Społem". W „Kongresowej" bowiem otwiera się kasyno gry. „Społem" poważnie zastanawia się, czy nie otworzyć restauracji pod... trybuną. Byłby to pomysł.

ZENEK P.

BEZ KOMENTARZA

Ze Szczecina doniosła „Sztandarowi Młodych" Marzenna Głuchowska, że dyrektor Morskiej Stoczni Remontowej w Świnoujściu w związku z dwudziestoleciem stoczni 21 grudnia 1989 roku wniósł formalny wniosek o nadanie tej stoczni imienia... Lecha Wałęsy.

Stanisław Możejko — przewodniczący zakładowej „Solidarności" tak uzasadnia ten wniosek: — *„...powstanie naszej stoczni zbiegło się w czasie z początkiem działalności najsłynniejszego stoczniowca, Lecha Wałęsy.*

...jako stoczniowcy mamy największe w Polsce prawo moralne do przyjęcia w naszej stoczni jego imienia. Prowadziłem w tej sprawie rozmowy z przewodniczącym NSZZ „Solidarność" i nie spodziewam się z jego strony sprzeciwu. O ile uzyskamy aprobatę Lecha Wałęsy, to w MSR odbędzie się uroczyste nadanie imienia, na które oczywiście zaprosimy patrona".

SZPERACZ

Świat w oczach dzieci

1.

Pięcioletnia Asia do ojca:

— Ty' się tak nie kryguj!

— Co to znaczy krygować? — pyta ojciec.

— Nie wiesz?

— Nie wiem.

Asia idzie do półki ze swoimi książkami i przynosi jedną z nich.

— Mama przeczytaj!

Mama czyta: „Dziewczynki krygowały się przed lustrem".

— Widzisz — mówi Asia — jak byś czytał książki dla dzieci, to byś się dużo nauczył.

Idzie do swojej półki z książkami, wybiera kilka, przynosi ojcu i mówi:

— Poczytaj sobie w wolnych chwilach!

2.

Nauczycielka: — Usłyszeliście opowieść o walkach pod starożytną Troją. Kto mi wymieni kilku bohaterów spod Troi?

Kuba: — Ja! Achilles, który miał coś z piętą. Piękna Helena i... ten, no... H e k t a r!

3.

W restauracji (w czasach, gdy niepotrzebny był żyrant przy płaceniu rachunku) przy zamawianiu obiadu.

Mama: — Rosół z domowym makaronem

Ojciec: — Flaki, a ty Kuba co chcesz?

Kuba: — Zupę z włoskami.

Ojciec: — Z czym? Jaką znów zupę z włoskami? Z makaronem?

Kuba: — Nie! Z tymi, co robią się na głowie. No... z k o ł t u n a m i!

4.

Mama opowiada czteroletniemu Szymkowi bajkę, w której występuje jeden bohater „Piękny ale zły" i drugi „Brzydki ale dobry".

Mama: — Którym chciałbyś być, „Pięknym ale złym", czy „Brzydkim ale dobrym"?

Szymek chwilę się zastanawia, po czym mówi wolno, ale dobitnie: — Chciałbym być s z c z u r k i e m.

BMW

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

„KONSTRUKCJA KONFLIKTU"

Zamieszczony w tygodniku „Odgłosy" nr 51 z 17 grudnia 1989 r. materiał autoryzowany przez Marka Koprowskiego, zatytułowany „Konstrukcja konfliktu" zawiera informacje wymagające sprostowania ze względu na zręczne przetasowanie w nim faktów i opinii prawdziwych z nie sprawdzonymi. Przytoczone w nim zostają oceny i opinie Wojciecha Bruszewskiego oraz Ryszarda Waśki dotyczące działalności Muzeum Sztuki w Łodzi oraz postawy jego dyrektora — Ryszarda Stanisławskiego, wobec których zmuszeni jesteśmy zająć stanowisko w imieniu tegoż Muzeum oraz działającego w nim od wczesnej jesieni 1980 roku NSZZ „Solidarność", jako że idea „Solidarności" i jej tradycja została uwikłana w zaprezentowany „konflikt" (o którym dowiadujemy się z artykułu Marka Koprowskiego). Swe utożsamienie z ową ideą Muzeum Sztuki unaocznilo wkrótce po powstaniu NSZZ „Solidarność", prezentując w swych salach pierwszą w Polsce muzealną wystawę fotografii „Gdańsk-Sierpień 1980". Niektóre zaś oceny wypowiadane przez W. Bruszewskiego i R. Waśkę budzą nasze zdziwienie, oburzenie i zmuszają nas do zgłoszenia protestu wobec arbitralności czy wręcz arogancji zaprezentowanych przez ich autorów sądów.

Po pierwsze: Muzeum Sztuki w pełni popieralo działania grupy artystów łódzkich, którzy doprowadzili do zrealizowania wystawy „Konstrukcja w Procesie" w 1981 r.

Po wtóre: Artyści uczestniczący w wystawie „Konstrukcja w Procesie" postanowili przekazać swe prace „Ludziom w Polsce", składając je na ręce NSZZ „Solidarność", której zarząd z kolei — jako ich prawny właściciel — zdecydował o przekazaniu ich w depozyt Muzeum Sztuki. Zaświadczone to zostało dokumentem podpisanym przez członków Zarządu Regionu, datowanym 26.XI. 1981 — a więc przed wprowadzeniem stanu wojennego, nie zaś, jak twierdzi W. Bruszewski, po jego ogłoszeniu. W przywołanym dokumencie znalazło się zastrzeżenie wszelako, iż zmiana lokalizacji owego zbioru dzieł sztuki z „Konstrukcji w Procesie" nastąpić może jedynie za zgodą władz Regionu NSZZ „Solidarność".

Po trzecie: Liczni artyści uczestniczący w wystawie „Konstrukcja w Procesie" i jej organizatorzy na długo przed jej realizacją prezentowani byli na wystawach w Muzeum Sztuki bądź posiadali swe dzieła w jego kolekcji, wśród nich m.in. Antoni Mikołajczyk, François Morellet, Stanislav Kolibal, Roman Opałka, Józef Robakowski, Henryk Stażewski, Guenther Uecker, Keneth Unsworth, Bernar Venet, Ryszard Waśko, Ryszard Winiarski. Wielu spośród nich, w tym organizatorzy wystawy „Konstrukcja w Procesie" oraz rzecznicy obecnie powołanego Stowarzyszenia „Konstrukcja w Procesie" — Wojciech Bruszewski czy Edward Łazikowski, prezentowani byli na wystawach organizowanych przez Muzeum Sztuki w Łodzi za granicą, ich prace nabywane były do kolekcji i prezentowane w stałej ekspozycji muzealnej. Dziwne, iż ochoczo wcześniej korzystający z owych różnorakich form współpracy z Muzeum Sztuki w Łodzi artyści Wojciech Bruszewski i Ryszard Waśko obecnie nie przebierając w słowach oceniają pracę naszej placówki, posuwają się do pomówień jej kierownika.

Ponadto dodać trzeba, iż prace takich artystów jak: Peter Downsbrough, Attila Kovacs, Richard Nonas, David Rabinowitch, Fred Sandback, zostały zakupione przez Muzeum Sztuki od autorów tuż po otwarciu wystawy „Konstrukcja w Procesie", zaś Keneth Unsworth ofiarował swe dzieło w darze do kolekcji muzealnej.

Po czwarte: Władze miasta mogą udzielić szczegółowych odpowiedzi na temat zabiegów podejmowanych przez Muzeum Sztuki w celu zwiększenia przestrzeni ekspozycyjnej pozostającej w naszej dyspozycji, co umożliwiłoby nam szerszą prezentację zbiorów, w tym także dzieł pochodzących z „Konstrukcji w Procesie". Zaznaczyć trzeba, iż poza twórcami Muzeum Sztuki — Władysławem Strzemińskim, Katarzyną Kobro, Henrykiem Stażewskim czy Karolem Hillerem, nieliczni tylko artyści prezentowani są poprzez więcej niż jedno dzieło. Przykładowo: obecnie eksponujemy (od dłuższego już czasu) jedną pracę W. Bruszewskiego, ale także mamy możliwość prezentowania również jednej tylko pracy jednego z najwybitniejszych twórców w światowej sztuce powojennej — Josepha Beuysa, który ofiarował naszemu Muzeum w 1981 roku kilkaset swych dzieł, dla uznania dokonań Muzeum Sztuki i dla afirmacji idei międzynarodowej solidarności artystów, która przyświecała powstaniu i działaniu tego Muzeum.

Po piąte: Ów brak przestrzeni ekspozycyjnej staramy się kompensować jednak poprzez kilkukrotne nawet w ciągu roku zmiany układu stałej ekspozycji muzealnej, co gwarantuje rotację dzieł udostępnianych publiczności, organizowaniem wystaw prac z naszej kolekcji poza Łodzią w kraju (np. wystawy dzieł Beuysa pokazane zostały w Warszawie, Krakowie, Lublinie), jak i za granicą. Jeżeli chodzi o te ostatnie, to można wymienić najbardziej prestiżowe muzea i galerie w Europie i Ameryce Północnej (tak w USA, jak i w Kanadzie), gdzie Muzeum Sztuki uobecniało sztukę polską począwszy od drugiej połowy lat 60-tych. W kilku z nich uczestniczyły prace W. Bruszewskiego, który obecnie mówi o Muzeum Sztuki, jako o *„martwym muzeum"* oraz R. Waśki, dostrzegającego dziś *„stagnację artystyczną"* i *„niską jakość publikacji oraz słaby poziom wystaw"*. Źródła rozgoryczenia obu artystów pozostają jedynie naszymi domysłami.

Wskażemy kilka zaledwie faktów, aby nie rozwodzić się nad oczywistościami, nie dostrzeganymi przez autorów przywołanej wypowiedzi. W naszych krajowych i zagranicznych publikacjach znaleźć można teksty — obok osób na stałe związanych z Muzeum Sztuki — takich autorów, jak: Wiesław Juszczak, Mieczysław Porebski, Andrzej Turowski, Joanna Pollakówna, Wiesław Borowski, Andrzej Kostołowski, Piotr Piotrowski, Anna Micińska, by zatrzymać się przy polskich jedynie autorach, których znaczenie dla krytyki i historii sztuki nowoczesnej, naszym zdaniem, przeczy ocenie osób prawiących o *„niskiej jakości publikacji teoretyczno-krytycznych"* Muzeum, świadcząc o ich niewiedzy. Od ponad roku cały parter stałej ekspozycji muzealnej zajmują dzieła sztuki najnowszej pozyskane do kolekcji po wielkiej wystawie polskiej sztuki lat 80-tych, jaką Muzeum zorganizowało w Glasgow jesienią 1988, we współpracy z 17 artystami średniej i młodszej generacji. Wystawa ta zatytułowana „Polish Realities" prezentowana była w 7 instytucjach artystycznych w Glasgow i wzbogacona była o odrębną prezentację 10 artystów aktywnych w dziedzinie fotografii, zatytułowaną „Polish Perceptions", przygotowaną również przez Muzeum. W samym tylko 1989 roku prezentowaliśmy w Łodzi wystawy: „Hans Arp", „Guenther Uecker", „Devetsil", „Spojrzenia/Wrażenia", „Artur Nacht-Samborski. Z pracowni artysty"; za granicą zaś: „Międzynarodowa Kolekcja Sztuki Nowoczesnej grupy „a.r." w Fundacji Hansa Arpa i Sophie Taeuber-Arp w Rolandseck, „Vision and Unity. Strzemiński and 9 Contemporary Polish Artists" w Van Reekum Museum w Apeldoorn; „Joseph Beuys. Polentransport 1981" w Budapest Galeria; „Uzupełnienia/Supplements" w John Hansard Gallery w Southampton. „Konstruktywizm w Polsce" w Galerii Narodowej w Budapeszcie.

Zważywszy także liczne inne formy aktywności instytucji, którą reprezentujemy (szeroka działalność oświatowa), uznać musimy opinie o stagnacji za niedorzeczność, a pochodne pomówienia, jakie znajdujemy w artykule „Konstrukcja konfliktu" za wynik zaślepienia osób zajętych swoimi własnymi przedsięwzięciami.

Łódź, 20 grudnia 1989

Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność" przy Muzeum Sztuki w Łodzi
BOŻENA PIENIĄŻEK, JAROMIR JEDLIŃSKI, MARIA MORZUCH

Nigdy dotychczas nie byłem przedmiotem ataku ze strony jakiegokolwiek artysty, nigdy bowiem nie dezawuowałem dorobku twórców przekonany, że działalność krytyczną wypełniamy przez pracę muzealną. Dokonując wyborów wartości w muzeum — czyli obecności tych a nie innych dzieł w galerii i na wystawach — odpowiedzialność za to bierze na siebie kustosz, kierując się koncepcją ekspozycji, spójnością zespołu, oryginalnością propozycji twórczej i siłą przemawiania dzieła do umysłów widzów.

Trafia w próżnię sprowokowany na łamach „Odgłosów" przez artystę łódzkiego, zamieszkałego od kilku lat w Berlinie Zachodnim, Ryszarda Waśko, spór dotyczący rzekomego wyeliminowania przeze mnie z wystaw Muzeum Sztuki, w imię jakoby mego interesu, prawdziwych wartości twórczych. Jedyne, co mogę powiedzieć w sprawie rzekomego pomijania przez muzeum prac z jego kręgu, co nam zarzuca, to potwierdzić, że zarówno dzieła artystów tendencji, z którą się R. Waśko identyfikuje, jak i jego filmy, wideo oraz utwory plastyczne wielokrotnie wystawialiśmy w kraju i za granicą, podobnie, jak dotąd wystawiamy prace innego łódzkiego artysty, Wojciecha Bruszewskiego, który wraz z R. Waśko snuje intrygę przeciw muzeum. Kto to chce zrozumieć, zrozumie...

Inwektywy Ryszarda Waśko (pomijam ich klasyfikację prawną — *„skorumpowane układy"* i liczne inne sformułowania) można odeprzeć bez trudu — ta łatwa zabawa mnie jednak nie cieszy. Można by raczej zapytać z goryczą redakcję „Odgłosów", czemu zamieszczając ten materiał przyprawiony przez własnego dziennikarza, nie zechciała zbadać w najprostszy sposób prawdziwości pomówień wobec kogoś, kto bądź co bądź półtora roku temu był laureatem nagrody „Odgłosów"? Czy redakcji aż tak bardzo zależy na sensacji i prowokacji?

Nie tylko atak Ryszarda Waśko, ale i relacje Wojciecha Bruszewskiego są nieprawdziwe. W. Bruszewski insynuuje nam, że wystawę „Konstrukcja w procesie" *„zdeponowano"* w Muzeum Sztuki po ogłoszeniu stanu wojennego. Nie jest to prawda. Zbiór ten został przekazany przez NSZZ „Solidarność" protokolarnie w depozyt Muzeum Sztuki w Łodzi 26 listopada 1981, zaś w czasie stanu wojennego ocalony, skatalogowany i zabezpieczony przez kustoszy muzeum. Każdy, kto zna realia muzeum wie, że niemożność jego wystawienia w całości — podobnie jak i innych zespołów sztuki międzynarodowej przyłączonych do muzeum w latach osiemdziesiątych — wynika z faktu, że mimo wielu publicznych zapewnień gospodarzy Łodzi nie otrzymaliśmy dotąd pofabrycznego lokalu, solennie przez władze przyrzeczonego. Dopiero w czerwcu 1989 roku Rada Narodowa m. Łodzi podjęła uchwałę zobowiązującą Urząd Miasta Łodzi do przekazania Muzeum w 1990 r. dodatkowej przestrzeni ekspozycyjnej. Mamy nadzieję, że to nastąpi. Jesteśmy gotowi do przeprowadzki najnowszych i największych zespołów dzieł — w tym i depozytu „Solidarności", którego nie możemy eksponować nawet partiami w małych pokojach galerii przy ul. Więckowskiego.

Pomysł, że Muzeum Sztuki (w mojej osobie) uprawia *„monopol"* i deformuje obraz współczesnej sztuki polskiej za granicą, jest zgoła niefortunny. Im więcej różnorodnych wystaw polskich, tym lepiej. Liczne muzea — np. Narodowe w Warszawie i we Wrocławiu, czy też wyróżniające się swą działalnością Biura Wystaw Artystycznych w Łodzi czy Lublinie, nie zapominając o Galeriach „Foksal" w Warszawie i „Akumulatory" w Poznaniu prowadzą w miarę możliwości rozległą, choć wciąż niewystarczającą działalność wystawową, podobnie jak nasze muzeum. Może Ryszard Waśko gdzieś za granicą usłyszał propozycję, by w swoich zmierzeniach współpracował bliżej z Muzeum Sztuki, mającym europejski dorobek wystawienniczy i to go uraziło? A może dotknęło go bardziej to, że w czasie jego nieobecności odbyła się w Łodzi fascynująca wystawa „Lochy Manhattanu" — bez jego organizacyjnego udziału?

Wojciech Bruszewski mija się z prawdą, relacjonując swój występ na spotkaniu artystów (I.K.G.) w Wiesbaden we wrześniu 1989 i moje słowa. Na zakończenie obrad w kawiarni muzealnej W. Bruszewski odczytał zaproszenie ze strony R. Waśki do udziału w kolejnej inicjowanej przez niego wystawie i informację o projekcie powstania nowego „muzeum artystów" w Łodzi. Musiałem wtedy zabrać głos i przypomnieć fakt istnienia już w Łodzi muzeum założonego w końcu lat dwudziestych z inicjatywy polskiej awangardy, które stale, do dziś, cieszy się zaufaniem twórców z całego świata, pozyskuje od nich dzieła, wystawia je — i że w trudnej sytuacji miasta i kraju lepiej, by wielkoduszność środowiska utrzymać przy jednej placówce tego rodzaju w mieście. Nie agitowałem nikogo przeciw projektowanej przez R. Waśkę wystawie. Dopiero na pytanie Rune Mields, dlaczego zatem R. Waśko chce organizować drugie muzeum — wobec braku oczekiwanej odpowiedzi ze strony W. Bruszewskiego — odrzekłem, iż zapewne taka jest R. Waśki ambicja.

Zarzucanie mi publicznej dyskredytacji Ryszarda Waśko i jego sztuki jest zwykłym oszczerstwem. *„Kuluarów"* nie było żadnych i być nie mogło, gdyż wszyscy się rozeszli, zaś zamieniłem tylko kilka zdań z przybyłą z Krakowa Marią Potocką i z samym W. Bruszewskim, wyrażając żal, iż w czasie wielu wspólnie spędzonych godzin nie wspomniał mi ani słowem o projekcie, który przecież tak bezpośrednio dotyczył także Muzeum Sztuki.

Szczytem megalomanii R. Waśki jest skierowanie kłamliwego donosu w stosunku do mnie i Muzeum Sztuki w Łodzi — który „Odgłosy" włączyły do wspomnianego artykułu — do różnych gazet i instytucji. Odczuwam niesmak, że Czytelnicy zostali wciągnięci w sprawę tej ewidentnej intrygi. Moja odpowiedź jest możliwie najkrótsza i pomija wątki *„kwiecistych"* inwektyw, dotyczących mego szkodnictwa i niekompetencji.

Pragnę dodać, że wielu krytyków i artystów w kraju i za granicą wyczuwa pewien „magnetyzm" kolekcji Muzeum Sztuki, zapoczątkowanej przed wojną i stale do dziś rosnącej dzięki wielkoduszności artystów i głębokiemu wzajemnemu porozumieniu — Muzeum, które dla wielu stało się *„symbolem humanizmu ponad granicami"* jak określił je pisarz i krytyk francuski Pierre Restany. Dowodem tego porozumienia jest, iż w 1981 r. powstał Ogólnopolski Społeczny Komitet Budowy Muzeum Sztuki w Łodzi, złożony z wybitnych polskich intelektualistów, z udziałem Biskupa Diecezji Łódzkiej. Nie czas teraz na wznoszenie kosztownego gmachu, lecz mamy prawo wierzyć w przychylność ludzi dobrej woli. Zwiedzający muzeum wyczuwają, że obecna galeria jest czubkiem góry lodowej tego niezwykłego w przekroju europejskim zbioru. Jej ograniczenie przestrzenne jest naszą stałą troską i z niecierpliwością oczekujemy uzyskania dodatkowej przestrzeni ekspozycyjnej. Ufamy, że nie nowe instytucje muzealne są w mieście potrzebne, lecz poparcie dla wartości już istniejących. Wierzymy w rozwój istniejącego środowiska kulturalnego i skupienie całej jego energii w solidarnej współpracy.

RYSZARD STANISŁAWSKI
(Dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi)

OŚWIADCZENIE SD PRL

W poprzednim numerze opublikowaliśmy listę dziennikarzy, którzy po stanie wojennym zostali zwolnieni z pracy. Teraz publikujemy oświadczenie, jakie w tej sprawie 15 grudnia 1989 roku przyjęło zebranie SD PRL (wówczas jeszcze obowiązywała taka nazwa państwa).

Uchwała Walnego Zebrania Sprawozdawczego SD PRL Oddziału Łódzkiego

Walne Zebranie Sprawozdawcze ŁO SD PRL, akceptuje sprawozdanie z dotychczasowej działalności wszystkich pochodzących z wyboru struktur Łódzkiego Oddziału SD PRL.

Wobec niepokojącej dziennikarzy sytuacji zagrożenia ich bytu zawodowego, zebrani liczą na aktywne i efektywne działanie Komisji Ochrony Zawodu. Ochrony nie tylko tych, którzy pozostali bez pracy, ale i tych pracujących, którzy nie mają pewności jutra.

Zebrani dali temu wyraz w Oświadczeniu, które stanowi integralną część uchwały, w kwestii rozwiązania w roku 1982 SDP i weryfikacji kadr dziennikarskich.

Zebranie upoważnia Zarząd Oddziału do współpracy z SDP w celu realizowania podkreślonej w Oświadczeniu intencji integracji łódzkiego środowiska dziennikarskiego.

OŚWIADCZENIE

Oświadczamy, że krzywdząca i nieetyczna była decyzja weryfikacji kadr dziennikarskich i rozwiązanie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w roku 1982. Walne Zebranie członków SD PRL uważa ją za bezprawie.

Obydwa fakty wyrządziły środowisku dziennikarskiemu moralne i materialne szkody trudne do odrobienia.

Wyrażamy nadzieję, że doświadczenia przeszłości będą bolesną przestrogą dla wszystkich. Dla władzy — przed brutalnym ingerowaniem w dziennikarską służbę społeczną, dla środowiska — przed zbyt łatwym poddawaniem się decyzjom politycznym jakichkolwiek władz.

Mamy nadzieję, że członkowie komisji weryfikacyjnych — dziennikarze, działający w komisjach w 1982 r., przed powstaniem SD PRL, wezmą na swoje sumienie część odpowiedzialności za podejmowane wówczas decyzje.

Opowiadamy się za integracją łódzkiego środowiska dziennikarskiego, bez uprzedzeń i podziałów.

ŚWIADKOWIE POSZUKIWANI

Okręgowa Komisja BZH w Łodzi — Instytutu Pamięci Narodowej poszukuje świadków zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy stalinowskiego aparatu terroru, na obywatelach polskich — mieszkańcach byłego **województwa nowogródzkiego**, w latach 1939—1941 oraz 1944—1945.

W szczególności świadków:

1. zastrzelenia, we wrześniu 1939 r. w lesie k/wsi **Poczernia** gen. Lipniszki pow. Lida, kapitana rezerwy WP Kowalskiego — wójta gminy Lipniszki i jego teścia — mieszkańców wsi Gieranowy,

2. rozstrzelania — w 1939 r. — w okolicy **Słonimia** podoficerów WP Garasona i Zbudzkiego oraz Stefana Paradowskiego i trzech braci Zyglydowiczów,

3. podpalenia 23 VI 1941 r. więzienia w **Lidzie**, w wyniku czego zginęło kilku więźniów,

4. okoliczności śmierci na przełomie 1944/45, w więzieniu/areszcie w **Iwiu: Aleksandra Kuźmy** i **Józefa Zapaśnika**, byłych żołnierzy Armii Krajowej, z placówki w **Lipniszkach** k/Lidy.

Osoby będące świadkami tych i innych zbrodni stalinowskich popełnionych w **Nowogródzkiem**, jak również członkowie rodzin ofiar zbrodni, proszone są o osobisty, listowny bądź telefoniczny (tel. 36-78-47, 36-70-79) kontakt z **Okręgową Komisją BZH w Łodzi (90-446 Łódź, ulica Piotrkowska 149).**

BEZPŁATNIE W KINIE „ZACHĘTA"

Ajenci kina „ZACHĘTA" informują:

— na każdym seansie są zarezerwowane dwa miejsca dla ludzi niepełnosprawnych i ich opiekunów. Są to miejsca bezpłatne.

— w każdą sobotę i niedzielę oraz w czasie ferii szkolnych na seansach o godz. 11 i 13 zarezerwowanych jest 20 miejsc dla dzieci z domów dziecka. Również bezpłatnych.

Aby skorzystać z tego należy dzień wcześniej porozumieć się z ajentami kina „ZACHĘTA" w Łodzi.

ODPOWIADAMY NA PYTANIA

STEFAN KOWALSKI, Sieradz

Od 1 lipca 1990 roku na tablicach kursów w sklepach „Pewexu" pojawi się kurs złotego w stosunku do dolara. Można będzie płacić również złotówkami według kursu dolara. Przez ten czas mają też zniknąć bony PKO. Kto posiada więc bony, powinien pozbyć się ich jak najszybciej kupując za nie towary w sklepach „Pewexu".

RYSZARD KUDAJ, Piotrków Trybunalski

Opinię prawnika na postawione przez pana pytanie przesyłamy pocztą.

WŁODZIMIERZ BUKOWSKI, Częstochowa

Jak zapewne pan zauważył nie zrezygnowaliśmy całkowicie z tematyki erotycznej. Nie chcemy jednak przesadzać. W redakcyjnych teczkach takie artykuły na swoją kolej czekają.

PRZEPRASZAMY, NIE SKORZYSTAMY!

Zawiadamiamy naszych korespondentów, że ze względu na brak miejsca lub z innych względów nie skorzystamy z ich listów. I tak:

— nie skorzystamy z tekstu **Mieczysława Kozaka** z bardzo prostego powodu, że tekst pt. „Zgłosił się na śmierć" był już w „Odgłosach" drukowany;

— nie skorzystamy z tekstu **Andrzeja Krakowskiego** pt. „Katzenjammer träumes" ze względu na zbyt pokrętną stylistykę, co czyni ten tekst zupełnie niezrozumiałym;

— nie skorzystamy z tekstu **Bolesława Szewczyńskiego** ponieważ nie wnosi nic nowego do spraw związanych z losem Polaków poszkodowanych przez Trzecią Rzeszę;

— nie skorzystamy z tekstu inż. arch. **Tadeusza Filipowskiego** (z Pabianic) ponieważ nie można argumentów rzeczowych zastępować inwektywami i pomówieniami.

USPOŁECZNIONE ZAKŁADY USŁUG MARKETINGOWYCH
SA
Markus
Polecamy
nasze usługi
w zakresie
pośrednictwa
paszportowego
Zgłoszenia telefoniczne
pod nr. tel. 32-58-56
w każdą środę miesiąca

OGŁOSZENIA DROBNE

NAUKA-PRACA

ANGIELSKI 51-63-05.
1684-g

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UŁ 32-29-65.
13431-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

DREWBUDU akcję — odbiór domu listopad 1990 — zamienię na późniejszą lub sprzedam. Oferty z ceną Łódź 7 box 242.
1076-g

LOKALE

MŁODE małżeństwo poszukuje mieszkania. Łódź, Kilińskiego 120/9B GOLA.
1693-g

MEDYCZNE

PIELĘGNIARSTWO — dyżury, opieka, masaż — rehabilitacja. 86-69-69.
64135-g

RÓŻNE

UNIEWAŻNIAM pieczątkę „Inż. Zbigniew Pietroń, uprawnienia budowlane, nr 193/86 WŁ Łódź, Ziołowa 3/64".
1312-g

JOANNA Janiszewską unieważnia indeks 66450 UŁ.
1526-g

NAPISZ — prześlę specyficzny dla Ciebie zestaw horoskopów różnych kultur. Data urodzenia. 90-955 Łódź 8 skr. 23A.
1132-g

ZGUBY

PRZEMYSŁAW Bartkowiak zgubił legitymację studencką 6164 WAM.
1394-g

ZAGUBIONO zezwolenie „Transport towarowy 317/H Dariusz Garzyński, Kasprzaka 37/39".
1681-g

CEZARY Gierzyński zgubił legitymację studencką 59945 PŁ.
1695-g

MAŁGORZATA Sybilska zgubiła legitymację studencką — 69006/S UŁ.
14383-g

ZAGUBIONO zezwolenie 5588 wydane przez Wydział Handlu i Usług Urzędu Dzielnicowego, Łódź-Polesie.
1759-g

POLITAŃSKI Zbigniew zgubił leg. studencką 12843/L AM.
1712-g

JAROSŁAW Malinowski zgubił legitymację studencką 60424 PŁ.
14617-g

EWA Walczak zgubiła legitymację studencką 2336 AM.
14515-g

ogłaszaj się w „ODGŁOSACH"

Spółka z o.o.
TOMI
PROPONUJE:

– **język francuski dla dzieci w wieku 7—10 lat.** Zajęcia odbywają się w ramach przedszkola baletowego w środy i piątki w Państwowej Szkole Baletowej w Łodzi, ul. Wrocławska 3/5, w godz. 17—19.
Nieliczne grupy, konkurencyjne ceny, wysoki poziom dydaktyczny.

— **Reklamę foniczną w SDH „Central" w Łodzi.** Nagrania dokonywane przez najwyższej klasy specjalistów emitowane w ciągu całego dnia handlowego, krótkie terminy realizacji (do 7 dni), wyjątkowo przystępne ceny. Idź, sprawdź i zgłoś się do nas!
— **Montowanie anten satelitarnych wszystkich typów przez wysokiej klasy fachowców.**

Szczegółowe informacje Spółka z o.o. „Tomi", Łódź, ul. Wspólna 6, tel. 34-33-05, codziennie, w godz. 9—14.

BIURO PODRÓŻY I TURYSTYKI ZSP
Imatur ODDZIAŁ W ŁODZI
ZAPRASZA
DO KORZYSTANIA Z OFERTY:

Już od lutego kupisz u nas
◄ VOUCHERY do GRECJI (1.05.—30.10.)
◄ WYCIECZKI i WCZASY do JUGOSŁAWII
◄ aktualnie ZSRR, CSRS, NRD

Pracujemy: poniedziałki, czwartki godz. 11—17,
wtorki, środy, piątki 11—15.
Tel. 86-44-79, 37-18-46, 37-11-22.
Proponujemy konkurencyjne ceny.
Życzymy udanych wyjazdów.
139/K

Pekin

MARZENA MRÓZ

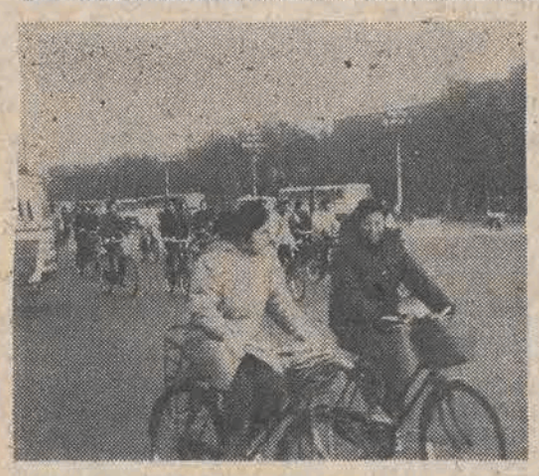

Z tej ziemi

W Ardenach i nad Wisłą

Historii nie wolno traktować na zasadzie dzielenia jej na kawałki i przeciwstawiania ich sobie. Wszelkie próby manipulowania historią, traktowania jej rozdzielnie, kończą się fatalnie niezależnie od motywów postępowania i intencji. Historia jest procesem ciągłym i tak trzeba ją widzieć.

Wybuch pierwszej wojny światowej w 1914 roku zakończył pewną epokę w rozwoju Europy i zapoczątkował nową. Nie zrozumieli tego do końca twórcy pokoju wersalskiego. Dali Europie XX wieku traktat pokojowy rodem z przeszłości, który niósł z sobą zaczątki drugiej wojny światowej. Stworzył zarzewia nowych konfliktów, nie rozwiązał bowiem do końca starych. Jego twórcy tkwili sposobem myślenia w XIX wieku. Ale tę prawdę widzimy w całości dopiero dziś, w 45 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej.

3.

Inaczej ocenia się wydarzenia, gdy się jest ich świadkiem, gdy się je przeżywa, inaczej z perspektywy czasu. Gdy czytam dziś wspomnienia i dokumenty ze stycznia 1945 roku, to jestem niejako świadkiem przeżywanej wówczas radości. Oto skończył się koszmar okupacji i ludzie cieszyli się, że uratowali życie Nie mogli przecież wiedzieć, co niesie z sobą czas nadchodzący. Dla Łodzi 19 stycznia 1945 roku jest datą szczególną. Nad miastem unosiły się dymy i trupi odór ludzi spalonych żywcem w Radogoszczu. Był to widomy dowód tego, co odeszło w przeszłość. Czas okupacji był tu tragiczny, znaczony wysiedleniami i grobami.

4.

Łodzianie — podobnie jak i inni mieszkańcy miast wyzwalanych — cieszyli się z wolności i nie wiedzieli, że przyszła ona wcześniej niż planowano. Zadecydowały o tym wydarzenia na zachodnim froncie w Ardenach. Są to góry nie wyższe od Świętokrzyskich, leżą między Luksemburgiem a Liege, na prawym, wschodnim brzegu Mozy. Tu właśnie 16 grudnia 1944 roku rozpoczęła się, nieoczekiwanie niemiecka ofensywa opatrzona kryptonimem „Jesienna mgła". Pogoda rzeczywiście była fatalna, pułap chmur niski, co uniemożliwiało działanie alianckiego lotnictwa.

Noc z 15 na 16 grudnia 1944 roku alianccy żołnierze spędzili na zabawie, albo spali spokojnie. Marszałek Bernard Law Montgomery w rozkazie na 16 grudnia 1944 roku napisał:

„Nieprzyjaciel prowadzi w tej chwili na wszystkich frontach walki obronne. Znajduje się obecnie w takiej sytuacji, że nie może rozpocząć żadnych działań zaczepnych".

Zgodnie z taką prognozą B. L. Montgomery złożył prośbę o... urlop. Tymczasem nieprzyjaciel pod wodzą marszałka Gerarda von Rundstedta zaatakował właśnie w Ardenach. Rejonu tego broniły tylko 4 alianckie dywizje.

5.

Ardeny nie miały szczęścia u strategów. Lekceważono ten rejon jako strategicznie mało atrakcyjny. Zapomniano, że pod Sedanem nad Mozą Francja poniosła decydującą klęskę w 1870 roku, a Napoleon III dostał się do pruskiej niewoli. Pod Verdun od lutego do grudnia 1916 roku trwały zacięte walki, w wyniku których na polu bitwy pozostało 700.000 żołnierzy obu stron. Tędy w sierpniu 1914 roku Niemcy przebiły się nad Marnę i zagroziły Paryżowi. Tędy w maju 1940 roku z powodzeniem zaatakowały Francję. Teraz powtórzyli ten sam manewr.

Do walki z zaskoczonymi aliantami użyto dywizji spadochronowej, ale Amerykanie i Anglicy wyłapali spadochroniarzy. Użyto czołgów 6 armii pancernej SS, która pod Malmedy rozjechała grupę około 100 jeńców amerykańskich. Użyto komandosów Otto Skorzennego przebranych w amerykańskie mundury i mówiących po angielsku, którzy skutecznie siali panikę na tyłach wojsk alianckich. Wszystko to nie pomogło. Było jednak ciężko. Generał Georges Patton — dowódca 3 armii USA — napisał nawet w swoich notatkach: *„Możemy jeszcze przegrać tę wojnę".*

6.

Plan Adolfa Hitlera był prosty. Celem ataku przez Ardeny była Antwerpia. Tędy szło zaopatrzenie dla alianckich wojsk walczących w tej części Europy. Zdobycie portu w Antwerpii zamykało dopływ zaopatrzenia i dawało Niemcom czas na wykorzystanie „cudownej broni". Ta „cudowna broń" to: odrzutowe bombowce Heinkla, odrzutowe myśliwce Me-262, okręty podwodne typu XXI i XXII, 120-tonowe superczołgi. Rakiety V-2 były już w użyciu. Gdyby to się powiodło, to można byłoby pomyśleć o zawarciu odrębnego pokoju z okrążonymi i pokonanymi aliantami.

Rachuby te były oparte na błędnych i nierealnych założeniach. Adolf Hitler liczył, że niemieckie czołgi i wozy pancerne pojadą na... zdobycznej benzynie. Własnej starczało zaledwie na pokonanie połowy planowanej trasy.

24 grudnia 1944 roku zmieniła się pogoda i lotnictwo alianckie przystąpiło do ataku. Generał Georges Patton zawrócił 3 armię i skierował ją do walki z okrążonym węzłem komunikacyjnym w Bastogne. Był to nie lada wyczyn, gdyż 3 armie poruszała się na 130.000 pojazdów.

7.

1 stycznia 1945 roku ruszyła pomocnicza ofensywa niemiecka w Alzacji. 5 stycznia 1945 roku Winston Churchill pisał do Józefa Stalina:

„Walki na Zachodzie są bardzo ciężkie i w każdej chwili Naczelne Dowództwo może być zmuszone do podjęcia ważnych decyzji... byłbym wdzięczny, gdyby zechciał Pan powiadomić, czy możemy liczyć w ciągu stycznia na wielką ofensywę rosyjską na froncie Wisły lub w jakimkolwiek innym".

Radziecka ofensywa znad Wisły ruszyła 12 stycznia 1945 roku, ale dopiero pod koniec stycznia wojska alianckie osiągnęły w Ardenach stan sprzed 16 grudnia 1944 roku. Niemcy w tej bitwie stracili 120.000 żołnierzy, alianci — 80.000. Alianci straty w sprzęcie mogli odbudować z dnia na dzień, Niemcom potrzeba było miesięcy i lat. Nie starczyło już na to czasu i sił.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1 Lewym okiem

Bardzo zmartwiona mniejszość

Nasza pani minister kultury i sztuki udzieliła niedawno wywiadu jednemu z pism polonijnych, wychodzących w Paryżu. O ile wiem — wywiad ten nie był publikowany w krajowych środkach masowego przekazu, nadało go natomiast paryskie radio. Na pytanie interlokutora jak posuwa się sprawa rewindykacji Biblioteki Ossolińskich ze Lwowa, pani minister odpowiedziała, że uważa za niewskazane domaganie się zwrotu tej biblioteki. Skarby kultury polskiej rozsiane po świecie umożliwiają — motywuje pani minister — kontakt z kulturą polską cudzoziemcom, którzy inaczej do niej by nie dotarli. Biblioteka Ossolińskich stanowi — według tego rozumowania — świetną wizytówkę polskiej kultury dla Ukraińców i innych obywateli Związku Radzieckiego, podobnie — co również wspomniała pani minister — duże zbiory poloników w Upsali, wywiezione w czasie potopu szwedzkiego. Między innymi cała biblioteka Mikołaja Kopernika i wiele innych pomnikowych dzieł historycznych. One też stanowią naszą wizytówkę wobec Szwedów i innych ludów północy.

Muszę powiedzieć, że słuchałem tego wywiadu ze zdumieniem. Oto bowiem okazuje się nagle, że niepotrzebnie staraliśmy się, z takim trudem, rewindykować arrasy wawelskie z Kanady, że niepotrzebnie poszukiwaliśmy skrzętnie ołtarza Wita Stwosza i innych skarbów zrabowanych podczas drugiej wojny przez Niemców. Przecież oni by się tym cieszyli i podziwialiby jakie to piękne w Polsce były ongiś dzieła sztuki. Zbędną i wręcz niepożądaną powinna by się wydać walka o zwrot Biblioteki Załuskich wywiezionej przez władze rosyjskie podczas pierwszej wojny światowej. Sprawa tej biblioteki znalazła się nawet w Traktacie Ryskim.

Może to i prawda z tą wizytówką, ale chyba niedobrze, kiedy się tradycje narodu, jego pomniki historyczne i artystyczne traktuje wyłącznie jak wizytówkę, którą się daje przygodnemu znajomemu, żeby sobie schował do biurka. Te nasze wizytówki w Upsali i we Lwowie są przecież głęboko schowane, Biblioteka Ossolińskich wypełnia podobno nawy jakiegoś opuszczonego i na pół zrujnowanego kościoła. Leży to wszystko na stosach, leży też tam największy i najbardziej kompletny zbiór starych czasopism polskich. Tego w kraju nie ma. To wszystko leży tam i gnije. Ale — okazuje się — niewskazane jest domagać się zmiany tego stanu rzeczy.

Wszyscy bez wyjątku w kraju odczuwamy trudności przeżywanego właśnie czasu, nasze olbrzymie braki i niedobory gnębią każdego. Ale istnieje pewna mniejszość pośród nas, która ma jeszcze dodatkowe zmartwienia. Ta mniejszość to ludzie, dla których kultura i jej wszystkie zjawiska są potrzebne na co dzień, wcale nie mniej niż szynka z polędwicą. Oto — jak słyszymy — likwidacją zagrożone są niektóre czasopisma społeczno-kulturalne. Motywuje się tę likwidację między innymi tym, że są to pisma nieciekawe. Hm, no cóż, nie dla wszystkich ciekawe. W Klubach Międzynarodowej Prasy i Książki nie ma już prasy zagranicznej, już nie ma nawet tak wąziutkiego dostępu do światowej publicystyki.

Być może, że to wszystko jest nieciekawe i niewarte poparcia. Być może, że to wszystko musimy koniecznie zrobić po to, aby otrzymać dolarową pomoc. Na razie ta pomoc wygląda na przykład tak, jak w przypadku krajów Europy Zachodniej. Zniosły one mianowicie cło na niektóre wyroby eksportowane przez Polskę i obliczyły, że tracą na tym kilkadziesiąt milionów dolarów. Udzieliliśmy więc Polsce — twierdzą — pomocy w wysokości kilkudziesięciu milionów dolarów. Nikt natomiast nie martwi się o to, że przed wyeksportowaniem trzeba towary wyprodukować, a my akurat nie mamy ani z czego ani za co.

Ale może to wszystko jest właśnie tak jak musi być. Cofam się głębiej w swoją indywidualną skorupę i czekam co będzie dalej. Chi vivra verra czyli kto dożyje — zobaczy.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Domokrążca

Spotkałem ostatnio znajomego, którego nie widziałem od kilku miesięcy. Znajomy ów był w opozycji jeszcze przed rokiem osiemdziesiątym, potem po wprowadzeniu stanu wojennego działał w konspiracji, kolportował książki drugiego obiegu, jakieś znaczki, w ogóle wszelkiego typu bibułę. Często korzystałem z jego usług, wpadał do mnie najczęściej wieczorami z torbą wypchaną nowościami i kiedy przeglądałem najciekawsze pozycje, prowadziliśmy nie kończące się dyskusje. On czuł się jak ryba w wodzie. Widać było, że to zajęcie, mocno przecież ryzykowne, bardzo mu odpowiada. Mimo tego, co działo się za oknem, humor jakby go nie opuszczał.

Teraz jednak, gdy się spotkaliśmy, zauważyłem, że stał się jakiś osowiały i mocno posmutniał.

— Co się dzieje? — zapytałem. — Zamiast się cieszyć, że żyjemy już w Rzeczypospolitej Polskiej i mamy orła w koronie, że spełniły się marzenia, ty jesteś smutny. O co chodzi?

— *Widzisz* — odpowiedział, patrząc gdzieś ponad moją głową. — *To wszystko nie jest tak proste jak się wydaje...*

— Wiem, że sytuacja gospodarcza nie jest prosta i nie trzeba mi tego tłumaczyć — przerwałem.

— *Nie w tym rzecz* — kontynuował. — *Ja widzisz zawsze byłem przeciw. Przyzwyczaiłem się już do tego, było mi z tym dobrze. Ba! nawet wygodnie. Bo jak mi się coś nie udawało, to mogłem zawsze powiedzieć, że to „ich" wina, no wiesz, systemu, gdyby nie on, to na pewno byłoby inaczej. I teraz, kiedy wszystko w tak błyskawicznym tempie się zmieniło, ja nie mogę nadążyć. Zawalił się świat, do którego zdołałem się już przyzwyczaić. Komunistów już teoretycznie nie ma, rząd trzeba popierać, bo to jedyna dla nas szansa. Myślisz, że tak łatwo wyjść z opozycji i zmienić swój sposób myślenia? Tu prawie wszyscy są, czy tego chcą czy nie, dziećmi starego systemu. W jakiś sposób i „Solidarność" jest też takim dzieckiem, dlatego również będzie musiała się zmienić. Ale droga do normalności nie będzie wcale taka prosta. Trzeba jednak przez nią przejść i znaleźć dla siebie jakieś miejsce. A ja jestem właśnie w trakcie szukania takiego miejsca. Choć szczerze powiedziawszy, wcale nie chce mi się tego robić. Najchętniej zostałbym domokrążcą, ten zawód chyba najbardziej by mi odpowiadał, czymś tam bym handlował, miał kontakt ciągle z nowymi ludźmi. To mogłoby być nawet ciekawe.*

— Spróbuj, teraz nie ma przecież żadnych przeszkód. Byłoby nawet interesujące mieć kumpla domokrążcę — powiedziałem.

— *Nie bądź taki mądry. Popatrz lepiej na siebie* — odrzekł ostro. — *Co ty właściwie robisz? Piszesz te swoje felietoniki, które są bez siły i wyrazu, bo i krytykować teraz nie ma kogo i nawet żadnych aluzji nie możesz w tym pisaniu używać, bo i nie ma przeciwnika. Szukasz więc tematów zastępczych i tak naprawdę niewiele masz do powiedzenia. I to, co robisz, trafia właściwie w próżnię. Chyba ma rację Stefan Kisielewski, najlepszy felietonista jeszcze PRL, mówiąc, że należy przestać w ogóle pisać felietony i nie szukać na siłę tematów zastępczych. Poczekać, jak coś w miarę konkretnego się wyklaruje i wtedy dopiero zaatakować. Nie wiem jeszcze kogo, ale przecież opozycja w kraju zawsze będzie potrzebna, a przynajmniej zdroworozsądkowe myślenie. Chociażby po to, by wytknąć taką niedorzeczność, jak stwierdzenie pana Hanuszkiewicza w telewizji, że wojna dopiero teraz się skończyła. Nie wiem, co prawda o jaką wojnę mu szło, czy tę z 13 grudnia, czy też II wojnę światową, ale to on powinien wyjaśnić. A tak widz właściwie nie bardzo wie, o co chodzi. I tak dalej i dalej, takich ciekawostek można byłoby podać tu o wiele więcej, tylko po co. Mam nadzieję, że rozumiesz w czym rzecz?*

— Tak, rozumiem — odpowiedziałem zaskoczony atakiem.

On uśmiechnął się, umówiliśmy się po chwili na kolejne spotkanie u mnie w domu i rozstaliśmy się. Pomaszerowałem z miną jak sądzę nietęgą, zastanawiając się, co dalej robić. I powiem, że mało pociesza mnie fakt, że podobne problemy ma teraz znaczna część Polaków.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

3 Śmietnik w środku miasta

Środek miasta — to pojęcie względne. W małych miastach za środek uważano plac, przy którym wznosił się kościół oraz ratusz lub budynek gminy. Tu na ogół gromadziły się najważniejsze instytucje. W dużym mieście problem jest złożony. Na przykład w Łodzi. Gdzie jest środek miasta? Na pewno nie na placu Wolności, ani nie na placu Niepodległości, ani na placu Henryka Dąbrowskiego. Niektórzy mówią, że na rogu ulicy Piotrkowskiej i ulicy Juliana Tuwima z jednej strony i Andrzeja Struga z drugiej. Inni znów skłonni są środek przenieść na skrzyżowanie ulicy Piotrkowskiej z aleją Adama Mickiewicza, gdzie „Central" skupia na sobie zainteresowanie łodzian i przyjezdnych.

Zostawmy ten spór na boku. Przyjmijmy, że szeroko rozumiane śródmieście rozciąga się od ulicy Stefana Kopcińskiego na wschodzie, do ulicy Stefana Żeromskiego za zachodzie, do ulicy Karola Świerczewskiego i Brzeźnej na południu i do placu Wolności na północy. Tak rozumiane śródmieście nie jest wszakże najpiękniejszą wizytówką Łodzi.

Po lutowych strajkach 1971 roku okazało się, że już dłużej nie da się ukrywać zaniedbania miasta i przemysłu. Wtedy powstał program modernizacji i przebudowy Łodzi, który pozwolił przenieść wiele fabryk na obrzeża miasta, wybudować — nie dokończoną jeszcze — trasę W—Z oraz Manhattan. Plany były bogatsze, ale jak to bywa z planami, nie zostały do końca spełnione. Nie udało się do dziś wybudować nowoczesnych pomieszczeń dla Muzeum Sztuki, Filharmonii, festiwalowego kina oraz wielu innych zamierzeń zrealizować. Choć śródmieście Łodzi zmieniło się, to nie zmieniło się na tyle, aby mogło być prawdziwą wizytówką miasta.

Na początku lat siedemdziesiątych popularny był film, który pokazywał „drugie oblicze" śródmieścia. Kamera zajrzała na tyły odrapanych kamienic, do podwórek pełnych obskurnych komórek, gdzie zdarzało się, że i kury grzebały w piasku. Miał to być obraz minionego, ale sądzę, że i dziś można byłoby nakręcić taki film dokumentalny, który nie ustępowałby niespodziankom tamtego.

Na przykład ulica Węglowa. Idziemy sobie ulicą Gabriela Narutowicza od ulicy Jana Kilińskiego w stronę Radiostacji. Po prawej mamy park kolejowy, przez który wieczorem lepiej nie przechodzić. Od ulicy Armii Ludowej równolegle do ulicy Narutowicza biegnie Składowa, też nie ciesząca się dobrą reputacją. Bliżej torów leży ulica mało znana, ale zaznaczona na planie miasta — Węglowa. Jest to jedna z nielicznych chyba ulic w Łodzi, a może jedyna, przy której nikt nie mieszka. Wprawdzie wybudowano przy tej ulicy dwa piękne wieżowce, na wysokości ulicy Williama Lindleya, ale przypisano je do ulicy Tramwajowej. Niemniej do bloków tych można dostać się tylko przez ulicę Węglową, która kończy się albo zaczyna przy ul. Tramwajowej właśnie.

Idziemy więc sobie ulicą Gabriela Narutowicza, podziwiamy budynek Sądu i Teatru Wielkiego przy placu Henryka Dąbrowskiego, mijamy przy Uniwersyteckiej budynek „Włókien sztucznych", dalej dawne Gimnazjum Kupców, które dziś zajmuje UŁ, mijamy Rektorat UŁ, dochodzimy do wieżowca na rogu Narutowicza i Tramwajowej i nawet nie domyślamy się, co dzieje się parędziesiąt metrów na południe, właśnie wzdłuż ulicy Węglowej.

Ulicę Węglową od terenów PKP, gdzie czyści się i myje składy pociągów osobowych, które przyjechały do Łodzi i czekają na odjazd, odgradza siatkowy płot. Płot ten nie stanowi żadnej przeszkody, gdyż są w nim dziury i całe kwadraty otwarte. W jednym wieżowcu zamieszkało już prawie 70 rodzin. Są tu małe dzieci. Latem — a może już wiosną — zainteresują się stojącymi wagonami. O wypadek nietrudno. Warto o tym już dziś pomyśleć, kiedy jeszcze do wiosny daleko.

W pobliżu zamieszkałego już bloku — drugi w budowie — PKP zainstalowało wielki kontener na śmieci. Zainstalowano wtedy, kiedy nie było jeszcze bloków. Wiosną i latem będą tam roje much. Do bloku niedaleko. Może by sanepid ze śródmieścia już dziś się tym zainteresował.

Władzom administracyjnym dzielnicy śródmiejskiej proponuję wycieczkę na ulicę Węglową. Otóż nieznani do tej pory sprawcy upatrzyli sobie tę ulicę jako wygodny... śmietnik. Wywożą tu żużel, gruz i inne śmieci. Kto wywozi? Do tej pory nie udało się ustalić. Ale to tylko kwestia czasu. W każdym razie byłoby dobrze, aby urzędnicy odpowiedzialni za porządek i czystość w mieście, a szczególnie w jego śródmieściu zainteresowali się tym śmietnikiem i ukrócili tę barbarzyńską działalność. Wiem, że Łódź ma kłopoty z terenami, na które można byłoby wywozić śmiecie, ale to nie powód aby wysypywać je w samym niemal centrum Łodzi.

Przy ulicy Węglowej mieści się kilka różnych składów. Nie moja to sprawa decydować, czy one powinny być w tym miejscu, czy nie. Może by jednak władze dzielnicy — z radnymi włącznie — zastanowiły się i nad tym problemem. Żeby śródmieście Łodzi było śródmieściem. Przecież tereny te — w środku miasta — można inaczej wykorzystać. Tym bardziej w pobliżu dworca Łódź-Fabryczna.

ZENON POROWATY

Sekrety prominentów (8)

Rys. Janusz Szymanski-Glanc

ALEKSANDER MINKOWSKI

— Naczelny słuchał z uwagą.

Marat zatrzymał się przy klombie i zerwał kilka bladoróżowych irysów. Przez parę chwil wąchał je w roztargnieniu.

— Irysy nie pachną — zauważył Rajski.

— Co ty mi chcesz wmówić?

— Irysy nie pachną — powtórzył Rajski. — Ikar przewiduje totalne załamanie. My nie będziemy w stanie zapobiec. Trzeba w porę zrezygnować z władzy.

— Szef nie wyczuł, że dobiera mu się do gardła?

— Przed rezygnacją musi być kąpiel rytualna na oczach całego narodu. Należy oczyścić się z winnych i we właściwym składzie przejść do opozycji. To pozwoli wrócić, gdy przeciwnik narobi szkód i skompromituje się przed narodem.

— Ikar żartował — powiedział Marat. — Gdybym nie był tego pewien, kazałbym go aresztować za zdradę.

— Zażartował też, że w opinii ludu wszystkiemu, co złe, winien jesteś ty — powiedział Jerzy Rajski. — Dodał żartem, że nie zda się na nic prostowanie twojej reputacji, a w takim razie trzeba iść za ciosem i obciążyć za całość.

— Niech spróbuje.

— On nie. Naczelny. Może cię zobowiązać, abyś dobrowolnie wziął na siebie całość. Naczelnemu nie ośmielisz się odmówić. Gdybyś zdobył się na podobną czelność, istnieje sąd specjalny. On, Ikar, dostarczy dowodów.

— Bzdura.

— Są na ciebie papiery — powiedział Rajski, popatrując na pióropusze palm, w których buszowały papugi. — Ale nie będą potrzebne. Sam się przyznasz.

— Tamtego nie da się powtórzyć.

— Tak uważasz?

— Nie ma powrotu! — rzucił Marat nieco głośniej niż chciał.

— Na pewno? — zapytał Rajski.

Doszli w milczeniu do skrzyżowania alejek i zawrócili, ponieważ od skrzyżowania pałac mógł ich podsłuchiwać za pomocą mikrofonu laserowego. Ruszyli w głąb parku. Na wszelki wypadek Rajski włączył radio tranzystorowe i dał Bacha na pełny regulator.

— Ikar mówił szefowi nie tylko o mnie — odezwał się Marat. — Wymienił ciebie też.

— Skąd wiesz? — wyrwało się Rajskiemu.

— Jeden to nie spisek. I dlatego do mnie z tym przychodzisz.

— Mnie nic takiego nie grozi, jestem tylko kaleką — powiedział Rajski. — Ja sprawy nie załatwiam. Ale jedziemy na tym samym wózku i nie ma powodów, abyśmy się dali skasować.

Marat raptem pojął: żadna rezygnacja z władzy, ani Naczelny, ani Ikar nie potraktowali tego na serio. Konwencja. W jej ramach zakłada się niebezpieczeństwo i zestaw działań dla uniknięcia. Trzeba się oczyścić. Konwencja każe, aby grzech wziął na siebie wytypowany. On, Marat.

Czy szef to kupił? Czy już się zdecydował? Szef zawsze chciał mieć dwóch równorzędnych, równie lojalnych, co przepełnionych ambicjami. Rozgrywając ich przeciwko sobie sam jest ponad niebezpieczeństwem. Kim zastąpi Marata? Remigiuszem Bardem?

Nie przesądzajmy sprawy. Ten będzie lepszy, kto pierwszy dostarczy niezbitych dowodów, że społeczeństwo żąda głowy drugiego. Ikar przecenił głuchotę Rajskiego. Wziął go na łódkę jako alibi wiedząc, że Naczelny nie godzi się nigdy na duet. I wpadł.

— Czy Ikar zawsze bywał lojalny? — odezwał się jakby do siebie, łaskocząc irysami koniuszek nosa.

— Zawsze lojalny jest Emil Gorban — uśmiechnął się Rajski. — Oddanie władzy przeciwnikom doprowadzi do katastrofy, oni będą przede wszystkim szukali odwetu. Zlikwidują aparaty, oprą się na amatorach. Gospodarka i tak trzeszczy. Nie stać nas na satysfakcję patrzenia, jak przeciwnik rozkłada państwo.

— Należy porozmawiać z Ikarem — powiedział Marat, bawiąc się kwiatami.

— Żartujesz.

— Rozejrzyj się wśród swoich za materiałami do takiej rozmowy. Ikarowi powinno diabelnie zależeć, aby nie trafiły do rąk Naczelnego.

— Ty także się rozejrzyj.

— Bądź spokojny — obiecał Marat i z żartobliwym uśmieszkiem wyciągnął rękę do Rajskiego: — Witam na wspólnym wózku. A przy okazji nie zapomnij o konstancińskim przetargu w pojedynczej obsadzie.

Dziwne, pomyślał Rajski. Akurat na to Marat nie powinien się teraz zgodzić. Chyba że jest absolutnie pewny siebie. Tym lepiej, powiedział sobie Rajski, w razie czego, jestem kryty, a może się przydać, gdybym spadał z wózka.

Gorban pogryzał orzechy i słuchał z uwagą wywodów Marata o historii starożytnego Rzymu. Wpadł na chwilkę do apartamentów Marata, żeby pożyczyć od niego „Dramaty konsulów" i utknął już na dobrą godzinę w słodkawych oparach sandałowego drzewa, smakowitościach orzechów z migdałami, aromacie nalewki neapolitańskiej. Nalewkę neapolitańską, przyprawioną tajemniczymi ziołami, które zbiera się o północy przy pełni księżyca na wyspie San Michael, tam gdzie stary cmentarz zamienia się w uroczysko, ową cudoczynną nalewkę odradzającą potencję i pamięć Marat dostawał systematycznie od swego przyjaciela, ambasadora w Italii. Gorban cenił jej dobroczynny wpływ. Miał nawet wrażenie, że od nalewki gęstnieje mu meszek na ciemieniu. Może będą z tego znowu włosy? Próbował był nawet skłonić szefa do skosztowania włoskiego koniaku, ten jednak pozostał wierny koniakowi „Eniseli".

... — a kiedy nadciągały czasy ciężkie, wyczerpywało się bogactwo, prowincje stawały okoniem — perorował Marat sącząc nalewkę — Rzymianie zaczynali mieć dosyć swej wspaniałej demokracji, albowiem swobodami i sprawiedliwością nie da się napełnić kiszek grających marsza.

— Siedem krów tłustych i siedem chudych — odezwał się w zadumie Gorban. — Biblijna jeszcze prawda o przemienności. Ale dlaczego? Dlaczego nie ma ciągłego rozwoju? Dlaczego jutro nie musi być lepsze od dziś? Dlaczego człowiek nie mądrzeje? Nie wyciąga wniosków?

— Bo taki już z niego komputer — odparł Marat, bawiąc się mikroskopijnym kryształowym kieliszkiem, na którego dnie purpurowiała kropelka likieru. — Kiepski z natury swojej. A ponadto, Emilu, nasz świat to nie mechaniczna zabawka. Wiemy o nim kompromitująco niewiele. Zaskakują nas erupcje wulkanów, tajfuny i trzęsienia ziemi, nawet pogody nie potrafimy przepowiedzieć bez błędów. Co wiemy o gwiazdach? O nieskończoności Einsteina, o przestrzeni Minkowskiego, o komecie Haleya?

— Dziwnie rozumujecie, jak na polityka.

— Moje rozumowanie prowadzi do pragmatyzmu. Skoro nie można ogarnąć całości, trzeba zajmować się detalami losu ludzkiego. Pieczywo, przepisy, transport, ideologia. Kiedy Rzymianom nadojadała postna demokracja, władzę brał despota absolutny, wprowadzał okrutną dyktaturę, czynił podboje, zabijał i grabił. Gdy kabza państwowa była znowu pełna, likwidowano go i przywracano demokrację.

— Jak mam to rozumieć? — zapytał Gorban.

— Demokracja służy bogatym, a poniża biednych — odparł Marat. — Stwórca nie dał, niestety, wszystkim ludziom jednakowych szans. Gdyby karierę mogli robić tylko muzykalni, ja bym poszedł z torbami.

— Ja też — zgodził się Emil.

— Nauczyliśmy cały naród czytać, pisać i wymagać. Każdy wie, że należy mu się szkoła i szpital. Ale świadczenia na rzecz innych trzeba wymuszać twardą ręką.

— Z tym są problemy — sapnął Gorban, biorąc garść migdałów z kryształowej patery.

— Dla jednych są, dla innych mogłoby nie być — Marat uśmiechnął się i nacisnął klawisz w sandałowej konsoli, nie dając Gorbanowi czasu na sformułowanie pytania; do salonu weszła Tamara, zmysłowo naga pod bawełnianym błękitnym stroikiem bez dekoltu, uśmiechnięta obcesowo. — Poproszę o mocną kawę — powiedział Marat. — Czuję, że spadło mi ciśnienie. Dla ciebie też? — zwrócił się do Emila.

Gorban przecząco poruszył głową. Nie odrywał oczu od biustu Tamary, kołyszącego się wyzywająco pod pajęczyną bawełny. On jeden nie pozwalał tu sobie z dziewczynami na najmniejszą poufałość. Był cały szefa. Ale na widok brodawek pod napiętym płótnem, na widok rowka delikatnie separującego pośladki, na widok wzgórka łonowego rysującego trójkąt na półprzejrzystej tkaninie — Gorbanowi w gardle robiło się sucho, a w spodniach twardo. Zasłonił to pośpiesznie splecionymi dłońmi.

— Lemoniady bym wypił — powiedział niewyraźnie.

Tamara uraczyła go powłóczystym spojrzeniem. Miała chęć na ascetycznego Emila, a Centrala nie stawiała przeszkód. Przeciwnie nawet. Szyfrogram wręczony Tamarze przez Majora nakazywał podjęcie prób, informując, że G. ma pewne zahamowania wynikające z lęku przed kobietami, a oparte na słabości członka i niespełnieniach homoseksualnych w odległej, chłopięcej jeszcze przeszłości.

Przyniosła lemoniadę i kawę. Stawiając szklankę lemoniady przed Gorbanem, otarła się o niego biodrem i zastygła na ułamek chwili, by tego nie przeoczył. Żółtawa twarz Emila pociemniała: był to rumieniec. Wtedy Tamara pochyliła się bez pośpiechu i podniosła z podłogi upuszczoną serwetkę, a Gorban widział równocześnie jej napięte pośladki, rozsunięte uda i kolebiący się biust.

— Możesz odejść — mruknął Marat.

— Dziwka... — wysapał Gorban, gdy Tamara posłusznie zniknęła za dębowymi drzwiami, jeszcze raz od progu obrzuciwszy go pożądliwym, bezwstydnym spojrzeniem.

— Tu nie ma dziwek — powiedział Marat. — Niestety. Raz w życiu miałem dziwkę i nigdy tego nie zapomnę. Jako student, byłem na stypendium w Niemczech, zaoszczędziłem trochę marek i którejś niedzieli poszedłem do hamburskiego „Eros-Center".

— No i co? — ponaglił Emil.

— Płatna miłość ma wiele uroków — zaśmiał się Marat. — Nikt się nikogo nie wstydzi, bo to transakcja. Wymyślałem różne dziwactwa, a ona je spełniała, była wspaniałą specjalistką. Spróbuj kiedyś.

— Kto ma twardą rękę? — zapytał Gorban. — Mówiliście....

— Mówiłem? A tak.... — Marat powoli odpił kilka łyków kawy. — Sam posłuchaj.

Wstał. Podszedł do pancernej szafki, wyjął z niej kasetę i włożył do magnetofonu. Wcisnął klawisz. Gorban słuchał przez kilka chwil z przymkniętymi oczami.

— Czyj to głos? — zapytał, gdy głośnik umilkł. — Chyba go znam.

— Czy to ważne? — Marat poruszył ramionami, wysączył kawę do końca. — Ktoś uważa, że szef się wypalił, jest już pusty w środku, niezdolny do zrywu. I że on by wiedział, jak wziąć za pysk.

— Czyj to był głos? — powtórzył niecierpliwie Gorban. — Musicie mi powiedzieć.

— Po alkoholu różne rzeczy mówi się kobietom — powiedział Marat. — Nie muszą być prawdziwe, ale dają świadectwo nastrojom. Zapomnij o tej kasecie.

Podszedł do magnetofonu, przewinął taśmę do tyłu i wcisnął czerwony klawisz.

— Co wy robicie?! — poderwał się Gorban.

— Już zrobiłem. Zapomnij o tym nagraniu, przestało istnieć. Chciałem ci tylko udowodnić, że nie bez powodu musimy obaj strzec szefa.

— Nie powinniście byli tego kasować.

Marat stanął przed Gorbanem — krępy, barczysty, o szpakowatych nastroszonych brwiach.

— To nie moja profesja — powiedział twardo. — Od tego mamy służby. Mnie obchodzą uogólnienia, nie personalia.

— Ja jednak znam ten głos — wysapał Gorban, unosząc się w fotelu. — Teraz już wiem!

— Lepiej zapomnij — doradził Lucjan Marat. — Taśma to nie dowód. Taśmy zresztą też już nie ma. Naczelnego trzeba oszczędzać. Na twoim miejscu nie opowiadałbym mu tej historyjki. Napisałeś coś nowego?

Tylko Maratowi ważył się Gorban pokazywać swoje poematy, Profesor, mimo że historyk, znał się na poezji. Wziął od Emila kilka kartek papieru zapisanych kaligraficznym pismem i w skupieniu przybliżył do oczu. Czytał długo, smakując, a w miarę czytania twarz mu się odprężała, łagodniała, jak przeniknięta światłem. Gorban nie odrywał od niego zachłannego spojrzenia.

Leonard Rem gotował sobie kapuśniak w okopconym żeliwnym kociołku i zastanawiał się, czy pies ma duszę. Do kapuśniaku wrzucił wołową kość z ochłapkami mięsa, garść ususzonych podgrzybków, dwie marchewki, seler i pokrojoną w plastry cebulę, którą podsmażył przedtem na oleju. Był wieczór. Po krótkim namyśle leśniczy podlał kapuśniak szklaneczką domowego wina z czarnych porzeczek.

— Czy ty masz duszę? — zapytał Żula.

Dogowilk, a może owczarkowyżeł twierdząco poruszył łbem. Jego białobeżowa sierść z czarnymi łatami na grzbiecie jaśniała po kąpieli, jak nasmarowana tłuszczem. Uszy stały czujnie. Wpatrywał się w pana nieruchomo, czekając cierpliwie na kapuśniak. I pan, i jego pies przepadali za kapuśniakiem, a zwłaszcza za jego dalszym ciągiem. Drugiego bowiem dnia kapuśniak przemieniał się w bigos, już bez rzadkiego, za to z różnorakim mięsem — Rem otrzymywał z Ośrodka co środę mięsne okrawki i resztki kuchenne, zwane drobnicą masarską — trafiały więc do kapusty piętki szynek i baleronów, chrząstki z polędwic, ogryzki kabanosów, przyschnięte plastry bekonu, boczku, wędzonych kiełbas. Kapuśniak gęstniał i brązowiał, nabierał szlachetnego połysku, a wtedy Rem dodawał do niego po szczypcie majeranku, angielskiego ziela, utartej gałki i kardamonu. Kapuśniaczek przeistaczał się w bigos. Jeszcze kropelka winiaku lubuskiego, sól i pieprz do smaku...

— Czy ty masz duszę? — powtórzył.

Żul zbliżył się i polizał go w rękę. Złożył nieforemny łeb na kolanach leśniczego, czekając na pieszczotę. Przymknął ślepia, oddech miał przyśpieszony.

— To żaden dowód, zawierzaku — powiedział Rem drapiąc go za uchem. — Wszyscy potrzebują miłości. Ptaki, ryby, rośliny. Kwiat prosi, żeby go powąchać, drzewo skrzypi na mrozie, skarży się, a jak pogłaszczesz pień, to się uspokaja. Kto lekceważy mebel, ten zawsze uderzy się o kant stołu, potknie na chodniczku, zawadzi głową o półkę, albo krzesło się pod nim rozpadnie. Nic, co istnieje, nie lubi być lekceważone, ale dusza to całkiem inna para kaloszy.

Żul uniósł łeb i przechylił go na bok pytająco. Jedno ucho opadło mu, drugie sterczało w górę. Leśniczy strugał świątka. Ludzie z nawyku nazywali świątkami jego stwory, które były chyba rodem z piekła: krzyżówki dinozaura z zegarem, garbusa z busolą, diabła z błaznem, święte świntuszki z cyckami na wierzchu i niewinnością w oczach, pajace w ogniu, główki dziecięce, wyrastające z sękatego pnia. Stały te świątki rzędem na półkach blisko sufitu w karnawałowym pochodzie, a przewodziła im baba zrośnięta z globusem, może po prostu brzuchata lub ciężarna, o rysach Brygidy Cieślar-Majorowej. Dawniej Rem wystawiał swoje stwory na jarmarku w Bartach i nawet miały wzięcie u turystów. Motor sobie wtedy kupił od kolegi po fachu, leśniczego Sokolika, kolekcjonera staroci — przedpotopowy BMW, ale na chodzie. Potem, kiedy go przypisano do Ośrodka, Major zakazał jarmarcznego handlu: łowczy kierownictwa musi się szanować.

Rzeźbił w modrzewiu. Prawie wszystko, co wystrugał, było modrzewiowe, a więc łososiowo ciepłe i miękkie w dotyku. Teraz obrabiał kozikiem półmetrowy pniaczek, jeszcze nie wiedząc, co z niego będzie. Według Rema bowiem rzeźbiarz nie narzuca drewnu swojej idei, tylko szuka żmudnie istoty w nim ukrytej. Trzeba natężyć intuicję i ostrzem nożyka zdejmować ostrożnie niepotrzebne warstwy. Pod spodem zawsze coś jest.

Może dusza?

— Nonsens — powiedział do Żula, strzepując z kolan różowawe modrzewiowe strużki. — Dusza to nie kształt. Dusza, kundlu, to gotowość do wyrzeczenia. Bez duszy ani nie przebaczysz, ani się nie poświęcisz. Czy przebaczyłeś panu Gajdaczowi, że cię kopnął? Pamiętam świetnie, jak go chciałeś chapnąć zębiskami, cudem cię powstrzymałem. Już by było po tobie. Nie przez zemstę, ma się rozumieć, tylko dla ekspertyzy, czyś nie chory na wściekliznę. A tak, tak, Żulu. Dusza nie ma prawa się mścić. Dusza jest szlachetna, nawet boleje, kiedy z konieczności sprawia komuś ból. Ty nie masz duszy!

Pies poderwał łeb, wywalił ślepia na leśniczego.

— Nie masz — powtórzył stanowczo leśniczy. — Co napotkasz pana Gajdacza, to ci się sierść jeży i warczysz wrogo. Gdyby mnie przy tym nie było, pewnie byś mu skoczył do gardła. Może nie?

Żul warknął. Widocznie nie mógł się powstrzymać.

— Wyszło szydło z worka — mruknął Rem. — Ani śladu duszy. Ale cię pocieszę. Ludzi z duszą też nie za wiele. Ponawpuszczano między nich manekinów, kręcą się, kombinują, nawet przed obrazami klęczą dla niepoznaki. A pod skórą tranzystory i kable.

Żul warknął znowu. Tym razem nie miało to związku z monologiem Rema. Musiał wyczuć obcego.

Leśniczy z żalem odłożył pniaczek, z którego właśnie zaczęły wyłaniać się oczy, nie wiadomo jeszcze czyje. Tyle tylko, że pełne łez. Bo to nie ma łez fałszywych? Tak jak fałszywej radości, fałszywego szczęścia? Drewno jest bezlitosne, nosi w sobie wszystkie prawdy. Szkoda. Rem był ciekaw zapłakanych oczu. Może Chrystus? Może Judasz? Może obaj, złączeni w jedność, wedle bluźnierczej teorii o rozdwojonej osobowości? Godzinka pracy i wiedziałby. A tu ktoś puka.

— Wejść — powiedział.

Nie oczekiwał Brygidy. Odkąd została Majorową, ani razu nie pojawiła się w leśniczówce, nawet w towarzystwie męża, który lubił tu zajrzeć na kieliszek nalewki z czarnego bzu. Teraz stała w progu, wodząc po izbie diabelskimi ślepiami, ni to speszona, ni triumfująca:

— No co? Nie spodziewałeś się mnie, Remie?

— Zawsze się ciebie spodziewam — odparł idąc jej na spotkanie na nogach jakby z waty, zdyszany nagle, z wilgotniejącym czołem. — Nie oczekuję, ale spodziewam się, Brygido. Wejdź, proszę.

Miała na sobie dżinsową kurtkę o fantazyjnym kroju, ze wstawkami z siatki i haftowanymi wyłogami. Patrzyła na Leonarda wyzywająco, jakby chciała ukryć zmieszanie. Rozejrzała się po izbie:

— Żadnych zmian. A ja bym ci wszystko pozmieniała!

Izba była spora, cała w drewnie, z czarnymi belkami pod sufitem i kominkiem ułożonym z kamieni polnych. Szeleścił w nim ogień. Stwory na półkach falowały od czerwonego blasku płomieni, popatrując na ciężki dębowy stół, na ławę masywną, na łoże Rema, przykryte żółtawą baranicą. Wszystkie te sprzęty leśniczy sam wystrugał i wyciosał.

— Już nie pozmieniasz — powiedział cicho Leonard, krzątając się przy kredensie, przelewając z gąsiora do karafki swoje słodkie porzeczkowe wino, kroając placek miodowy, który upiekła mu matka, gdy był u niej na wsi przed tygodniem.

— Do takiego pokoju pasowałyby meble jugosłowiańskie — mówiła Brygida z nieco udanym ożywieniem — te z wiśniowego pluszu, widziałeś? Stoją w pałacu na parterze po prawej, w świetlicy dla personelu. Bar, szafa biblioteczna, stolik okrągły na wysoki połysk i ze złotymi okuciami, a do tego wersalka i dwa fotele.

— Po co mi dwa? — zapytał Rem.

— Mają zmieniać umeblowanie w skrzydle dla personelu. Można odkupić za bezcen. Reflektujesz? Marian by ci załatwił.

— Nie wiedziałbym, co zrobić z wersalką narożną — powiedział Rem. — Chyba że dla Żula, ale on sypia w sieni.

— Daleko ci do kultury, jak mnie na księżyc — powiedziała z czułością Brygida. — Chamem się narodziłeś i chamem umrzesz.

C.D.N.